



**PŁK WIESŁAW
KUKUŁA**
*o nowym
rodzaju sił
zbrojnych*

**CZOŁG
Z WIRNIKAMI**

LOTNICY Z PRUSZCZA
GDAŃSKIEGO
O ZALETACH
I WADACH MI-24

**KUŹNIA
DOWÓDCÓW**

**WYŻSZA
SZKOŁA WOJENNA
WZÓR SPRZED
STU LAT**

SZKOLNICTWO WOJSKOWE

Indeks do armii

**POKÓJ
NA UKRAINIE?**

NIE MA CO LICZYĆ NA SZYBKIE
ZAKOŃCZENIE KONFLIKTU
W DONBASIE



PRODUKCJA MEDALI I ZNACZKÓW METALOWYCH

Wysoka jakość oraz spełnienie oczekiwań klientów



JUBILEUSZ „POLSKI ZBROJNEJ” 5 PAŹDZIERNIKA 2016

ZNACZKI (PINSY) • ODZNACZENIA • MEDALE • RYNGRAFY • SPINKI DO KRAWATÓW
• SPINKI DO MANKIETÓW • MONETY ZASTĘPCZE

42-200 CZĘSTOCHOWA, UL. POSELSKA 20/26, tel. (+48) 34 363 61 44; (+48) 34 369 90 22, e-mail: artmedal@artmedal.pl; www.artmedal.pl



Z SZEREGU WYSTĄP



IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA



NOWE SPECJALNOŚCI, WYŻSZE WYMAGANIA
WOBEC PODCHORAŻYCH, WYMIANA
WYKŁADOWCÓW MIĘDZY UCZELNIAMI,
PRESTIŻ, A PRZED WSZYSTKIM WIĘCEJ
STUDENTÓW W MUNDURACH

– to główne założenia, będącej jednym z priorytetów kierownictwa resortu obrony narodowej, reformy szkolnictwa wojskowego, która już trwa. Na inauguracji roku akademickiego w nowo utworzonej Akademii Sztuki Wojennej minister obrony narodowej Antoni Macierewicz i rektor-komendant płk Ryszard Parafianowicz podkreślali, że będzie ona kształciła najlepszych oficerów wojska na fundamencie najwyższych wartości patriotycznych. Wzorem będzie Wyższa Szkoła Wojenna, kuźnia dowódców powstała w 1921 roku. Ambitne plany mają również pozostałe uczelnie wojskowe. Nowy rektor Szkoły Orląt w Dęblinie zapowiada, że do połowy 2017 roku placówka spełni warunki, by przekształcić się w akademię. W niniejszym numerze staramy się przedstawić proponowane zmiany w szkolnictwie wojskowym. Rozmawiamy nie tylko z kadrą naukową szkół wyższych, lecz także ze studentami.

Temat edukacji idealnie wpisuje się w przemyslenia, które towarzyszą nam co roku w listopadzie. Rocznicą odzyskania niepodległości zawsze skłania do refleksji, czy doceniamy dziś fakt, że mamy szczęście żyć w czasach pokoju. W tych dniach zadajemy sobie pytanie, czy gdybyśmy dziś stanęli w obliczu zagrożenia suwerenności Polski, bez wahania, odważnie przystąpilibyśmy do walki i od razu wiedzielibyśmy, co trzeba zrobić. Starsze pokolenie podkreśla, że wychowanie w duchu patriotyzmu jest gwarancją dobrych wyborów młodych ludzi w sytuacjach, gdy trzeba stanąć w obronie ojczyzny.

Kształćmy zatem mądrze młodzież i dzieci, zaszczepiajmy w nich miłość do historii. Korzystajmy z wiedzy i doświadczenia żyjących bohaterów, stawiajmy ich młodym za wzór. W tym numerze warto posłuchać, co ma nam do przekazania gen. Janusz Brochwicz-Lewiński ps. „Gryf”, legendarny bohater powstania warszawskiego.





Zdjęcie na okładce:
Piotr Lisowski

NR 11 (847)
LISTOPAD 2016

TEMAT NUMERU

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

12 / Indeks do armii

Plany dotyczące zmian w szkolnictwie
wojskowym są wielkie. Ale czy realne?

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

22 / Edukacja bez granic

Zagraniczne uczelnie wojskowe coraz
częściej i chętniej współpracują
z naszymi.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
**25 / Amerykańskie
skrzydełka**

Kajetan Łapczuk opowiada o pasji
latania i o studiach w USA.

PAULINA GLIŃSKA

28 / Dokonałem dobrego wyboru

Rozmowa z ppor. Andrzejem Sapichem
o tym, dlaczego warto starać się
o miejsce na wojskowej uczelni.

MARCIN GÓRKA

31 / Przede wszystkim myślenie

Studiować w mundurze można nie tylko
w Polsce, ale na przykład także we
Włoszech – w NATO Defence College.

ARMIA

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK,
TADEUSZ WRÓBEL

36 / Nowa siła

Rozmowa z płk. Wiesławem Kukułą
o wojskach obrony terytorialnej.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

42 / Manewry ze sztormem

Nasi marynarze na ćwiczeniach
„Ostrobok”, „Wargacz” i „Kormoran”.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
46 / Ukraińska szkoła

Żołnierze 21 Brygady Strzelców
Podhalańskich prowadzili szkolenie
na Ukrainie.

EWA KORSĄK

48 / Czołg z wirnikami

Mi-24 – śmigłowiec szturmowy, który
służy polskiemu lotnikom już od 35 lat.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

55 / Sokoły na ratunek

Codzienna służba ratowników z 2 Grupy
Poszukiwawczo-Ratowniczej z Mińska
Mazowieckiego.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

58 / Ślady po gąsienicach

Reportaż z międzynarodowych
ćwiczeń „Slovak Shield”.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

62 / Saperzy na czterech kontynentach

W cyklu „Wojsko od kulis”
8 Kołobrzesci Batalion Saperów.

ARSENAŁ

KRZYSZTOF WILEWSKI

76 / Czekając na Wisłę

Czy kupimy zestawy rakietowe
Patriot?

ROBERT CZULDA

82 / Następca talona

Następca szkolno-treningowego
T-38 w amerykańskich siłach
powietrznych wciąż jest
poszukiwany.



STRATEGIE

MARIA PRZEŁOMIEĆ

90 / Kto przehandluje Ukrainę?

Na początku października 2016 roku sytuacja Ukrainy niewiele różni się od tej sprzed dwóch lat.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

96 / Harcos znaczy wojownik

Reportaż z międzynarodowych ćwiczeń „Brave Warrior” na Węgrzech.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

100 / Nie możemy czuć się bezpiecznie

Rozmowa z prof. Zbigniewem Lewickim o Stanach Zjednoczonych i powyborczych wizjach.

TOMASZ OTŁOWSKI

105 / Beneficjenci anarchii

Libia – jedno z najbardziej zdestabilizowanych państw Afryki.

RAFAŁ CIASTOŃ

108 / Próby siły

Korea Północna straszy kolejnymi testami nuklearnymi.

ROBERT SENDEK

112 / Wojna o pastwiska

Czy Kosowo i Czarnogóra stoją na krawędzi wojny?

Znajdziesz nas tutaj:



HISTORIA

JAKUB NAWROCKI

116 / Zaczęło się od rewolweru

Początki walk o Lwów w 1918 roku.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

121 / Nauka generała

Z gen. bryg. w st. spocz. Januszem Brochwicz Lewińskim „Gryfem” o historii, tradycjach i bezwarunkowej miłości do ojczyzny.

PIOTR KORCZYŃSKI

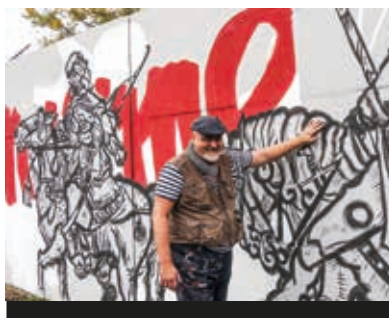
124 / Rosyjska ruletka w powietrzu

Taran lotniczy – manewr samobójców.

TADEUSZ WRÓBEL

132 / Szturmowe działa Hitlera

W cyklu „Niezwykłe maszyny” – mobilne działa piechoty.



HORYZONTY

ANNA DĄBROWSKA

136 / Na murach malowane

Rafał Roskowiński o muralach i patriotyzmie.

KADR



95
LAT

MAGDALENA MIERNICKA

NASZE URODZINY

Pierwszy numer dziennika „Polska Zbrojna”
ukazał się 5 października 1921 roku. Dokładnie
95 lat później świętowaliśmy rocznicę powstania
naszego tytułu.



ROBERT SIEMASZKO/COMMON →

95
LAT

Wojskowy Instytut Wydawniczy jest domem, w którym pod jednym, wspólnym dachem, w pełnej symbiozie tworzą się nowoczesny portal polska-zbrojna.pl oraz miesięcznik »Polska Zbrojna«, mówił na urodzinowej gali płk Dariusz Kacperczyk, dyrektor WIW-u, wydawcy obu tytułów. »Oba wydawnictwa nie tylko relacjonują bieżące wydarzenia, lecz także podejmują tematykę związaną z naszym bezpieczeństwem. Robimy to od 95 lat i będziemy robić nadal».

»Polska Zbrojna« należy do kanonu moich lektur. Jest to nowoczesne pismo, które dociera do różnych grup społecznych, uczy, wychowuje, troszczy się o tradycję i historię żołnierza Wojska Polskiego. Życzę wam kolejnych 95 lat tak fantastycznej działalności», mówił ppłk Tomasz Szulejko, który na uroczystości reprezentował gen. Mieczysława Gocula, szefa Sztabu Generalnego. »Polska Zbrojna« to elitarnie pismo. Cieszę się, że dociera nie tylko do żołnierzy, lecz także na rynek cywilny», komentował st. chor. Marcin Szubert ze Szkoły Podoficerskiej Wojsk Łądowych w Poznaniu. »Czytałem ją już w 1993 roku i czytam ją nadal. Jestem pod ogromnym wrażeniem szaty graficznej magazynu. Uważam wasze pismo za rzetelne i ciekawe. Nie zepsujcie tego», podkreślał Mariusz Sybilski, wiceprezes Stowarzyszenia FIA.

Nasze 95. urodziny świętowaliśmy w Klubie Dowództwa Garnizonu Warszawa. Tego dnia byli z nami nasi zwierzchnicy, współpracownicy, przyjaciele redakcji oraz czytelnicy. Wiceminister obrony narodowej prof. Wojciech Fałkowski mówił na uroczystości, że wojsko to duch, który rodzi się z przeszłości, tożsamości kulturowej i historycznej, a także z identyfikacji ze społeczeństwem i narodem. »Polska Zbrojna« ma dbać nie tylko o to, aby ta więź została utrzymana, lecz także o to, by pokazywać wojsko jako nowoczesną formację. Wasze pismo to robi», stwierdził. »I z satysfakcją odnotowuję, że jest to pismo robione profesjonalnie, z wizją, zgodnie z zasadami rzemiosła edytorskiego».

Redaktor naczelna miesięcznika Izabela Borańska-Chmielewska zaznaczyła nato-

miast, że »Polska Zbrojna« to »czasopismo specjalistyczne, ale jego celem jest również zainteresowanie życiem wojska ludzi młodych». Dowodem tego, jest np. organizacja licznych konkursów. Laureaci jednego z nich »Polski Żołnierz – etos i duma» podczas naszego jubileuszu odebrali swoje nagrody. Co ciekawe, autorzy zwycięskich prac spotkali się z bohaterami, o których pisali. Jednym z nich był gość honorowy naszej uroczystości, gen. Janusz Brochwicz-Lewiński »Gryf« (rozmowa z nim na s. 123-125). »5 października 1944 roku, po kapitulacji powstania warszawskiego, trafiłem do niemieckiej niewoli. Dziś także jest 5 października. Nawet pogoda jest taka, jak wtedy, ale teraz jesteśmy w wolnej Polsce», mówił generał, gratulując nagrody w konkursie Szymonowi Rębiszowi z Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni. Wzruszenia nie krył również »Wir«, który był bohaterem pracy plut. pchor. Artura Chruściela z Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łądowych we Wrocławiu. »Dziękuję autorowi eseju, chociaż uważam, że nie zasługuję na to, aby o mnie pisać. Nigdy nie zajmowałem się medycyną pola walki dla splendoru, ale dlatego, że jest ona moją pasją», powiedział ratownik.

Anna Putkiewicz, szefowa portalu polska-zbrojna.pl podkreśliła z kolei na uroczystości, że to, jaka jest »Polska Zbrojna«, to duża zasługa osób, które pracują w redakcji. I rzeczywiście, sześć osób z WIW-u zostało odznaczonych przez wiceministra Fałkowskiego. Złoty medal za Zasługi dla Obronności Kraju otrzymali Aneta Wiśniewska, sekretarz redakcji »Polski Zbrojnej«, oraz Marcin Dmowski, kierownik Wydziału Grafiki i Składu Komputerowego. Srebrnym medalem została uhonorowana Paulina Glińska, dziennikarka portalu polska-zbrojna.pl, a brązowe trafiły do Ewy Korsak i Magdaleny Miernickiej z Zespołu Mediów Społecznościowych, oraz Piotra Jaszczuka, kierownika Wydziału Marketingu i Promocji WIW.

Jak na urodziny przystało, na naszej uroczystości nie mogło zabraknąć pysznego tortu oraz dobrej muzyki. A tę zapewnił nam Reprezentacyjny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego. ■

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI (8)





USŁYSZELIŚMY WIELE MIŁYCH SŁÓW: „TO PISMO ROBIONE PROFESJONALNIE, Z WIZJĄ, ZGODNIE Z ZASADAMI RZEMIOSŁA EDYTORSKIEGO”, „»POLSKA ZBROJNA« UCZY, WYCHOWUJE, TROSZCZY SIĘ O TRADYCJĘ I HISTORIĘ ŻOŁNIERZA WOJSKA POLSKIEGO”



Nowy rodzaj sił zbrojnych

Powstał projekt nowelizacji ustawy, dzięki której zostaną powołane wojska obrony terytorialnej.

W propozycji zmiany ustawy o powszechnym obowiązku obrony określono m.in. zasady służby w obronie terytorialnej oraz wynagrodzenia i przywileje żołnierzy. Dowódca OT będzie jednym z trzech dowódców, obok generalnego i operacyjnego, polskiej armii. WOT ma liczyć do 40 tys. żołnierzy, którzy będą się zajmować m.in.: zwalczaniem klęsk żywiołowych i likwidacją ich skutków, ochroną mienia, akcjami poszukiwawczymi oraz zarządzaniem kryzysowym. Wśród kadry znajdują się żołnierze zawodowi, a trzonem nowego rodzaju sił zbrojnych będą rezerwiści i ochotnicy. Żołnierzem OT będzie mogła zostać osoba z kategorią zdrowia „D”. Służ-



J. WIŚNIEWSKI

ba będzie trwać od 12 miesięcy do sześciu lat z możliwością jej przedłużenia. Będzie pełniona stale, przy czym zostanie podzielona na rotacyjną i dyspozycyjną. Ta pierwsza ma być pełniona w jednostce wojskowej przez co najmniej jeden weekend w miesiącu. Na co dzień natomiast żołnierze OT będą w zwyczajnym trybie wykonywać swoją pracę, ale jed-

nocześnie cały czas będą gotowi, by stawić się do służby w terminie wskazanym przez dowódcę.

Żołnierzom OT będzie przysługiwał comiesięczny dodatek z tytułu pełnienia służby oraz utrzymywania gotowości. Rezerwiści mają otrzymywać 300 zł miesięcznie za tzw. gotowość bojową i dodatkowo 200 zł za udział w ćwiczeniach. Ponadto żołnierze OT po trzech latach zyskają pierwszeństwo w ubieganiu się o przyjęcie do służby kandydackiej czy zawodowej oraz w naborze na stanowiska urzędnicze związane z obronnością. PZ, PG

Wiecej na temat wojsk obrony terytorialnej – s. 36-41

Maszyny z systemem dozoru radiolokacyjnego dalekiego zasięgu od marca 2014 roku wykonały tysiąc misji nad Polską. „Misje AWACS-a wpisują się w szerszą gamę działań, które NATO podjęło, aby zapewnić bezpieczeństwo na wschodniej flance”, mówił płk Karol Dymanowski, dyrektor Departamentu Polityki Zbrojeniowej MON na spotkaniu w 1 Bazie Lotnictwa Transportowego w Warszawie. Sojusz północ-

noatlantyczny zwiększył częstotliwość takich lotów po rosyjskiej agresji przeciwko Ukrainie. Po przystąpieniu do programu NAPMO (NATO Early Warning and Control Programme Management Organisation) w 2006 roku Polska wraz z 15 innymi krajami stała się współużytkownikiem floty 17 samolotów E-3A AWACS z sojuszniczego komponentu, który stacjonuje w bazie lotniczej

Geilenkirchen w Niemczech. Samolot wczesnego ostrzegania i dowodzenia E-3 Sentry opracowano na platformie czterosilnikowego boeinga 707. Wyposażono go w radar AN/APY-1 z obracającą się anteną. Jeden E-3A znajdujący się na wysokości 10 tys. m może zebrać informacje z całej przestrzeni powietrznej Polski.

Natowskie oko

Samoloty AWACS wykonały tysiąc misji nad Polską.



Amerykańskie wsparcie

Już w kwietniu 2017 roku znajdzie się u nas batalion US Army. „W Polsce w okolicach Orzysza będą stacjonować żołnierze 2 Pułku Kawalerii z transporterami Stryker”, mówił w Warszawie gen. Frederick „Ben” Hodges, głównodowodzący wojsk amerykańskich w Europie. Jak dodał Paul W. Jones, ambasador USA, już w lutym 2017 roku zostaną do nas przerzuceni żołnierze amerykańskiej grupy bojowej, którzy rozjadą się po krajach bałtyckich, Rumunii i Bułgarii. Dowództwo tej brygady zostanie w Polsce – będzie to sztab pancernej grupy bojowej, liczącej około 4,5 tys. żołnierzy wyposażonych w czołgi M1 Abrams i transportery opancerzone Bradley. Tworzyć go będą wojska 4 Dywizji Piechoty.

Miejsce stacjonowania dowództwa nie zostało jeszcze wybrane. Jak mówił gen. Hodges, Amerykanie biorą pod uwagę miejscowości w północno-zachodniej Polsce położone na 300-kilometrowym odcinku, łączącym dwa poligony – w Drawsku Pomorskim i Żaganiu. Zdaniem polskich wojskowych, Choszczno odpowiadałoby potrzebom amerykańskiego dowództwa. Do 2011 roku stacjonował tam 2 Pułk Artylerii Legionów, a potem dywizjon artylerii samobieżnej. Polscy żołnierze zajmują jednak tylko część niedawno wyremontowanych koszar. Wojskowi wskazują też Żagań jako potencjalną lokalizację ciężkiej części amerykańskiej brygady. W tym mieście służą już



polscy czołgiści z 11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej.

Stała rotacyjna obecność żołnierzy w Polsce jest związana z rozbudowywaniem wojskowego zaangażowania NATO na wschodniej flance. Zgodnie z ustaleniami szczytu w Warszawie od 2017 roku w Polsce będzie stacjonowała batalionowa grupa bojowa NATO, której państwem ramowym będą Stany Zjednoczone. Podobne oddziały trafią do państw bałtyckich, Rumunii i Bułgarii. MG

MICHAŁ NIWICZ

Polskie siły powietrzne korzystają z systemu AWACS w sytuacjach zagrożenia lub konfliktu. Gen. dyw. Jan Śliwka, zastępca dowódcy generalnego rodzajów sił zbrojnych, przypomniał, że te samoloty zabezpieczały warszawski szczyt NATO, Światowe Dni Młodzieży, Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej w 2012 roku, a także wizytę papieża Benedykta XVI w 2006 roku. Natowskie E-3A wykorzystano podczas wielu ćwiczeń wojskowych, które odbywały się na terenie Polski, wspierały też sześć misji „Baltic Air Policing” naszych lotników. W skład załóg tych samolotów wchodzi żołnierze różnych armii. TW

BARTOSZ BERA

Potrójny sprawdzian

LITPOLUKRBRIG w grudniu osiągnie pełną gotowość operacyjną.



Najważniejszy egzamin czeka Litewsko-Polsko-Ukraińską Brygadę – w grudniu weźmie ona udział w ćwiczeniach „Common Challenge”, które zdecydują, czy osiągnęła już pełną gotowość operacyjną. Do tego czasu przedstawiciele jednostki przechodzą wiele szkoleń, m.in. uczestniczyli w warsztatach z wojskowego procesu decyzyjnego, prowadzonych przez przedstawicieli Gwardii Narodowej amerykańskiego stanu Illinois, oraz w manewrach „Seven Stars”. Jeśli Brygada przejdzie pozytywnie ćwiczenia certyfikujące, będzie gotowa do wykonywania

zadań: utrzymania międzynarodowego pokoju, udziału w zagranicznych operacjach stabilizacyjnych pod egidą Unii Europejskiej, NATO i ONZ, a także udzielania pomocy Ukrainie w reformowaniu jej sił zbrojnych. „Brygada będzie najlepszym dowodem i najlepszą gwarancją bezpieczeństwa naszych trzech narodów”, uważa minister Antoni Macierewicz.

Do egzaminu Brygada przystąpi pod nowym dowództwem. Na jej czele stanął płk Zenon Brzuszek, wcześniej dowódca 21 Brygady Strzelców Podhalańskich, który zastąpił gen. bryg. Adama Joksa. PR



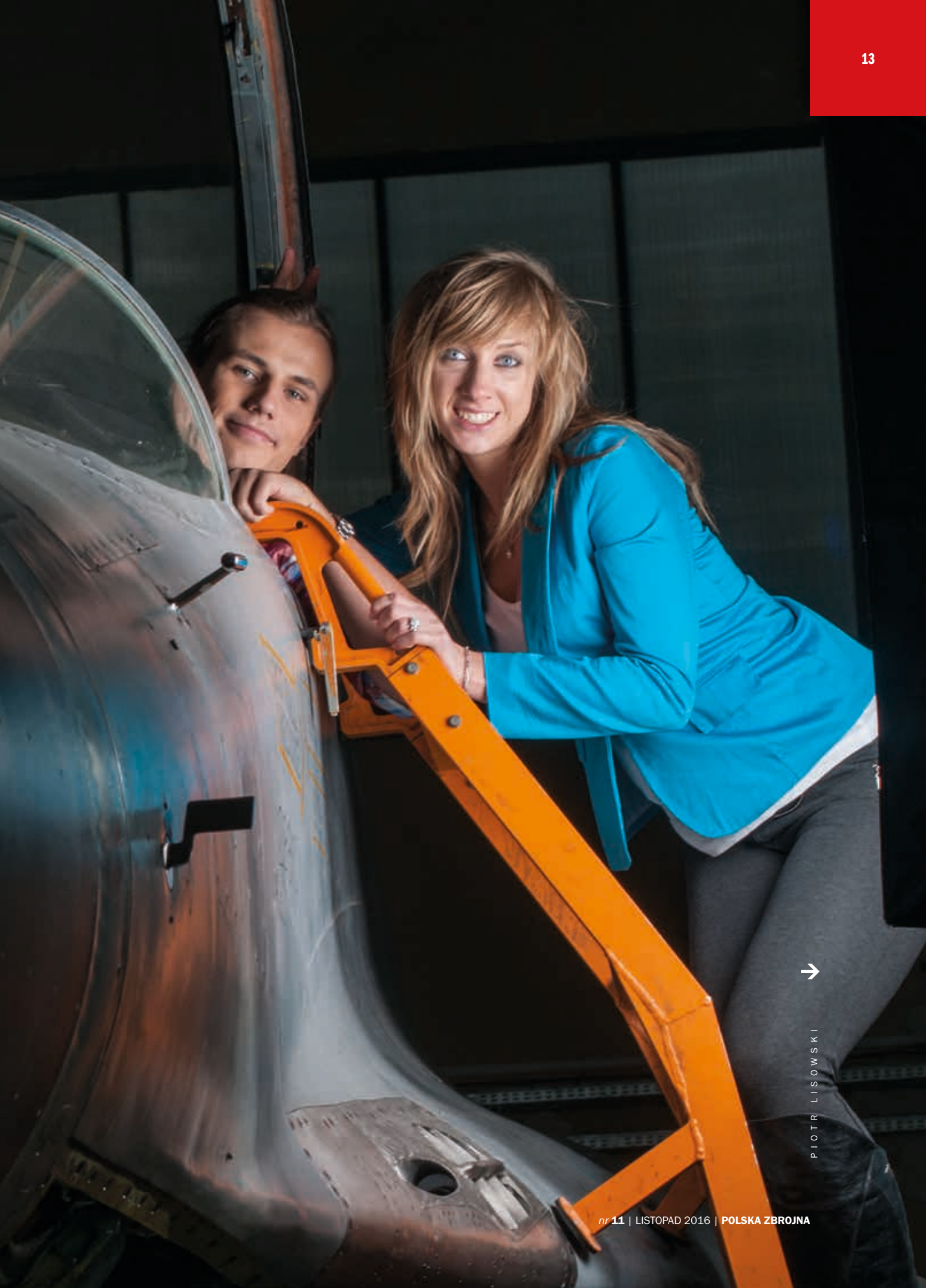
TEMAT NUMERU

/ SZKOLNICTWO

PAULINA GLIŃSKA
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

INDEKS DO ARMII

Wojskowe uczelnie mają być silnymi placówkami eksperckimi. Będzie więcej podchorążych, zaplanowano nowe kierunki kształcenia. Takie zmiany zapowiada MON.



PIOTR LISOWSKI

Priorytetem resortu obrony jest dostosowanie działalności akademickiej do bieżących wyzwań armii. Uczelnie mają być ośrodkami eksperckimi. Tak więc we wrocławskiej Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych powstaje nowy kierunek studiów: dowodzenie; w gdyńskiej Akademii Marynarki Wojennej zostaną uruchomione nowe specjalności związane z bezpieczeństwem morskim, z kolei dęblińska Szkoła Orląt ma kształcić nie tylko pilotów i nawigatorów, lecz także ekspertów od transportu lotniczego. „Do tej pory uczelnie działały nieco rutynowo, dlatego jest potrzebny powiew świeżości. Zależy nam na wymianie wykładowców między szkołami. Konieczne jest, by oficer wojsk lądowych miał pojęcie o taktyce i strategii działania sił powietrznych czy wojsk specjalnych”, podkreśla prof. dr hab. Wojciech Fałkowski, wiceminister obrony narodowej. Kierownictwo resortu zapowiedziało także zwiększenie subwencji MON-u na przyszły rok akademicki, ale już w tym roku uczelnie przyjęły większą liczbę studentów. Na czterech uczelniach naukę rozpoczęło ponad 5 tys. pierwszorzeczniaków: podchorążych i cywilów.

SZTUKA LATANIA

„Myślę, że u nas, jak nigdzie indziej, czuć ducha przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Jesteśmy silnie związani z naszą 91-letnią tradycją, ale jednocześnie bardzo nowoczesni. Mamy bogatą, na miarę XXI wieku bazę dydaktyczną, w tym nowoczesne statki powietrzne i symulatory oraz nowatorskie podejście do kształcenia”, mówi płk pil. Piotr Krawczyk, rektor-komendant Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych. By nie stracić na atrakcyjności, w dęblińskiej uczelni są modyfikowane programy szkolenia, także kursowego dla oficerów (jest ich ponad 230 i rocznie w zajęciach bierze udział

około 2,4 tys. słuchaczy). W Szkole Orląt działa Ośrodek Szkolenia Personelu Służb Ruchu Lotniczego wyposażony w systemy symulowania pracy kontrolerów wieżowych. Jako jedyny w Polsce ma uprawnienia do przygotowywania specjalistów informacji lotniczej (Aerodrome Flight Information Service – AFIS).

Od niedawna w strukturze dęblińskiej uczelni działa także Ośrodek Kształcenia Operatorów Bezzałogowych Statków Powietrznych. „Personel uzyskał już niezbędne uprawnienia, mamy sprzęt, także symulatorowy, więc niebawem będziemy występować do Urzędu Lotnictwa Cywilnego o certyfikat”, mówi płk pil. Piotr Krawczyk. Z kolei Ośrodek Szkolenia Personelu Taktycznych Zespołów Kontroli Obszaru Powietrznego, prowadzący kursy m.in. dla wysuniętych nawigatorów naprowadzania lotnictwa, uzyskał certyfikację NATO i jako pierwszy w państwach Europy Środkowej może nadawać uprawnienia wysuniętego nawigatora naprowadzania lotnictwa (JTAC) oraz szkolić kandydatów z innych państw NATO.

Uczelnia cały czas inwestuje w wyposażenie Akademickiego Ośrodka Szkolenia Lotniczego WSOSP. To tu są prowadzone szkolenia selekcyjne kandydatów na żołnierzy zawodowych oraz studentów cywilnych, przyszłych pilotów statków powietrznych. Ośrodek szkoli w specjalnościach „lotnych”: pilot samolotu odrzutowego – do uzyskania licencji pilota samolotowego turystycznego PPL(A), pilot śmigłowca – do uzyskania licencji pilota śmigłowcowego turystycznego PPL(H), pilot samolotu transportowego – do uzyskania licencji pilota śmigłowcowego zawodowego CPL(A) wraz z uprawnieniami IR(A) oraz pilot samolotu wielosilnikowego. Tylko w 2015 roku w AOSL wykonano ponad 7000 godzin nalotu. W związku z coraz większą liczbą chętnych do szkolenia są planowane zakupy kolejnych maszyn. Trwają także ostatnie prace nad symulatorem śmigłowca



Dziś w WAT studiuje 10 tys. słuchaczy, w tym tylko 1,3 tys. podchorążych. Ta liczba jednak się zmienia.

DOTYCHCZAS UCZELNIE DZIAŁAŁY NIECO RUTYNOWO, DLATEGO JEST POTRZEBNY POWIEW ŚWIEŻOŚCI

Guimbal Cabri G2, a do użytku już został oddany nowy symulator samolotu z awioniką Garmin G1000.

Szkoły Orląt też nie ominą zmiany zapowiadane przez resort obrony. Modyfikacje mają dotyczyć m.in. kierunków prowadzonych na Wydziale Bezpieczeństwa Narodowego i Logistyki. „Zrezygnujemy z logistyki ogólnej na rzecz tej dotyczącej stricte zabezpieczenia logistycznego baz i portów lotniczych oraz operacji lotniczych w cywilnych portach. Patrząc bowiem przez pryzmat sił zbrojnych – nasze bazy mogą być rozpatrywane jako ośrodki przyjęcia sił wzmocnienia NATO. To już specyficzna logistyka i właśnie na tej odrębności chcemy skupić kształcenie naszych logistyków”, wyjaśnia rektor-komendant dęblińskiej szkoły.

Podobne zmiany czekają kierunek bezpieczeństwo narodowe. „Nie ma dziś w Polsce ośrodka akademickiego, który zajmowałby się właśnie sferą bezpieczeństwa portów lotniczych czy w ogóle bezpieczeństwa powietrznego. I tę specyfikę chcemy u nas rozbudowywać. Kierunek ten docelowo ma być sprofilowany właśnie na bezpieczeństwo powietrzne”, dodaje płk Krawczyk.

Uczelnia zaczęła już prace zmierzające do modyfikacji programu studiów i zmian specjalności tak, by przyszły rok akademicki rozpocząć z nową ofertą edukacyjną. Trwają też przygotowania do otwarcia nowego kierunku studiów na Wydziale Bezpieczeństwa Narodowego i Logistyki – transportu.

Przekształcenie uczelni w akademię to tylko kwestia czasu. Wymogiem formalnym jest posiadanie dwóch jednostek naukowych z uprawnieniami do nadawania stopnia doktora. Obecnie dęblińska uczelnia ma jedno takie

uprawnienie: na Wydziale Lotnictwa. „Jesteśmy na dobrej drodze, by wkrótce uzyskać kolejne. W maju 2016 roku Wydział Bezpieczeństwa Narodowego i Logistyki został pozytywnie oceniony pod kątem jakości kształcenia przez zespół kontrolujący Państwowej Komisji Akredytacyjnej. Spełniliśmy więc ostatni warunek niezbędny do wystąpienia z wnioskiem”, mówi płk pil. Krawczyk. Przy założeniu, że zostanie on pozytywnie zaopiniowany, wydział do końca drugiego kwartału 2017 roku powinien dostać takie uprawnienia. Wtedy uczelnia spełni też warunki, by stać się akademią.

Dęblińska WSOSP zgodnie z wolą resortu obrony będzie także redukować liczbę studentów cywilnych (na jednego słuchacza w mundurze przypada tam teraz pięciu cywilów). „Już w tym roku, choć pierwotnie mieliśmy przyjąć niewiele ponad 70 podchorążych, limit zwiększono do ponad 90. W 2017 roku planujemy przygotować 130 miejsc dla kandydatów na oficerów”, przyznaje rektor. Nie oznacza to jednak, że uczelnia całkowicie zrezygnuje z cywilów. „Na studentów cywilnych otworzyliśmy się w 2009 roku. I dziś okazuje się, że jesteśmy liderem, jeśli chodzi o kształcenie w tym kierunku w całym kraju. Ten cywilno-wojskowy charakter naszych studiów pozwala nam na utrzymywanie kadry na najwyższym poziomie”, podkreśla rektor Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych.

Uczelnia zapowiada także zmiany w wymaganiach dotyczących rekrutacji. Nadal ważne będą dobre zdrowie, intelekt, wiedza, kondycja oraz sprawność psychofizyczna i doświadczenie lotnicze, ale też chcą „zmienić wagę poszczególnych obszarów i znaleźć złoty środek na to, co →

naprawdę jest ważne. Dotąd bardzo duże znaczenie miało właśnie doświadczenie lotnicze”, przyznaje rektor. Uczelnia chce zoptymalizować rekrutację w takim kierunku, by dać równe szanse także osobom, które są sprawne fizycznie, zdolne intelektualnie, ambitne, ale z powodów finansowych nie stać ich na zdobycie lotniczej licencji.

AKADEMIA MARYNARZY

Stały wzrost liczby podchorążych i dostosowywanie studiów cywilnych do potrzeb polskich sił zbrojnych – tak można określić kierunek, w którym zmierza Akademia Marynarki Wojennej. To jedyna w Polsce uczelnia przygotowująca do służby oficerów rodzimych sił morskich. Zdobywają oni wiedzę na dwóch wydziałach: Nawigacji i Uzbrojenia Okrętowego oraz Mechaniczno-Elektrycznym. Do dyspozycji mają cztery kierunki: nawigację, mechanikę i budowę maszyn, mechatronikę oraz informatykę. Limity przyjęć są uzależnione od potrzeb marynarki wojennej, a wyznacza je Ministerstwo Obrony Narodowej. „W ostatnim czasie zanotowaliśmy istotną zmianę. W ubiegłym roku akademickim na pierwszym roku studiów wojskowych mieliśmy 30 miejsc, w tym przyjęliśmy 50 podchorążych, a w przyszłym będzie ich już stu. To doskonała informacja dla marynarki”, przyznaje kmr prof. dr hab. Tomasz Szubrycht, rektor-komendant AMW. „Oznacza to, że program modernizacji będzie kontynuowany. Marynarka zyska nowe okręty i w najbliższych latach będzie potrzebowała oficerów do ich obsadzenia”.

Na tym jednak nie koniec. Gdyńska uczelnia oferuje też studia podyplomowe oraz wiele kursów dla oficerów. „W ubiegłym roku prowadziliśmy ich 115. Wiedzę zdobywało na nich 2,6 tys. osób”, informuje kmr por. Wojciech Mundt, rzecznik AMW. W ofercie znalazły się m.in. hydrografia, zarządzanie kryzysowe czy kursy językowe. „Propozycje kursów specjalistycznych zgłaszamy do Ministerstwa Obrony Narodowej sami, ale cały czas pozostajemy otwarci na sugestie. Spływają one choćby od wojsk specjalnych czy marynarki wojennej. W odpowiedzi na zapotrzebowanie sił morskich np. w przyszłym roku akademickim rozpoczynamy cykl szkoleń z mechatroniki i prac podwodnych”, zapowiada kmr Szubrycht. Od października 2015 roku AMW oferuje też nowy kierunek rocznych studiów podyplomowych: cyberbezpieczeństwo.

Podchorążowie AMW, a także uczestnicy różnego rodzaju szkoleń mogą na tej uczelni korzystać z bogatej bazy dydaktycznej. Niedawno rozbudowano m.in. pracownię meteo i międzynarodowego prawa morskiego. „Cały czas też pracujemy nad nowoczesnym symulatorem okrętu podwodnego. Jest on urządzany wewnątrz kadłuba jednostki typu Kobben, która stoi przed budynkiem Akademii”, przypomina kmr por. Mundt. Jak dodaje rektor-



KRZYSZTOF MIŁOSZ / AKADEMIA MARYNARKI WOJENNEJ

-komendant, uczelnia dąży też do jak największego uprzątnienia poszczególnych kierunków: „Stąd zabiegi, które mają na celu pozyskanie jak największej liczby oficerów służących niegdyś w siłach morskich”.

AMW kształci również studentów cywilnych, którzy zdobywają wiedzę na czterech wydziałach, a do wyboru mają kilkanaście kierunków, m.in. nawigację, mechanikę i budowę maszyn, informatykę, bezpieczeństwo narodowe, stosunki międzynarodowe czy pedagogikę. „W przyszłości zamierzamy w racjonalny sposób zmniejszać liczbę cywilów, a ich kształcenie dostosowywać do potrzeb sił zbrojnych”, zapowiada kmr Szubrycht.

UNIWERSYTET BADAWCZY

Reforma szkolnictwa obejmie także Wojskową Akademię Techniczną. Jak mówi płk dr hab. inż. Tadeusz Szczurek, nowy rektor-komendant uczelni, zmiany będą znaczące, ale wprowadzane w sposób ewolucyjny, tak aby nie zepsuć tego, co jest dobre. Władze WAT chcą podnosić poziom dydaktyczny i naukowy z zachowaniem wojskowego charakteru placówki. Zależy im również na rozwijaniu współpracy zagranicznej z prestiżowymi uczelniami kształcącymi oficerów w państwach sojusznicych, a także z innymi szkołami i ośrodkami naukowymi.

Jak zapewnia komendant, Akademia nie stanie się jednak wojskową politechniką. „W całym kraju jest wiele szkół technicznych na bardzo wysokim poziomie i nie



RESORTOWI OBRONY ZALEŻY NA WYMIANIE WYKŁADOWCÓW MIĘDZY SZKOŁAMI. KONIECZNE JEST, BY OFICER WOJSK LĄDOWYCH MIAŁ POJĘCIE O TAKTYCE I STRATEGII DZIAŁANIA SIŁ POWIETRZNYCH CZY WOJSK SPECJALNYCH

chcemy z nimi konkurować”, wyjaśnia płk Szczurek. Chce, aby WAT stała się elitarną uczelnią, która rozwija się w unikatowych dziedzinach. „W ten sposób nie będziemy konkurować z politechnikami, ale je uzupełniać”. Kierunki, na które stawia WAT, to m.in. optoelektronika, cybernetyka i kryptologia. Akademia jest zresztą jedyną uczelnią w Polsce kształcącą na tym ostatnim. „W zależności od potrzeb sił zbrojnych wprowadzamy w WAT też

WIĘKSZE LIMITY NA STUDIA

W tym roku na mundurowe studia w wojskowych uczelniach przyjętych zostało więcej kandydatów. Jeszcze w marcu resort zakładał, że uczelnie wojskowe przyjmą 534 nowych podchorążych. Ostatecznie MON zwiększyło limit. W sumie nowy rok akademicki rozpoczęło 760 podchorążych. Decyzja taka oznacza dla resortu dodatkowe koszty. W tym roku wyniosą one 7,7 mln zł (w tym dydaktyka 4,6 mln zł, utrzymanie, tj. uposażenia, zakwaterowanie i wyżywienie 3,1 mln zł). W każdym kolejnym roku koszty funkcjonowania uczelni mają wynieść 20,7 mln zł (w tym dydaktyka 12,3 mln zł, utrzymanie 8,4 mln zł).

nowe specjalności, np. związane z obroną powietrzną, uzbrojeniem, elektroniką czy technikami radarowymi”, wylicza komendant. Ponadto od października 2016 roku wprowadzono na uczelni przedmiot historia Polski.

Dziś w WAT studiuje 10 tys. słuchaczy, w tym tylko 1,3 tys. podchorążych. Ta liczba jednak się zmienia dzięki polityce resortu obrony. „W poprzednich latach były naboru po 100–200 podchorążych, w tym toku przyjęliśmy na pierwszy rok ponad 400 słuchaczy wojskowych, a są plany, aby jeszcze zwiększyć tę liczbę”, podaje płk Szczurek. WAT nie zamierza jednak rezygnować ze studentów cywilnych. „Chcemy zachować charakter uczelni wojskowo-cywilnej, bo zależy nam na tym, by cywile jak najwięcej czerpali z wojskowych wzorców”. Jak tłumaczy rektor, ma to polegać m.in. na wychowaniu słuchaczy w duchu patriotyzmu, poszanowaniu Ojczyzny i tradycji. W dalszych planach jest też zorganizowanie dla chętnych przeszkolenia wojskowego.

Podczas inauguracji nowego roku akademickiego w WAT prof. dr hab. Wojciech Fałkowski, wiceminister obrony, mówił o konieczności podnoszenia poziomu naukowego uczelni, aby przekształciła się w „skumulowany pocisk”, zmierzający ku osiągnięciu najwyższego poziomu badań naukowych i technologicznych.

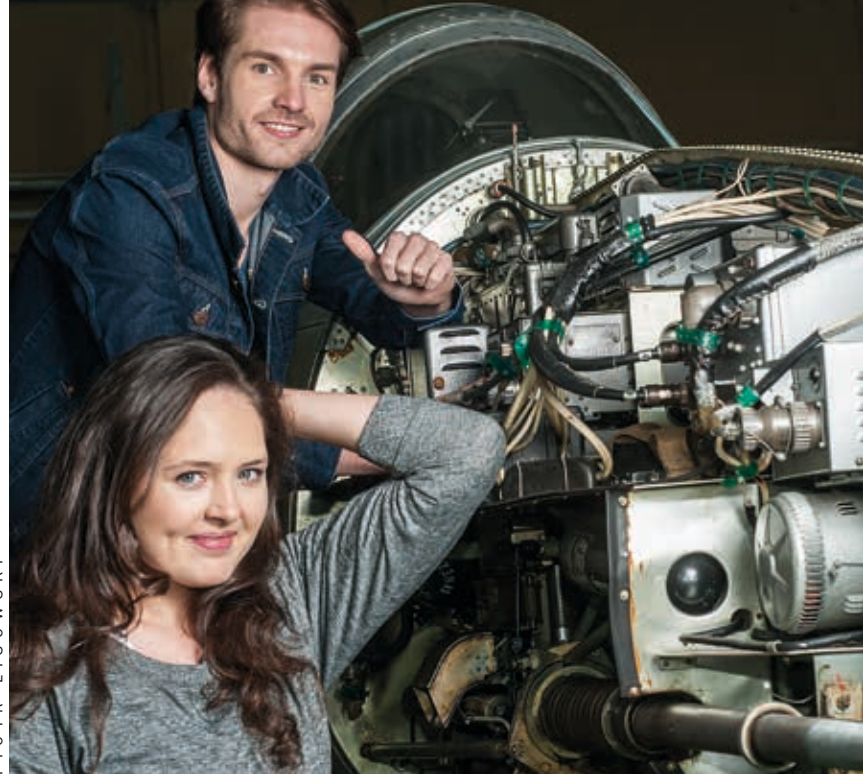
Jak dodaje płk Szczurek, WAT już teraz uczestniczy w wielu strategicznych programach z dziedziny bezpieczeństwa i obronności państwa. Uczelnia jest liderem w kilku projektach z programu „Nowe systemy uzbrojenia i obrony w zakresie energii skierowanej”, realizowanego przez Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, Ministerstwo Obrony Narodowej, Polską Grupę Zbrojeniową i Agencję Rozwoju Przemysłu. „Uczestniczymy też w narodowym programie obrony powietrznej i w badaniach dotyczących satelitarne systemu optoelektronicznej →

obserwacji Ziemi”, uzupełnia rektor. W sumie w WAT jest prowadzonych około 200 programów badawczych.

Do uczelni będą też zapraszani naukowcy o światowej renomie, również w ramach ogłoszonych przez MON programów „Katedra ad hoc” i „Kościszko”. Ten ostatni projekt ma służyć zachęceniu do powrotu z emigracji polskich naukowców prowadzących badania w obszarze nauk ścisłych i politechnicznych. „Już trzech badaczy zgłosiło chęć przyjazdu do WAT, niestety, ze względu na zasady konkursu na razie nie mogę podać ich nazwisk”, mówi komendant uczelni. Projekt „Katedra ad hoc” przewiduje z kolei zapraszanie na krótkie pobyty wybitnych zagranicznych naukowców, którzy zechcą poprowadzić w polskich uczelniach wojskowych cykl zajęć. „Na maj mamy umówioną wizytę Shūji Nakamury, laureata Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki z 2014 roku”, podaje płk Szczurek. Japoński naukowiec jest profesorem inżynierii na uniwersytecie w Santa Barbara w USA i pionierem w dziedzinie badań nad technologią półprzewodników wytwarzających światło, m.in. LED.

KUŹNIA OFICERÓW

Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych im. gen. Tadeusza Kościuszki to uczelnia z wieloletnią tradycją (jej rodowód sięga I Rzeczypospolitej, kiedy w 1765 roku utworzono Szkołę Rycerską). Uczelnia kształci przyszłych oficerów oraz cywilnych specjalistów. Podstawową formą kształcenia są stacjonarne i niestacjonarne studia pierwszego i drugiego stopnia prowadzone na trzech kierunkach: zarządzanie, inżynieria bezpieczeństwa oraz bezpieczeństwo narodowe. „Oferta edukacyjna naszej uczelni jest przede wszystkim skierowana do osób, które chcą swoją przyszłość związać z szeroko rozumianym sektorem obronnym, szczególnie zaś do tych, których interesuje służba w wojsku lub praca w centrach zarządzania kryzysowego”, mówi mjr Piotr Szczepański, rzecznik WSOWL. Dodatkowo wrocławska uczelnia prowadzi studia podyplomowe, kursy językowe, kwalifikacyjne i doskonalące dla oficerów młodszych, zajmuje się przeszkoleniem kadr rezerwy oraz szkoleniem w ramach Narodowych Sił Rezerwowych. W ubiegłym roku akademickim prowadziła także kształcenie kandydatów na oficerów w ramach studium oficerskiego dla cywi-



PIOTR LISOWSKI

W KAŻDEJ Z CZTERECH UCZELNI OTWIERANE SĄ KIERUNKI, KTÓRYCH PROGRAM MA W PEŁNI ODPOWIEDAĆ NA BIEŻĄCE POTRZEBY ARMII

łów oraz podoficerów i szeregowych z wyższym wykształceniem. W roku akademickim 2015/2016 na wrocławskiej uczelni na studiach stacjonarnych uczyło się niespełna 2 tys. studentów, z czego około 30% stanowili podchorążowie. Ponadto na Wydziale Wojskowo-Lekarskim Uniwersytetu Medycznego w Łodzi (podlega pod WSOWL) studiowało 338 osób. „W ramach 58 form kształcenia i szkolenia, np. kursów kwalifikacyjnych i doskonalących, przeszkoliliśmy 1180 żołnierzy zawodowych”, wylicza płk dr hab. inż. Dariusz Skorupka, rektor-komendant wrocławskiej uczelni.

Liczba studentów przyjętych w tym roku akademickim jest wyższa. Zainaugurowało go

w sumie 2040 osób, w tym 800 wojskowych. „Tylko o studia wojskowe ubiegało się 2039 osób na 230 miejsc, co oznacza, że o jeden indeks walczyło dziewięciu kandydatów. Pod naszym nadzorem na Uniwersytecie Medycznym w Łodzi kształcą się także blisko 340 kandydatów na żołnierzy zawodowych”, dodaje mjr Szczepański.

Do najważniejszych wyzwań, jakie stoją przed wrocławską uczelnią, należy uzyskanie akademickiego charakteru placówki. Jak zapowiada komendant WSOWL, po przekształceniu szkoły w Akademię Wojsk Lądowych ma być ona „najlepszą szkołą dowódców w Europie”. Wydział Zarządzania uzyskał uprawnienia do nadawania stopnia doktora nauk ekonomicznych w dyscyplinie nauk o zarządzaniu. W przyszłości będzie to dotyczyło również nauk o bezpieczeństwie. „Uczelnia cały czas się rozwija i jest gotowa na zapowiadane przez MON zmiany”, podkreśla pułkownik. Dumą szkoły jest także nowy kierunek: dowodzenie. Uruchomiony w przyszłym roku będzie pierwszy i jedyny w Polsce. „To poprawi wiedzę specjalistyczną i świadomość społeczną naszych absolwentów. Podchorążowie będą studiowali dowodzenie na studiach licencjackich, a na magisterskich, tak jak do tej pory – zarządzanie”, precyzuje rektor-komendant.

Nowością na wrocławskiej uczelni jest także możliwość kształcenia na potrzeby wojsk obrony terytorialnej. Nabór na studium oficerskie przyszłych podporuczników WOT-u ruszył wiosną tego roku. Ostatecznie, 3 października roczną naukę rozpoczęły 92 osoby (więcej na ten temat w artykule „Biegiem do gwiazdek”, PZ 10/2016).

PIONIERZY ZMIAN

Decyzja o powołaniu Akademii Sztuki Wojennej była jedną z pierwszych, które podjął po objęciu funkcji ministra Antoni Macierewicz. „To dla mnie zaszczyt, że mam możliwość inauguracji działalności nowej Akademii. Akademii, która nawiązuje do Wyższej Szkoły Wojennej, która kształciła i ukształtowała najlepszych oficerów Wojska Polskiego, jakich miała Polska w okresie II Rzeczypospolitej. Taka będzie polska armia, jacy będą polscy oficerowie, taki będzie system obronny RP, jacy będą studenci wychodzący z tej Alma Mater”, mówił minister Macierewicz podczas inauguracji roku akademickiego w nowo powołanej Akademii Sztuki Wojennej.

Warszawska Akademia oficjalnie rozpoczęła działalność w nowych strukturach 1 października 2016 roku. „Musimy funkcjonować bardziej dla wojska, a nie obok niego. Profil naszej działalności musi nadążać za zmianami, uwzględniać sytuację geopolityczną na świecie oraz pojawiające się wyzwania w dziedzinach bezpieczeństwa i obronności. Chodzi tu o zmiany związane ze sztuką wojenną, nowymi technologiami, relacjami międzynarodo-

wymi”, mówi płk dr hab. Dariusz Majchrzak, prorektor ds. wojskowych w Akademii Sztuki Wojennej.

Dla tej uczelni wyzwaniem będzie uwojskowienie ośrodka. „Na ponad 7 tys. studentów cywilnych przypadało zaledwie kilkuset oficerów kształcących się na krótko- i długoterminowych kursach. Wojskowi wykładowcy, mający unikatową wiedzę i praktykę, byli przeciążeni dydaktyką, co znacznie spowalniało ich rozwój naukowy i obniżało jakość kształcenia”, podkreślał płk Ryszard Parafianowicz, rektor-komendant Akademii Sztuki Wojennej, podczas inauguracji roku akademickiego. A płk Majchrzak zaznaczył, że Akademia od kilku lat funkcjonowała bardziej na rynku cywilnym niż wojskowym. „Otwarcie się na to środowisko zmusiło nas do konkurencji z innymi uczelniami publicznymi, prowadzącymi studia z dziedziny bezpieczeństwa narodowego, wewnętrznego i międzynarodowego. Kształcenie na potrzeby wojska siłą rzeczy prowadziliśmy w podstawowym zakresie. Po kilku latach takiego funkcjonowania mieliśmy wrażenie, że nie do końca jesteśmy integralną częścią armii. Teraz chcemy to zmienić”, mówił. Władze uczelni szacują, że po zmianach liczba kilkuset słuchaczy odbywających kursy w ciągu roku ma wzrosnąć do około 1500.

Ze studentów cywilnych Akademia nie będzie jednak rezygnować. „Podczas konfliktów zbrojnych potrzebni są nie tylko wojskowi czy funkcjonariusze, lecz także obywatele, którzy znają podstawowe zagadnienia dotyczące reagowania kryzysowego i elementy bezpieczeństwa narodowego”, kwituje płk Majchrzak. Dodaje jednak, że w takiej formule kształcenie ma być adresowane do najlepszych. Dlatego już podczas tegorocznego naboru wprowadzono wyższe limity punktów, które należało zdobyć na egzaminach maturalnych, żeby dostać się na studia.

Są plany, aby cywile studiujący na ASzWoj odbywali praktyczne przeszkolenie wojskowe we współpracy z jednostkami. „W Akademii działa dużo kół studenckich, jest np. bardzo dynamiczna Jednostka Strzelecka 1313 i widzimy na co dzień, jak bardzo ci młodzi ludzie chcą się rozwijać w kierunku wojskowym. Być może pójdziemy nawet krok dalej i w przyszłości umożliwimy naszym absolwentom zdobycie stopnia podoficera rezerwy. Jest też pomysł, by ci, którzy kończą Akademię, mieli dodatkowe punkty przy ubieganiu się o studia w szkołach oficerskich”, mówi płk Majchrzak.

AWANGARDA SZKOLENIOWA

Zmiany czekają też słuchaczy w mundurach. ASzWoj ma być resortową uczelnią kształcącą na najwyższym poziomie, na potrzeby wszystkich rodzajów sił zbrojnych. Jej głównym zadaniem będzie przede wszystkim →



Szkolenie z wykorzystaniem trenażera Śnieżnik

ARCHIWUM WSOVL

STUDIUM OFICERSKIE

Dla kandydatów na oficerów przewidziano też naukę w studium oficerskim. O udział w kursach mogą się starać zarówno żołnierze, jak i osoby ze środowiska cywilnego. Szkolenie takie prowadzą dwie uczelnie: Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych i Wyższa Szkoła Oficerska Sił Powietrznych. W 2017 roku przyjmą one w sumie 442 kandydatów na oficerów. Zdecydowana większość, bo aż 415, trafi do Wrocławia. Najwięcej miejsc przewiduje się na półrocznym studium dla podoficerów – 274 żołnierzy będzie szkolić się w 21 specjalnościach. W Dęblinie nowością będzie dwuletnie studium dla cywilów. Jego absolwenci dostaną stopień podporucznika ruchu lotniczego.

przygotowanie wysokiej klasy specjalistów, dowódców wyższych stopni.

Jedną z ważniejszych zmian jest odtworzenie dwuletnich studiów podyplomowych dla oficerów w stopniu kapitana i przywrócenie tytułu oficera dyplomowanego. Taką dwuletnią edukację zaczęło właśnie pierwszych 40 żołnierzy.

Na ASzWoj pojawił się także nowy Wydział Wojskowy, wyodrębniony z dotychczasowego Wydziału Zarządzania i Dowodzenia. Oficerowie będą się na nim kształcić na wszystkich szczeblach: taktycznym, operacyjnym i strategicznym. Kadra Wydziału Wojskowego będzie prowadzić Podyplomowe Studia Operacyjno-Taktyczne, rozszerzone z trzech do czterech semestrów, oraz Podyplomowe Studia Operacyjno-Strategiczne (przekształcone z wcześniejszego kursu). Utrzymany został tzw. kurs generalski, czyli Podyplomowe Studia Polityki Obronnej dla oficerów starszych, przygotowujących się do objęcia wyższych stanowisk etatowych, także w strukturach międzynarodowych. Nadal są prowadzone kursy doskonalące oraz kwalifikacyjne dla oficerów przewidzianych do awansu na wyższy stopień.

Władze ASzWoj przyznają, że w kształceniu mundurowych wyznacznikiem ma być przede wszystkim elitarność. Dlatego kandydatów będą obowiązywać egzaminy wstępne. Ci, którzy w październiku rozpoczęli studia, nie musieli ich jeszcze zdawać, ale za rok będą już one obowiązkowe. „Chcemy stawiać na najlepszych, dlatego ci, którzy dostaną się do ASzWoj, nadal będą podlegać weryfikacji. Ich wiedza będzie sprawdzana podczas sesji, gier

decyzyjnych, ćwiczeń dowódczo-sztabowych. Jeśli ktoś się nie sprawdzi, nie będzie dla niego miejsca w Akademii”, mówi płk Majchrzak.

Uczelnia pod nową nazwą zachowała wszelkie uprawnieńi akademickie, związane chociażby z nadawaniem stopni naukowych doktora i doktora habilitowanego w naukach społecznych, w dwóch dyscyplinach: bezpieczeństwie i obronności. Perspektywnie taką możliwość będzie też oferował Wydział Wojskowy. „To, co się dzieje w szkolnictwie, to tylko część procesu zmian. Druga i być może ważniejsza część to zmiana mentalności w sposobie definiowania tego, czym jest edukacja wojskowa i jakim człowiekiem powinien być oficer Wojska Polskiego. Nawet najdłuższy marsz zawsze zaczyna się od pierwszego kroku. My robimy dziś ten pierwszy krok na długiej drodze zmian w szkolnictwie wojskowym”, mówi rektor.

Ale o elitarności Akademii mają też świadczyć jej działania. Od 1 czerwca w ramach zmiany struktur funkcjonuje tu Centrum Badań nad Bezpieczeństwem. To ośrodek analityczny, którego zadaniem jest przygotowywanie ekspertyz dla wojska oraz innych organów i instytucji państwa zajmujących się szeroko pojętym bezpieczeństwem. W jego strukturze znalazły się: Ośrodek Studiów nad Wyzwaniami Cywilizacyjnymi, Ośrodek Badań Azji oraz Ośrodek Studiów Przestrzeni Postsowieckiej. Centrum liczy około 30 pracowników naukowych, ale do współpracy będą też zapraszani specjaliści z innych instytucji analitycznych w kraju. Powstają już pierwsze ekspertyzy, w tym dotyczące strategicznego przeglądu obronnego. ■

WSPÓŁPRACA AD, ŁŻ



MUZEUM WOJSK LĄDOWYCH w Bydgoszczy

ul. Czerkaska 2, 85-641 Bydgoszcz
tel. 261 41-20-26, fax 261 41-23-31
www.muzeumwl.pl
Znajdź nas na Facebooku 

Oddział w Toruniu
ul. Sobieskiego 24-28, 87-100 Toruń
tel. 261 43-24-66
fax 261 43-24-65

Oddział we Wrocławiu
ul. Obornicka 108, 50-961 Wrocław
tel. 261 65-74-23, 261 65-74-24





W WSOWL we współpracy z uczelniami wojskowymi z Rumunii, Węgier, Austrii i Czech jest opracowywany w pełni uznawany przez wszystkie szkoły wyższe program semestru międzynarodowego dla podchorążych.

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Edukacja bez granic

Czechy, Austria, Węgry, Stany Zjednoczone, a nawet Kuwejt i Katar – między innymi te kraje reprezentują studenci wojskowi, którzy szkolą się z polskimi podchorążymi. Rodzime uczenie wojskowe coraz mocniej stawiają na współpracę międzynarodową.

Zalety związane z wysyłaniem podchorążych na inne uczelnie wojskowe można mnożyć. Przede wszystkim studenci dzięki różnym programom edukacyjnym poznają inne modele kształcenia, poszerzają horyzonty i zdobywają nowe umiejętności. Szlifują języki obce i nawiązują kontakty, które mogą zapoczątkować w przyszłości. Każda z rodzimych uczeni wojskowych co roku wysyła poza granice kraju kilku lub kilkunastu podchorążych. Szkoły wyższe i akademie są otwarte także na kadetów przyjeżdżających na studia do Polski. Ale z programów stypendialnych, wyjazdów szkoleniowych i praktyk dydaktycznych korzystają też wykładowcy i pracownicy administracyjni.

ZA OCEAN

„Pamiętam, jak po przystąpieniu Polski do NATO nasi podchorążowie byli zapraszani na różnego rodzaju ćwiczenia międzynarodowe. Na manewry wyjeżdżały całe pododdziały wojskowych studentów”, wspomina ppłk Andrzej Demkowicz, wykładowca wrocławskiej Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych. I tak na przykład, na mocy różnego rodzaju porozu-

mień, na Florydę poleciała blisko setka podchorążych WSOWL. Studenci wyjeżdżali także w ramach programu „Partnerstwo dla pokoju” do Kanady, Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Mołdawii, Ukrainy, Armenii i Włoch. „Obecnie jesteśmy w fazie intensywnego rozwoju kontaktów międzynarodowych”, przyznaje wykładowca z wrocławskiej uczelni. Jej podchorążowie zaczęli uczestniczyć w szkoleniach oraz zawodach międzynarodowych, na których odnosili wiele sukcesów. WSO prowadziła (i nadal prowadzi) intensywne treningi z wojskowymi szkołami w Czechach, Rumunii, na Węgrzech, we Francji i w Szwajcarii. „Zawarliśmy już bardzo dużo umów roboczych, więc zobowiązań jest sporo. Nie zależy nam tylko na integracji podchorążych, lecz przede wszystkim na rozwijaniu przez nich umiejętności metodycznych, językowych, technicznych i obyciu na gruncie międzynarodowym”, precyzuje ppłk Demkowicz.

Międzynarodowe projekty edukacyjne są dzisiaj wizytówką wrocławskiej uczelni. Anna Zamiar-Ziółkowska, kierownik Biura Karier i Programów Międzynarodowych WSOWL, przyznaje, że jeszcze pięć lat temu uczelnia

Z PROGRAMÓW STY- PENDIALNYCH, WYJAZ- DÓW SZKOLENIOWYCH I PRAKTYK DYDAKTYCZ- NYCH KORZYSTAJĄ NIE TYLKO STUDENCI, LECZ TAKŻE WYKŁADOWCY I PRACOWNICY ADMINISTRACYJNI

miała podpisane dwie umowy z placówkami partnerskimi. Obecnie takich porozumień jest blisko 40. Kolejne są w trakcie procedowania i będą zatwierdzone jeszcze w tym roku. Między innymi z wyższymi szkołami w Grecji, Brukseli i Szwecji. Władze WSO mają także ambicje, by współpracować z amerykańską West Point. „Wzmocniliśmy współpracę nie tylko w ramach krajów ościennych, lecz także całej Unii Europejskiej. Co roku wysyłamy studentów na studia i praktyki, a nauczycieli i pracowników administracyjnych w celach szkoleniowych lub dydaktycznych. Ale nie spoczywamy na laurach. Przed nami kolejne wielkie wyzwania”, zapowiada Anna Zamiar-Ziółkowska.

W ubiegłym roku akademickim w ramach programu „Erasmus+” na studia do uczelni partnerskich wyjechało 34 podchorążych WSOWL, dwie osoby zostały skierowane na praktyki zagraniczne. Do Wrocławia zaś na jeden semestr przyjechało 46 kadetów z 42 uczelni wojskowych. Z kolei 15 nauczycieli akademickich WSO wyjechało prowadzić zajęcia za granicą, a 35 przyjechało do Polski.

Wrocławska uczelnia podpisała już pierwszą umowę o współpracy z uczelnią zza oceanu: amerykańskim uniwersytetem w Georgii Północnej. Na mocy porozumienia pierwsi polscy podchorążowie na naukę za ocean będą mogli polecieć już w przyszłym roku, jest przewidziana także wymiana kadry dydaktycznej.

Ale to nie wszystko. W ramach programu „Erasmus+” szkoła oficerska realizuje wart 260 tys. euro międzynarodowy projekt partnerstwa strategicznego. Polega on na wdrożeniu innowacyjnych rozwiązań w dziedzinie kształcenia przyszłych oficerów. „Jesteśmy na półmetku projektu. Wspólnie z uczelniami wojskowymi z Rumunii, Węgier, Austrii i Czech opracowaliśmy w pełni uznawany przez wszystkie szkoły wyższe program semestru międzynarodowego dedykowany podchorążym. Trwają jeszcze prace nad przygotowaniem dodatkowych materiałów dydaktycznych na potrzeby każdego z przedmiotów, np. e-booków. Od lutego 2017 grupa 25 studentów z uczelni partnerskich będzie testować wspomniany program. Rozpocznie się on w październiku 2017 roku”, zapowiada Anna Zamiar-Ziółkowska. Podczas jednego semestru wojskowi studenci będą się uczyć m.in. przywództwa wojskowego, interoperacyjności, komunikacji międzykulturowej, międzynarodowego prawa konfliktów zbrojnych i bezpieczeństwa cybernetycznego. Sukcesem WSOWL było także zdobycie pierwszego miejsca w kon-

kursie EDU Inspiracje, zorganizowanym przez Fundację Rozwoju Systemu Edukacji. Konkurs na najlepszą pracę w tym projekcie przeprowadzono pod hasłem „Dobry rezultat – trwale oddziaływanie”. Jury wybierało zwycięski projekt spośród ponad 3 tys. inicjatyw realizowanych w ostatnich dwóch latach. Zwycięzców wyłaniano w pięciu kategoriach. Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Lądowych była oceniana w kategorii szkolnictwa wyższego.

ORLETA ZA GRANICĄ

Dęblńska uczelnia podpisała umowy o współpracy z dziesięcioma uczelniami zagranicznymi w ramach programu „Erasmus+”. Wykładowcy i pracownicy naukowcy wyjeżdżają na zagraniczne staże, a studenci wojskowi i cywilni – na studia i praktyki, m.in. na Uniwersytet Obrony w Brnie, do Henri Coandă Air Force Academy w Braşov w Rumunii czy Wojskowego Uniwersytetu Vasil Levski w Bułgarii. Wymiany odbywają się także z uczelniami cywilnymi: politechniką w Madrycie, uniwersytetem w Leon w Hiszpanii, Estońską Akademią Lotniczą w Tartu, Ecole Nationale de l'Aviation Civile w Tuluzie (ENAC), słowackim Uniwersytecie Technicznym w Koszycach, a także National Public Service University w Budapeszcie. W minionym roku akademickim za granicę wyjechało 30 studentów oraz dziesięciu wykładowców, przyjechało natomiast do WSOSP 22 studentów i pięciu wykładowców z uczelni partnerskich. Planowane są kolejne umowy bilateralne w ramach programu „Erasmus+”.

Szkoła Orląt uczestniczy też w przedsięwzięciach objętych programem wymiany oficerów młodszych, tzw. European Initiative for the Exchange of Military Young Officers, znanym jako „Military Erasmus”. Podchorążowie biorą udział w warsztatach, międzynarodowych tygodniach kadeta, konferencjach, wydarzeniach kulturalno-sportowych organizowanych przez wojskowe uczelnie zagraniczne, m.in. US Air Force Academy, Aviation University w Changhun w Chinach, Akademię Sił Powietrznych w Salon-de-Provence we Francji, Chorwacką Akademię Obrony czy Bałtycką Akademię Obrony. Warto dodać, iż uczelnia należy również do European Air Force Academies (EUFAFA), która zrzesza europejskie wojskowe uczelnie lotnicze.

W Szkole Orląt zaczyna się też urzeczywistniać koncepcja powołania w Dęblinie międzynarodowego ośrodka szkolenia lotniczego. Wiele krajów jest poważnie zainteresowanych kształceniem swoich przyszłych pilotów →



KRZYSZTOF MIŁOSZ/AKADEMIA MARYNARKI WOJENNEJ

Podchorążowie z zagranicy w gdyńskiej uczelni uczą się między innymi języka polskiego. Na zdjęciu studenci z Kuwejtu

GDYŃSKA AMW WSPÓŁPRACUJE MIĘDZY INNYMI Z OŚRODKAMI SZKOLENIO- NIOWYMI Z BUŁGARII, RUMUNII, NIEMIEC, A TAKŻE Z INSTYTUTEM PRZY- GOTOWUJĄCYM DO SŁUŻBY PRZYSZŁE KADRY SIŁ MORSKICH UKRAINY

i nawigatorów właśnie w tej uczelni. Już w listopadzie jest planowane przyjęcie pierwszej grupy studentów ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich na szkolenie na potrzeby uzyskania licencji zawodowej. Trwają negocjacje dotyczące zawarcia umów o współpracy m.in. z Arabią Saudyjską i Kuwejtem. Chęć wysłania do Dębina studentów na szkolenie lotnicze podstawowe wyrazili także przedstawiciele Wietnamu, Korei Południowej i Algierii. „Dla nas to spore wyzwanie. Musimy przygotować kadre i programy nauczania do kształcenia w języku angielskim. Tu nie ma możliwości poprawki. Wszystko musi być zorganizowane i przygotowane od razu na najwyższym poziomie, bo pierwsza grupa, która ukończy u nas szkolenie, będzie naszą wizytówką za granicą. Jeśli spełnimy oczekiwania zagranicznych partnerów, to za nimi pójść następni. Będzie to powód do dumy i przyczynek do dalszego rozwoju naszej szkoły”, przyznaje płk pil. dr Piotr Krawczyk, nowy rektor-komendant Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie

NA SZEROKIE WODY

Szkoła Orłąt przewiduje zacieśnianie współpracy także na gruncie krajowym z innymi uczelniami i ośrodkami wojskowymi. Przykładem takich działań może być utworzone w 2014 roku przez Wyższą Szkołę Oficerską Sił Powietrznych i Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych Centrum Naukowe Lotnictwa. Zasadniczym zadaniem tej międzyinstytucjonalnej jednostki naukowej jest koordynacja działań zmierzających do wspólnej realizacji projektów naukowo-badawczych i działań eksperckich w dziedzinach związanych z szeroko pojętą techniką lotniczą, jak również do rozwoju naukowego personelu obu ośrodków naukowych czy też wspierania się w działalności wydawniczej.

Dla studentów z zagranicy coraz atrakcyjniejsza staje się także gdyńska Akademia Marynarki Wojennej. „W poprzednim roku akademickim rozpoczęliśmy kształcenie przyszłych oficerów marynarki wojennej oraz straży granicznej Kuwejtu i Kataru. To efekt porozumienia, które zawarły resorty obrony narodowej Polski i tychże państw”, tłumaczy kmdr prof. dr hab. Tomasz Szubrycht, rektor-komendant AMW. Zajęcia dla podchorążych z zagranicy są prowadzone w języku angielskim. Jednak podczas studiów uczą się oni także polskiego. Uczelnia rozważa nawet, czy w przyszłości nie uczynić z niego języka wykładowego. „Po pierwszym roku strona kuwejcka przeprowadziła wśród swoich studentów testy sprawdzające ich wiedzę. Wypadły bardzo dobrze. Kuwejtczyści są na tyle zadowoleni, że powoli rezygnują z kształcenia swoich podchorążych we Francji właśnie na rzecz naszej uczelni. I nie chodzi tu tylko o koszty”, podkreśla rektor-komendant. Na dobrej opinii, którą w tamtej części świata zyskuje AMW, może skorzystać nie tylko ona. „Podobną drogą co Kuwejt i Katar chce pójść Arabia Saudyjska. Zasugerowaliśmy MON-owi, że jej przedstawiciele powinni prowadzić rozmowy ze wszystkimi uczelniami wojskowymi w Polsce”, zaznacza kmdr Szubrycht.

Gdyńska AMW współpracuje też z akademiami marynarki wojennej z Bułgarii, Rumunii, Niemiec, a także z instytutem przygotowującym do służby przyszłe kadry sił morskich Ukrainy. Studenci tych państw przyjeżdżają do Polski na praktyki, nasi podchorążowie z kolei jeżdżą najczęściej na Bałkany. „W Bułgarii i Rumunii biorą m.in. udział w ćwiczeniach taktycznych. Na tamtejszych okrętach szkolnych poznają np. tajniki manewrowania w szykach. Wiedzę zdobywają w mieszanych międzynarodowych grupach” wyjaśnia rektor-komendant. ■

WSP. ŁZ

AMERYKAŃSKIE SKRZYDEŁKA

Z Kajetanem Łapczukiem

**o lotniczej pasji, miłości do lotnictwa
bojowego oraz o szkoleniu
w Stanach Zjednoczonych rozmawia
Magdalena Kowalska-Sendek.**

Jest Pan absolwentem Ogólnokształcącego Liceum Lotniczego w Dęblinie i amerykańskiej Akademii Sił Powietrznych w Colorado Springs. Dyplomem tej drugiej uczelni niewielu Polaków może się pochwalić. Jak to się stało, że rozpoczął Pan studia za oceanem?

Muszę przyznać, że na początku lotnictwo nie było moją wielką pasją. Co prawda jako nastolatek interesowałem się wojskiem i marzyłem o włożeniu munduru, ale niekoniecznie stalowego. Sprawy potoczyły się jednak inaczej. Kiedy skończyłem gimnazjum w Koszalinie, postanowiłem zrobić coś innego niż wszyscy moi rówieśnicy. I zamiast zanieść dokumenty do miejscowego dobrego liceum, ja aplikowałem do ogólniaka w Dęblinie. Nauka tam była dla mnie wyzwaniem, możliwością sprawdzenia samego siebie.

Tymczasem w trzeciej klasie dostał Pan propozycję, by studiować w Colorado Springs...

Dla mnie to było wielkie zaskoczenie. W sumie kandydatów na studia w Stanach Zjednoczonych było ośmiu. Wszyscy zdawaliśmy amerykańską maturę i przechodziliśmy cały proces kwalifikacji. Bardzo się ucieszyłem, kiedy się dowiedziałem, że ostatecznie to mnie wybrano.

Do Colorado Springs poleciałem na czteroletnie studia na podstawie porozumień, które USA zawarły z Polską. W 2007 roku podpisałem umowę z dyrektorem Departamentu Kadr MON, uściskałem dłoń ówczesnego ministra obrony Aleksandra Szczygły i ruszyłem za ocean.

Pan jest pierwszym Polakiem z dyplomem tej akademii?

Tę uczelnię 15 lat przede mną ukończyło trzech Polaków, m.in. gen. bryg. Piotr Błazeusz. To właśnie on namówił mnie na wyjazd do USA. Po mnie z kolei studia na tej uczelni ukończyli jeszcze piloci Maciej Krakowian i Krzysztof Ryszka.

Co Pana zaskoczyło po przyjeździe do Stanów Zjednoczonych?

Przed wszystkim to, że nadal nie miałem nic wspólnego z lataniem. Amerykański system kształcenia oficerów jest zupełnie inny niż nasz.



W Polsce wojskowa edukacja jest ukierunkowana na rodzaj sił zbrojnych, konkretne specjalności. Amerykanie natomiast przede wszystkim kształcą oficerów, a dopiero później, już po promocji oficerskiej, przygotowują ich do wykorzystania zawodu np. lekarza, logistykę, księgowego, pilota. Tak na dobrą sprawę w Colorado Springs można studiować dowolny kierunek – od inżynierii astronautycznej po historię i anglistykę. Możliwości jest naprawdę dużo, ale ja wybrałem zarządzanie i dowodzenie. Przez pierwsze dwa lata studenci skupiają się na przedmiotach ogólnokształcących, trochę tak jak w naszych liceach, bo, jak twierdzą Amerykanie, oficer US Armed Forces musi mieć wiedzę z każdej dziedziny. Uczyłem się więc na początku matematyki, fizyki, biologii i historii, a dopiero na trzecim i czwartym roku przedmiotów specjalistycznych z wybranego kierunku studiów.

To trochę przypomina cywilne studia. Nie było nic z wojskowości?

Przeciwnie. Wszystko, o czym mówię, było przesycone wojskowością. Wykłady akademickie przeplatano zajęciami stricte militarnymi. Początki były najgorsze. Skoszarowano nas i musieliśmy podporządkować się całkowicie kadetom wyższych roczników. Każdego dnia czekały nas intensywne ćwiczenia fizyczne, wyznaczano nam czas na posiłki, sprawdzano porządek w pokojach, byliśmy nieustannie dyscyplinowani i ciągle ktoś na nas krzyczał. Na początku trudno mi było zaakceptować taki wojskowy dryl, ale później zrozumiałem, że jest to konieczne. Do akademii przychodzą ludzie z różnych środowisk. Są tacy, którzy mają w rodzinie wojskowych i zaznali w życiu dyscypliny, a są i tacy, którzy nie mają o niej zielonego pojęcia. Takie surowe traktowanie kadetów ma uodpornić studentów, nauczyć ich podstawowych zasad, przyzwyczaić do ciężkiej pracy, ale przede wszystkim wyrównać poziom.

O Akademii Sił Powietrznych w Colorado Springs mówi się, że to tzw. laboratorium dowodzenia. Co to oznacza?

Widoczne jest to w relacjach między kadetami. Uczący się na pierwszym roku, stają się szeregowymi, na drugim – młodszymi podoficerami, trzeci rok symuluje starszych podoficerów,

a czwarty – oficerów. Organizacja uczelni opiera się właśnie na kadetach, a etatowi oficerowie i podoficerowie pełnią funkcje mentorskie i nadzorcze. Z czasem okazało się, że ten pierwszy rok – tak zniechęcony przez studentów ze względu na wojskową dyscyplinę – był najłatwiejszy. Wystarczyło wykonywać rozkazy przełożonych, mieć ciągle wypastowane buty i nie było żadnych problemów. Nie ponosiliśmy też żadnej odpowiedzialności. Dopiero kolejne lata, zgodnie z symulowaną zmianą stopni wojskowych, przynosiły nowe wyzwania. Na czwartym roku byłem np. dowódcą eskadry, miałem pod sobą ponad sto osób, odpowiadałem za ich wyszkolenie i dyscyplinę. Chociaż ostateczne decyzje na wysokich szczeblach były podejmowane przez kadrę, głos kadetów – „dowódców” miał bardzo duże znaczenie, również w kwestii potencjalnego relegowania z uczelni.

Kiedy Pan zdecydował, że chce zostać pilotem?

Poza czasem akademickim uczyłem się dowodzenia, taktyki i zarządzania ludźmi. Brałem udział w różnego rodzaju programach i kursach spadochronowych, szybowcowych, latałem także awionetkami. Wtedy też postanowiłem, że jeżeli będzie mi dane, to spróbuję swoich sił w lotnictwie.

Nie musiał Pan wracać do kraju po studiach?

Wróciłem na kilka miesięcy. Okazało się, że mój stopień oficerski uzyskany w Akademii Sił Powietrznych w USA nie ma przełożenia na struktury w Polsce. Pozostałem więc starszym szeregowym i dostałem etat magazyniera w Radomiu. Z czasem wysłano mnie na kurs oficerski w Wyższej Szkole Oficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie i w końcu udało mi się przypiąć upragnione gwiazdki. Dopiero po promocji wróciłem do USA na szkolenie lotnicze.

WIZYTÓWKA



POR. PIL. KAJETAN ŁAPCZUK

Jest absolwentem Ogólnokształcącego Liceum Lotniczego w Dęblinie i amerykańskiej Akademii Sił Powietrznych w Colorado Springs. Podczas kariery służbowej pilotował m.in. T-6, PZL-130 Orlik oraz wielozadaniowe F-16. Obecnie służy w 6 Eskadrze w 31 Bazie Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach. Jego nalot życiowy to około 600 godzin.



KAMIL POZNIAK

Amerykanie kształcą oficerów, a później przygotowują ich do zawodu np. lekarza, księgowego, pilota

Zanim usiadł Pan za sterami F-16, szkolił się na innych typach samolotów?

W 2012 roku zostałem skierowany na osiemnastomiesięczny kurs intensywnego szkolenia z pilotażu (Joint Specialized Undergraduate Pilot Training). Zaczynałem od turbośmigłowego T-6. Po 120 godzinach spędzonych w powietrzu eskadra decydowała, kto nadaje się do lotnictwa bojowego, a kto do transportowego. Mnie i moich kolegów skierowano na szkolenie na T-38 C. Po 120 godzinach nauki latania na talonie trafiłem do bazy w San Antonio, gdzie poznawałem zasady bojowego wykorzystania tego samolotu. Ćwiczyłem m.in. walkę na krótkim dystansie i rzucanie bomb. I muszę przyznać, że to był właśnie ten moment, który utwierdził mnie w przekonaniu, że zrobię wszystko, by służyć jako pilot bojowy. A wiedziałem przecież, że T-38 C to dopiero przedsmak tego, co mnie czeka na F-16. Kurs ukończyłem jako jeden z najlepszych pilotów, uzyskując tytuł Top Gun w fazie air-to-air.

Kolejnym przystankiem był już upragniony F-16...

Tak, poleciałem do bazy w Tucson na podstawowy kurs pilotażu F-16. Do dziś pamiętam emocje, jakie towarzyszyły mi podczas pierwszego lotu! Najciekawsze było to,

że zgodnie z wytycznymi amerykańskich instruktorów swój pierwszy w pełni samodzielny lot na F-16 wykonałem już po czterech misjach powietrznych z instruktorem. To było coś niesamowitego! Nie mogłem uwierzyć, że ktoś daje w moje ręce samolot o wartości 30 mln dolarów zaledwie po czterech lotach z instruktorem i sześciu godzinach spędzonych w symulatorze.

Skok na głęboką wodę. Ale poradził Pan sobie?

Owszem, obyło się bez komplikacji, ale takie zachowanie instruktora świadczy o podejściu Amerykanów do szkolenia lotniczego. Oni od początku uczą, że F-16 jest samolotem jednomiejscowym, a pilot musi wiedzieć, jak sobie radzić w trudnych sytuacjach. Poza tym w takim locie instruktor podąża za szkolonym w drugiej maszynie i w razie trudności służy mu radą.

Do kraju wrócił Pan w 2015 roku. Czy porównywał Pan modele szkolenia obowiązujące w Polsce i USA?

Wróciłem jako w pełni wyszkolony pilot skrzydłowy. W Krzesinach przeszkoliłem się na wersję samolotu, którego używamy w Polsce. Porównywanie umiejętności jest niejako wpisane w specyfikę naszego zawodu. Wynika to ze stopnia skomplikowania tej profesji, która potrafi wprowadzić w samozachwyt. Dlatego sztuką jest trzymać swoje ego na wodzy i znać własne ograniczenia. Jest nawet taki kawał: jak poznać, że pilot F-16 wszedł do baru? Odpowiedź brzmi: bo sam ci to powie.

Ale jeśli chodzi o odpowiedź na pytanie, to trudno mi ocenić oba modele szkoleniowe, bo dogłębnie poznałem tylko jeden z nich. Na pewno różnice są na etapie akademickim. Kurs podstawowy pilotażu F-16, tzw. basic course, sam w sobie niewiele się różni od naszego modelu szkolenia.

To zapytam inaczej: jakie zalety, Pana zdaniem, ma zachodni model szkolenia?

Z pewnością w USA bardzo mocno naciska się na indywidualny rozwój pilota. Praca z instruktorami w powietrzu polega przede wszystkim na nauce i treningu, a nie na eliminowaniu i szukaniu słabych stron kursanta.

Jak doświadczenie i wiedza zdobyte za oceanem wpłynęły na Pana dotychczasową służbę?

Służę w 31 Bazie Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach. Dużo latam, cały czas się szkole i podnoszę swoje kwalifikacje. Biorę udział w narodowych i międzynarodowych ćwiczeniach lotniczych na całym świecie. Przede mną w nie tak odległej przyszłości kurs na dowódcę pary, ale najważniejsze jest dla mnie to, że latanie cały czas mnie cieszy i mam do czego dążyć. ■



DOKONAŁEM DOBREGO WYBORU

Z Andrzejem Sapichem

**o nauce we wrocławskiej Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk
Lądowych i powodach, dla których warto studiować
w mundurze, rozmawia Paulina Glińska.**

Wtym roku ukończył Pan wrocławską uczelnię i ze średnią 4,76 został prymusem. Czy pięć lat temu, zaczynając studia, brał Pan pod uwagę taki scenariusz?

Absolutnie nie, bo wiedziałem, jak ogromna będzie konkurencja. Wtedy do Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Lądowych na sto miejsc przygotowanych dla pierwszego rocznika było ponad 2 tys. kandydatów. Ci, którzy się dostali, byli najlepsi z najlepszych. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że ukończę uczelnię jako prymus.

Czy już na studiach rywalizował Pan z kolegami?

Studia w szkole oficerskiej mają swoją specyfikę. Tak naprawdę przez pięć lat uczelnia była dla mnie drugim domem. Z kolegami z rocznika żyliśmy odizolowani od reszty społeczeństwa, spędzaliśmy ze sobą praktycznie cały czas pod jednym dachem. Mieszkaliśmy po kilku w pokojach, wspólnie jedliśmy posiłki, razem się uczyliśmy i przygotowaliśmy różne projekty. Czasu wolnego było

jak na lekarstwo, a o prywatności można było jedynie pomarzyć. Takie skoszarowanie to nie jest sytuacja tak do końca zwyczajna. Myślę, że nie każdy by sobie poradził. Dlatego obowiązywały reguły: nie ma miejsca na konflikty, trzeba sobie pomagać i razem przez te studia przejść. Kluczowe było przestrzeganie zasad koleżeństwa, szczerść i uczciwość wobec samego siebie. Nie było więc u nas wyścigu szczurów, a rywalizacja, jeśli już się pojawiła, to zdrowa, motywująca. To nam się opłaciło. Pierwsze trzy lokaty rocznika należały do naszej drużyny.

Dlaczego zdecydował się Pan na studia we wrocławskiej uczelni?

Kształciłem się w liceum Politechniki Łódzkiej, która przygotowywała sobie w ten sposób przyszłych studentów. Właśnie w tym czasie pierwszy raz pomyślałem o studiach w mundurze. Padło na Wrocław, bo to uczelnia kształcąca przyszłych menedżerów wojskowych, dowódców. A ja czułem, że mam ku temu predyspozycje.

Ostatecznie wrocławska uczelnia była jedyną, do której złożyłem dokumenty. Nie brałem wówczas pod uwagę, że może się nie udać. Tym bardziej że miałem bardzo dobre oceny, dodatkowo licencję pilota szybowca, dyplomy z konkursów wiedzy, olimpiad, za działalność w samorządach szkolnych. Byłem też dobrze przygotowany sprawnościowo. To ostatnie ma kolosalne znaczenie. Osoba, która ma problem z egzaminami z WF-u, już na starcie pokazuje, że nie jest wystarczająco zdeterminowana, by w tej uczelni studiować. Dokumenty składa się do końca marca, egzaminy sprawnościowe odbywają się w wakacje, więc na przygotowania jest naprawdę sporo czasu. W efekcie to właśnie „sprawnościówka” determinuje jedną z głównych cech przyszłego oficera: dążenie do celu.

Na trzecim roku, w ramach wymiany studentów, przez jeden semestr był Pan słuchaczem Uniwersytetu Służb Publicznych w Budapeszcie. Co Panu dał ten wyjazd?

Kształciłem się w wojskowo-cywilnej uczelni, która funkcjonuje na analogicznej zasadzie, jak ta we Wrocławiu. Mieliliśmy zajęcia w międzynarodowym środowisku, byli tam m.in. Czesi, Rumunii, Słowacy, Turcy, Brytyjczycy, Francuzi i Austriacy. Przez pięć miesięcy językiem wykładowym był angielski. Uczyliśmy się o świadomości międzykulturowej, współpracy cywilno-wojskowej, poruszaliśmy wiele zagadnień geopolitycznych. Był to mój pierwszy wyjazd za granicę i naprawdę wiele dzięki niemu zyskałem. Nie tylko rozwinąłem się językowo i kulturowo, lecz także zdobyłem wojskowe doświadczenie. Wszystko dlatego, że sporo czasu spędzałem z oficerami, z którymi mieszałem w jednym budynku. Oni też studiowali na uniwersytecie, dlatego że na Węgrzech jest nieco inny niż u nas system kształcenia. Wystarczy, że młodszy oficerowie zdobędą licencjat, a na magisterkę wracają już jako kapitanowie lub majorzy. Dla mnie osobiście wiedza tych oficerów, poparta realnym doświadczeniem w dowodzeniu, była bardzo cenna. Mając wizję zostania podporucznikiem, zdobywałem jak najwięcej informacji o tym, jak się kształcą, a potem dowodzą oficerowie.

Nie miał Pan zaległości w nauce po kilkumiesięcznym pobycie na Węgrzech?

Aby pojechać na taką wymianę, nie można mieć żadnych zaległości. Mój wyjazd odbył się miesiąc przed sesją, co w praktyce oznaczało, że o tyle wcześniej musiałem wszystko pozaliczać. Podobnie było po powrocie. Choć w przypadku przedmiotów cywilnych wyniki zaliczeń zgodnie z zasadą programu „Erasmus” są uznawane między uczelniami. Cały moduł wojskowy natomiast, temat po temacie, musiałem zdać.

Z wymiany międzyuczelnianej korzystają nieliczni. Jakie inne możliwości oferuje wrocławska uczelnia swoim podchorążym?

W uczelni działa mnóstwo sekcji i kół zainteresowań. Ja osobiście należałem do sekcji inżynierii wojskowej, której profil był zbieżny z kierunkiem mojej specjalności. Organizowano dla nas dodatkowe zajęcia z ministerstwa, wysadzania, budowy zapór inżynieryjnych. Odwiedzaliśmy też jednostki, które poznawaliśmy od kuchni: ich sprzęt, zadania, zasady działania. W taki sposób, w ramach kół zainteresowań, jest rozwijany niemal każdy wojskowy przedmiot, wykładany dla podchorążych.

Pozostał Pan w uczelni, by szkolić kolejne pokolenia podchorążych. W sierpniu objął Pan stanowisko dowódcy plutonu. Jak się Pan odnalazł w nowej roli?

Moi przełożeni uznali, że tak lepiej wykorzystam swoją wiedzę i umiejętności. Przez pięć lat spotykałem się z dowódcami plutonu, rozmawiałem z nimi, więc dobrze wiedziałem, jaka jest specyfika tej pracy i czego się mogę spodziewać. Na pewno odnalazłem się w nowej roli, choć nie uważam, że jestem po drugiej stronie barykady. Chcę korzystać z dobrych wzorców, także tych zdobytych za granicą, nie stać przed żołnierzami, tylko obok nich, szkolić ich, ale też wspierać. Dlatego podczas „unitarki” podchorążych pierwszego rocznika starałem się być z żołnierzami nie tylko teoretycznie, ale przede wszystkim praktycznie, w polu.

Namawia Pan innych do studiowania na uczelni?

Robię to nieustannie od pięciu lat. Namawiam każdego, u kogo widzę potencjał, miłość do ojczyzny, a szósty zmysł mi podpowiada, że będzie dobrym kandydatem. Uważam że studia w mundurze dają ogromne możliwości, nie tylko zdobycia dobrej pracy, lecz także rozwoju. Żeby jednak nie było tak „cukierkowo”, zawsze też podkreślam, że to wielka próba i bez determinacji oraz patriotycznej postawy może być bardzo trudno. Do tego dochodzą inne cechy: odporność na stres, odporność fizyczna, ambicja, chęć rozwoju. Silnej motywacji musi wystarczyć na pięć lat. Bo podchorąży, któremu przestanie się chcieć na trzecim roku, może tych studiów nie ukończyć, albo je ukończy, ale marny będzie z niego oficer. ■

Ppor. ANDRZEJ SAPICH naukę w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Lądowych we Wrocławiu rozpoczął w 2011 roku w korpusie osobowym inżynierii wojskowej, w grupie osobowej przeprowadowej. Dwukrotnie otrzymał honorowy tytuł Wzorowy Podchorąży. W tym roku ukończył uczelnię ze średnią 4,76 i został prymusem rocznika. Obecnie jest dowódcą plutonu szkolnego w WSOWL.

EURO POL TECH

20
17

26-28.04
2017
Gdańsk

MIĘDZYNARODOWE TARGI
TECHNIKI I WYPOSAŻENIA
SŁUŻB POLICYJNYCH
ORAZ FORMACJI
BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWA

VIII MIĘDZYNARODOWA
KONFERENCJA POLICYJNA



MARCIN GÓRKA

Przede wszystkim myślenie

NATO dyskutuje, czyli jak wojskowi studiują w Rzymie.

Bardzo pożądane jest ustanowienie NATO Defense College, czyli uczelni przeznaczonej do szkolenia personelu, który będzie potrzebny do służby na wysokich i odpowiedzialnych stanowiskach w organizacjach sojuszu północnoatlantyckiego”, tak gen. Dwight Eisenhower uzasadniał konieczność utworzenia i sens funkcjonowania NATO Defense College. „Priorytetem dla nas jest wymóg rozwoju personelu zarówno wojskowego, jak i cywilnego, który będzie miał całkowite pojęcie na temat licznych i skomplikowanych czynników wpływających na kreowanie odpowiedniego działania w obszarze sojuszu północnoatlantyckiego”. To właśnie według koncepcji naczelnego dowódcy Sił Sprzymierzonych w Europie (Supreme Allied Command Europe – SACEUR) 19 listopada 1951 roku powstała w Paryżu natowska uczelnia. Kiedy jednak w 1966 roku Francja wycofała się ze struktur wojskowych sojuszu, akademię przeniesiono do Rzymu. I tak niedawno, czyli między 13 a 14 października, uczelnia świętowała 65. rocznicę powstania, a jednocześnie 50-lecie działania w Rzymie.

W kwietniu 2002 roku Rada Północnoatlantycka wydała wytyczne dla NATO Defense College, w których

wyrażono oczekiwanie, że uczelnia „jako instytucja o najwyższym poziomie akademickim będzie fundamentem edukacji sojuszu”. Jej misją ma być wspieranie efektywności i jedności sojuszu, uczenie myślenia na strategicznym poziomie i rozwijanie się tak, by była głównym centrum edukacji, studiów i badań NATO. „U nas nauczanie nie opiera się na przekazywaniu czystej wiedzy. Tutaj wiedzę można, owszem, uzyskać, ale raczej w formie dyskusji z innymi uczestnikami studiów. Tyle że nie jest to nasz główny cel”, wyjaśnia ppłk Wojciech Sochacki, NATO Defense College. „Naszą rolą jest przekazanie umiejętności prowadzenia dyskusji, wypracowywania wspólnych wniosków i rozwiązań, które dla słuchaczy będą podstawą przyszłego współdziałania na stanowiskach kwaterach dowództw NATO”.

Jak zatem wyglądają zajęcia na tej uczelni? To nie są tylko wykłady. I choć nauczanie prowadzi się i w takiej formie, jest to tylko wstęp do właściwej pracy. W grupach, najwyżej 12-osobowych, studenci dyskutują na podany przez wykładowcę temat, by wspólnie zaproponować rozwiązanie jakiejś kwestii. „Nie ma, oczywiście, mowy o narzucaniu grupie jednej, gotowej odpo-



wiedzi”, podkreśla ppłk Sochacki. „Wnioski muszą być wynikiem dyskusji. Co nie jest łatwe, bo rozważanych problemach nierzadko ścierają się interesy sojuszu narodowymi”. Tak jest na przykład, gdy dochodzi do dyskusji o wzmacnianiu obrony NATO. Oczywiście studenci z Polski, państw bałtyckich, Czech, Słowacji czy Węgier namawiają do wzmacniania wschodniej flanki NATO, ale Włosi, Grecy, Turcy i przedstawiciele krajów bałkańskich zwracają uwagę na inne priorytety. „Najciekawsze wnioski z tych dyskusji – wypracowane zarówno w grupach, jak i przez poszczególnych studentów – przesyłamy do Kwatery Głównej NATO w Brukseli”, mówi ppłk Sochacki.

„Tematy do studiów dostajemy bowiem stamtąd i są to aktualne zagadnienia, nad którymi pracuje sojusz północnoatlantycki. Dzięki temu nasi studenci są na bieżąco z tym, co dzieje się w NATO, a jednocześnie ich wnioski są wykorzystywane w dowództwie”.

KURSY DLA OFICERÓW I AMBASADORÓW

NATO Defense College nie jest typową uczelnią, więc nie są tu organizowane studia podyplomowe, a tym bardziej np. magisterskie. Kształtuje ona natomiast wyższą kadre oficerską, cywilną, a także dyplomatów z państw NATO i jego sojuszników. Tutaj działania edukacyjne obejmują sześć kursów. Podstawowy, i najważniejszy, jest prowadzony dwa razy w roku dla oficerów starszych (senior course) i trwa pięć i pół miesiąca. Oficerowie w randze pułkownika oraz cywile najpierw uczestniczą w trzech dwutygodniowych podróżach studyjnych, a na koniec biorą udział w dwu-, trzydniowych ćwiczeniach zarządzania kryzysowego. Podróże studyjne mają przybliżyć studentom działanie zarówno struktur NATO (studenci jadą wtedy do Kwatery Głównej sojuszu czy dowództwa SHAPE), jak i poszczególnych krajów. Przewidziano wizyty nie tylko w ośrodkach militarnych, lecz także w siedzibach Organizacji Narodów Zjednoczonych, Banku Światowego czy instytucji Unii Europejskiej. Rocznie w takim kursie bierze udział około 170 studentów z NATO, państw uczestniczących w „Partnerstwie dla pokoju”, Dialogu Śródziemnomorskim czy Stambulskiej Inicjatywie Współpracy.

Inną formą kształcenia są kursy dla oficerów flagowych, generałów i ambasadorów, przedstawicieli natow-

TA UCZELNIA MA PRZYGO- TOWAĆ LIDERÓW DO PEŁNIENIA NAJWAŻNIEJ- SZYCH FUNKCJI W SOJUSZU PÓŁNOCNO- ATLANTYCKIM

skiej współpracy regionalnej, a także krótkie kursy modułowe. Organizowane są również regionalne konferencje wyższego kierownictwa, adresowane do wybranych wysokiej rangi dyplomatów generałów, oficjeli, polityków i naukowców z państw NATO oraz krajów partnerskich z regionu Zatoki Perskiej i basenu Morza Śródziemnego.

WYBRANI KANDYDACI

Natowska uczelnia College mieści się w sporym budynku przy Via Giorgio Pelosi południowej części Rzymu. Znajdują się tam aula, sale wykładowe i pokoje studyjne do pracy dla grup studentów, a także siłownia, stołówka i bar. Studenci

nie mają autonomicznego kampusu, więc każdy musi sam się zatroszczyć o zakwaterowanie, przy czym władze uczelni pomagają w znalezieniu mieszkania do wynajęcia.

Na uczelnię tę nie można się po prostu zapisać. „Kandydatów kierują poszczególne państwa, które finansują ich pobyt i studia”, wyjaśnia ppłk Sochacki. „Osoby, które do nas trafiają, mogą być typowane przez ministerstwa obrony narodowej, spraw zagranicznych czy spraw wewnętrznych, ale zawsze ostateczną decyzję o skierowaniu na studia podejmuje resort obrony”. Większość studiujących to wojskowi, ale kształcą się tutaj również dyplomaci, a także przedstawiciele np. policji czy innych służb mundurowych. Największą liczbę słuchaczy do NDC kierują takie państwa jak USA, Włochy, Francja, Turcja, Hiszpania Niemcy. Polacy mieszczą się w przeciętnej liczbie studentów, bo większość państw NATO i jego partnerów wysyła do NDC jedną, dwie osoby.

NATO Defense College współpracuje z Akademią Sztuki Wojennej (wcześniej Akademia Obrony Narodowej), a komendant polskiej uczelni bierze udział w konferencji przedstawicieli różnych uczelni, która jest forum wymiany informacji na temat edukacji wojskowej na szczeblu strategicznym. Studenci NDC uczestniczący w kursie dla oficerów wyższych co dwa lata odbywają studyjne podróże do Polski, a słuchacze Akademii Sztuki Wojennej biorący udział w wyższym kursie obronnym poznają bieżące problemy z dziedziny bezpieczeństwa, które są omawiane w NATO Defense College. ■



II Forum Bezpieczeństwa Morskiego Państwa

**19 stycznia 2017
Warszawa**

**szczegółowe informacje:
www.fbm.ztw.pl**



Wyższa Szkoła Wojenna (WSW) powstała na bazie istniejącej od czerwca 1919 roku Wojennej Szkoły Sztabu Generalnego. W „Dzienniku rozkazów Ministerstwa Spraw Wojskowych” z 16 sierpnia 1922 roku czytamy: „Wojenna Szkoła Sztabu Generalnego zostaje z dniem 1 września 1921 r. przemianowana na Wyższą Szkołę Wojenną o typie i organizacji wewnętrznej i naukowej pokojowej”. W jej tworzeniu uczestniczyli przede wszystkim oficerowie Francuskiej Misji Wojskowej, przybyłej do Polski w kwietniu 1919 roku. Nic zatem dziwnego, że program nauczania powielał wzorce francuskie, tym bardziej że tamtejszą armię, po zwycięstwie odniesionym nad Niemcami w 1918 roku, uważano za najlepszą armię lądową w Europie.

FRANCUSKA MYŚL

Mimo że Szkoła mieściła się w alei Szucha 3, część wykładów odbywała się w salach Szkoły Podchorążych Piechoty w Alejach Ujazdowskich (w 1923 roku uczelnię przeniesiono na ul. Koszykową 79, vis à vis warszawskich Filtrów, do kompleksu budynków po dawnych rosyjskich koszarach artylerii). Początkowo zajęcia prowadziło 13 oficerów francuskich, mających do pomocy 14 polskich, których zatrudniono jako tłumaczy i asystentów. Największy wpływ na szkolenie miał do końca swego pobytu w Polsce (do 1928 roku) dyrektor nauk płk Louis Faury. Tak wspominał go jeden ze słuchaczy: „Faury nosił mundur strzelców alpejskich, z którego był bardzo dumy i na którym widniała wstążeczka krzyża srebrnego Virtuti Militari, nadanego mu przez Marszałka za udział w wojnie polsko-bolszewickiej w charakterze doradcy na froncie.[...] Obserwacja i analiza tej wojny pomogły mu zrzucić z siebie kajdany wojny pozycyjnej, które przez dłuższy czas krępowały myśl wojenną we Francji”.

O tym, że francuska koncepcja wojny w okopach na rozległym froncie niezupełnie przystawała do polskich warunków i doświadczeń, świadczy znana anegdota o płk. Wieniawie-Długoszowskim, odbywającym w 1924 roku kurs doszkalający w Wyższej Szkole Wojennej. Mianowicie w dyskusji z francuskim profesorem Wieniawa zaciekle bronił polskiej – manewrowej doktryny wojennej, wykazując jej przewagę nad koncepcją wojny pozycyjnej. Następnego dnia w pisemnej rozprawie przekonująco uzasadniał jednak słuszność tezy swego oponenta. „Jak to? Wczoraj w dyskusji domagał się pan szerszego manewru, lekceważąc nieprzyjaciela, a dziś zadanie pana jest zrobione dokładnie według francuskiego regulaminu?”, zapytał Francuz. „Naturalnie, kawalerzysta może lekceważyć nieprzyjaciela,

ZOFIA KUNERT

KUŹNIA DOWÓDCÓW

Dała armii polskiej sztabowców, którzy w czasie kampanii wrześniowej, a później na polach bitew poza krajem i w Armii Krajowej, w pracę swą włożyli całą wiedzę, swe siły i oddanie służbie bez reszty.



ale nie może lekceważyć swego profesora”, odrzekł Wieniawa.

WYSOKIE PROGI

Szkolenie w Wyższej Szkole Wojennej trwało cztery semestry. Zadania uczelni, początkowo określane jako przygotowanie oficerów Sztabu Generalnego, rozszerzono z czasem o przygotowanie oficerów do pracy sztabowej na wszystkich szczeblach, od dywizji piechoty lub brygady kawalerii po sztab naczelnego wodza. Warunkiem przyjęcia do WSW było posiadanie matury, dobry stan zdrowia (kat. A), wiek poniżej 30 lat (od początku lat trzydziestych poniżej 36 lat), stopień oficerski nie wyższy niż podpułkownika, nieposzlakowana lojalność państwowa, wybitna lub bardzo dobra opinia służbowa i zdanie egzaminów.

Na pierwszy regularny dwuletni kurs zgłosiło się 450 kandydatów, a po dwuetapowym egzaminie przyjęto 59 osób. Słuchacze mieli obowiązek odbycia podróży historycznej, taktycznej i krajoznawczej oraz zaliczenia praktyki w sztabie którejś z wielkich jednostek. Duży nacisk kładziono na taktykę, sztukę operacyjną, powszechną i polską historię wojskowości, znajomość geografii wojennej, ekonomii politycznej i języków obcych. Absolwenci WSW otrzymywali dyplomy naukowe oficera Sztabu Generalnego (od 1928 roku oficera dyplomowanego).

Stanowisko komendanta Wyższej Szkoły Wojennej sprawowało kolejno siedmiu generałów. Ostatni z nich, gen. dyw. Tadeusz Kutrzeba, wprowadził istotne zmiany w organizacji i programie nauczania Szkoły po wycofaniu z Polski Francuskiej Misji Wojskowej w 1928 roku. Generał kładł nacisk na opanowanie umiejętności dowódczych na szczeblu taktycznym z zupełnym pominięciem szcze-



Promocja oficerów w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie. Gen. Tadeusz Kutrzeba (z lewej) wręcza dyplom majorowi estońskiemu.



NAJWIĘKSZY WPŁYW NA SZKOLENIE MIAŁ DO KOŃCA SWEGO POBYTU W POLSCE (DO 1928 ROKU) DYREKTOR NAUK **PŁK LOUIS FAURY.**

Tak wspominał go jeden ze słuchaczy: „Faury nosił mundur strzelców alpejskich, z którego był bardzo dumy i na którym widniała wstążeczka krzyża srebrnego Virtuti Militari, nadanego mu przez Marszałka za udział w wojnie polsko-bolszewickiej w charakterze doradcy na froncie.[...]”

KOMENDANCI WYŻSZEJ SZKOŁY WOJENNEJ

gen. por. Stanisław Puchalski	1919–1920
gen. por. Stefan Majewski	1920–1921
gen. por. Gustaw Zygałowicz	1921–1922
gen. dyw. Aureli Serda-Teodorski	1922–1925
gen. dyw. Kazimierz Dzierżanowski	1925–1926
gen. bryg. Edmund Kessler	1926–1928
gen. dyw. Tadeusz Kutrzeba	1928–1939

bla operacyjnego. Zmianę tę umotywował następująco: „Nie ujmując w niczym panom majorom, kapitanom i porucznikom, nie sądzę, ażeby kiedykolwiek dane im było dowodzić grupą operacyjną lub armią, natomiast każdy może znaleźć się na stanowisku w którymkolwiek oddziale sztabu wielkiej jednostki”. Wprowadzono również istotne zmiany w programie. Z grupy przedmiotów ogólnych i uzupełniających usunięto geografię polityczną i ekonomię społeczną, podkreślono natomiast dużą wagę zajęć z historii wojennej: na pierwszym roku analizowano wybrane kampanie dziewiętnastowieczne, na drugim zaś przede wszystkim działania zbrojne podczas I wojny światowej i operacje na frontach wojny polsko-bolszewickiej.

ZNAMENICI ABSOLWENCI

W Wyższej Szkole Wojennej studiowali także oficerowie innych narodowości. Wśród nich najliczniejszą grupę stanowili Gruzini (pierwszych czterech rozpoczęło kurs w 1923 roku).

Uczelnię ukończyło ogółem 18 gruzińskich oficerów, w tym sześciu generałów – weteranów wojen, z gen. Aleksandrem Zachariadze na czele. Stali się oni z czasem oficerami kontraktowymi wojska II Rzeczypospolitej i chociaż nigdy nie przyjęli polskiego obywatelstwa, w chwili wybuchu wojny stanęli do walki w obronie przybranej ojczyzny. Absolwentami WSW było także kilku Ukraińców z armii atamana Petlury, Estońców, Łotyszów, a nawet jeden Japończyk (mjr Tomakato Matsumura, kurs w latach 1933–1935).

W ciągu 20 lat istnienia WSW wykształciła ponad 1200 oficerów dyplomowanych. Jej absolwenci stanowili elitę korpusu oficerskiego II Rzeczypospolitej. Byli wśród nich tak wybitni dowódcy, jak: gen. broni Stanisław Maczek, gen. dyw. Bronisław Duch, gen. bryg. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, gen. bryg. Stanisław Sosabowski, gen. bryg. Roman Abraham.

Jak podkreślał gen. dyw. Wacław Stachiewicz, uczelnia „dała armii polskiej sztabowców, którzy [...] na swych stanowiskach, w tych niezmiernie trudnych warunkach, sięgających nieraz granic ludzkiej wytrzymałości, w jakich przyszło toczyć kampanię we wrześniu, a później na polach bitew poza krajem i w Armii Krajowej, w pracę swą włożyli całą wiedzę, swe siły i oddanie służbie bez reszty”.

ZOFIA KUNERT jest starszym kustoszem Ośrodka Informacji Naukowej Centralnej Biblioteki Wojskowej. Jest autorką wielu filmów dokumentalnych.

ARMIA

/ NA CELOWNIKU



NOWA SIŁA

Z Wiesławem Kukulą

o wyzwaniach stojących przed wojskami obrony terytorialnej, tworzeniu nowych brygad, wyposażeniu i zadaniach terytorialsów rozmawiają Magdalena Kowalska-Sendek i Tadeusz Wróbel.



W połowie września minister obrony mianował Pana dowódcą wojsk obrony terytorialnej. To duży awans i spore wyzwanie zawodowe. Nie miał Pan obaw, przyjmując to stanowisko?

Wojska obrony terytorialnej są po prostu nam potrzebne. Widzę w nich wielką szansę na poprawę stanu bezpieczeństwa Pol-

ski. Dzięki nim wzrośnie też nasz potencjał odstraszania. Patrzę na rozwój WOT-u raczej przez pryzmat szans niż zagrożeń, a swoją rolę w tym procesie postrzegam jako najważniejszą misję w moim życiu.

Dowodzenie wojskami obrony terytorialnej będzie na pewno trudnym zadaniem. Ma Pan świadomość, że każda Pana decyzja będzie oceniana i wszyscy będą Panu patrzeć na ręce?

Już się o tym przekonuję. Czasami żartuję, że dziś w Polsce mamy więcej ekspertów z dziedziny obrony terytorialnej niż piłki nożnej. Niemniej jednak z uwagą wsłuchuję się we wszystkie głosy, bo wiele pomysłów wydaje się sensownych i może zostać wdrożonych. Sporym

wyzwaniem jest informowanie o WOT, dlatego już wkrótce rozpoczniemy działania, które rozwieją wszystkie wątpliwości i zapewnią identyfikację społeczeństwa z projektem.

Dowództwo Wojsk Obrony Terytorialnej to zupełnie nowa struktura. Na jakim etapie jest jego tworzenie?

Na etapie formowania, ale dowództwo z każdym dniem staje się silniejsze, bo pojawiają się w nim kolejni oficerowie i podoficerowie. Będzie miało dość innowacyjną strukturę. Każdy z jego żołnierzy będzie musiał codziennie odpowiedzieć na pytanie, co dzisiaj zrobił dla żołnierzy w terenie. Wszyscy żołnierze, łącznie z dowódcą, będą także instruktorami, którzy co najmniej raz w roku będą szkolić terytorialsów. Zależy mi na zbudowaniu bezpośrednich więzi i bardzo silnej identyfikacji szeregowych żołnierzy z wykonywaną misją.

Kto zatem stworzy Dowództwo WOT?

Zasadniczo sięgam do dwóch grup docelowych. Po pierwsze, są to byli i obecni żołnierze wojsk specjalnych. Po drugie, ludzie, którzy tworzyli założenia koncepcji budowy WOT, czyli Biuro do spraw Utworzenia Obrony Terytorialnej. Do wspólnej pracy zaproszę także specjalistów z innych rodzajów wojsk i służb, a także cywilów z organizacji proobronnych.

ROBERT SUCHY / CO MON



Dlaczego tak dużą rolę w powstawaniu WOT-u odgrywają specjaliści?

Przede wszystkim dlatego, że wojska specjalne mają największe doświadczenie bojowe oraz szkoleniowe, które zdobyli podczas przygotowywania lokalnych sił bezpieczeństwa w Iraku i Afganistanie. Te doświadczenia sprawiają również, że żołnierze sił specjalnych identyfikują się z tym projektem. Ważne jest także to, że WOT w głównej części będą formacją o relatywnie szerokim spektrum zadań. Podczas ewentualnych działań zbrojnych będą – obok sił powietrznych – tym rodzajem sił zbrojnych, który będzie bardzo mocno współdziałał z wojskami specjalnymi. Nie bez znaczenia są również uwarunkowania szkolenia, w szczególności ograniczony czas i związana z tym potrzeba wysokiej efektywności tego procesu. Nikt nie rozumie tych spraw lepiej i nie ma w tej dziedzinie większych kompetencji niż żołnierze sił specjalnych.

Ale trzeba to jasno powiedzieć: WOT nie będą formowane na podobieństwo kolejnego oddziału wojsk specjalnych. Z terytorialsów nie robi Pan niedzielnych komandosów?

To kompletne nieporozumienie. To, że szkolenie terytorialsów mają prowadzić m.in. żołnierze sił specjalnych, wpłynie na jego jakość – przekazywanie doświadczeń taktycznych, tak bardzo potrzebnych formacji lekkiej piechoty. WOT będą wspierać operacje specjalne, a nie zastępować wojska specjalne w ich realizacji.

Niektórzy eksperci wyśmiewają tezę, że terytorials skonstruują się np. ze specnazem.

Takie myślenie wynika, niestety, z braku wiedzy na temat funkcjonowania i roli sił specjalnych w operacjach hybrydowych i niekonwencjonalnych. Wojska specjalne są precyzyjnym narzędziem, które nie może być odpowiednio wykorzystane bez wsparcia, bez środowiska operacyjnego. Jego budowa i utrzymanie na wysokim poziomie będzie właśnie zadaniem obrony terytorialnej. Do walki z siłami specjalnymi nie używa się wyłącznie sił specjalnych.

Czy poza Dowództwem WOT powstają już jakieś pododdziały?

Równolegle do dowództwa są tworzone struktury brygad w Białymstoku, Lublinie i Rzeszowie, które dziś są podporządkowane Inspektoratowi Wsparcia Sił Zbrojnych w Bydgoszczy. DWOT przejmie nad nimi kontrolę do końca marca 2017 roku. Od wiosny tego roku rozpoczniemy w tych brygadach szkolenie indywidualne żołnierzy. Wydzielimy również zespoły rekonesansowe, które rozpoczną proces budowy brygad w kolejnych województwach.

Spore emocje swego czasu budziła informacja, że do WOT-u będą przyjmowane różnego rodzaju organizacje proobronne w całości.

Ta kwestia zostanie uregulowana w teraz procedowanej nowelizacji ustawy o powszechnym obowiązku obrony. W projekcie określono, że nabór do WOT-u będzie indywidualny, dokładnie taki, jaki obowiązuje wszystkich kandydatów na żołnierzy. Każdy przejdzie egzaminy i, jak każdy inny żołnierz SZRP, nie będzie mógł być członkiem partii politycznej, stowarzyszenia, organizacji lub ruchu obywatelskiego, stawiających sobie cele polityczne. Projekt ustawy daje jednak pierwszeństwo w powołaniu członkom tych organizacji, które podpisały z MON-em porozumienie o współpracy. W mojej ocenie, to świetny kompromis między oczekiwaniami organizacji proobronnych i potrzebami WOT-u.

Czy wiadomo już, ile będzie kosztowało wyszkolenie jednego terytorialsa?

To będzie wypadkowa wielu czynników, ze specjalnością żołnierza włącznie. Wstępne szacunki wskazują na to, że miesięczny koszt utrzymania terytorialsa nie będzie wyższy niż 10% wydatków ponoszonych na żołnierza zawodowego.

A ile będzie zarabiał żołnierz WOT-u?

To również jest uzależnione od stanowiska. Wynagrodzenie będzie dwuelementowe – pierwszy wskaźnik wiąże się z liczbą dni poświęconych na szkolenie, drugi z tzw. gotowością. Teraz pracujemy nad wdrożeniem systemu umożliwiającego żołnierzom WOT-u bezpłatny dostęp do obiektów sportowych. W miejscach, gdzie nie ma infrastruktury wojskowej, planujemy opłacać im wejścia



ROBERT SUCHY / CO MON

Wojska obrony terytorialnej będą ćwiczyły ze wszystkimi rodzajami sił zbrojnych, także z siłami powietrznymi

do siłowni, basenów, a nawet trenerów osobistych.

Jakie kwalifikacje muszą mieć kandydaci, którzy chcą zasilić szeregi WOT-u?

Minimalny poziom wykształcenia określił ustawodawca – w wypadku szeregowych będzie to wykształcenie gimnazjalne. Podoficerem będzie mogła zostać osoba z wykształceniem średnim, a oficerem – z wyższym. Gdy w ubiegłym roku przybyłem do bazy sił specjalnych Gwardii Narodowej USA, powitał mnie plakat „150 zawodów, jedna misja”. Podobnie będzie w WOT, gdzie różnorodność umiejętności żołnierzy umożliwi bardzo szerokie spektrum działania formacji. Część specjalności będziemy rozwijać w ramach systemu doskonalenia zawodowego. Zgodnie z wcześniejszymi zapowiedziami MON-u jest przygotowywany również system stypendialny dla terytorialsów, którzy zdecydują się na podjęcie studiów w deficytowych dla resortu obrony specjalnościach wojskowych. Oczywiście takie stypendium będzie równoznaczne z koniecznością dłuższego związania się z siłami zbrojnymi.

Jak będzie wyglądało szkolenie ochotników w WOT?

Kandydaci, którzy spełnią wymagania formalne w wojskowych komendach uzupełnień, będą musieli zdać egzamin sprawnościowy. Gdy go zaliczą, zostaną zakwalifikowani na szkolenie podstawowe.

Będą skoszarowani przez 16 dni, a po zakończeniu szkolenia złożą przysięgę wojskową...

Jednorazowe szkolenie ciągłe to główny wariant, ale będzie możliwe podzielenie tego okresu na osiem weekendów. Forma szkolenia zostanie dopasowywana przez DWOT i dowódców brygad po analizie możliwości kandydatów. Oddziały złożone z uczniów i studentów będziemy szkolić w ten sposób w czasie ferii i wakacji, a inne – stosownie do sytuacji. Na przełomie roku planuję uruchomienie szkolenia pilotażowego, żeby zweryfikować założenia i zdobyć dodatkowe doświadczenia, umożliwiające metodyczne przygotowanie instruktorów. Wykorzystamy je,

uruchamiając system szkolenia w pełnej skali dla trzech pierwszych województw.

Po szkoleniu terytorialsów wraz z wyposażeniem wrócą do domu. Co dalej?

To szkolenie obejmuje dopiero początek. Pierwszy rok to szkolenie indywidualne, w drugim – będziemy zgrywać żołnierzy na poziomie plutonu, a w trzecim – kompanii i batalionu. Całość zakończy się certyfikacją. Po przysiędze żołnierze wrócą do domów z przydzielonym wyposażeniem osobistym, a później będą dostawać komunikaty, w których wskażemy im miejsce stawiennictwa na kolejne szkolenie oraz kod wymaganego wyposażenia. Oprócz szkoleń według rytmu podstawowego, czyli dwa dni w miesiącu i 14 dni w roku, będą zobligowani do poszerzania wiedzy przez platformy e-learningowe.

Do tej pory w Wojsku Polskim nie istniała lekka piechota. Panowało przekonanie, że liczą się tylko wojska ciężkie. Jak więc będziemy szkolić WOT, skoro nie mamy w tej dziedzinie większych doświadczeń?

We współczesnej wojskowości polskiej rzeczywiście nie mamy takich jednostek – część ekspertów zalicza do nich wojska aeromobilne, ale trudno mi się z tym zgodzić. Mamy jednak ogromne doświadczenie w tzw. wsparciu wojskowym w czasie misji poza granicami państwa przez wojska specjalne. Dlatego właśnie szkolenie będziemy prowadzić na początku według wzorców tych wojsk. Później stworzymy własne i będziemy je doskonalić.

Jak zostanie uzbrojona sekcja piechoty? Dziś nawet w wojskach operacyjnych nie mamy nowoczesnych lekkich zestawów przeciwpancernych, a jedyną bronią pozostaje leciwy RPG-7.

Mamy zapewnienie z Polskiej Grupy Zbrojeniowej, że trwają zaawansowane prace nad lekkim granatnikiem przeciwpancernym i jest szansa na to, że w najbliższych latach trafi on do WOT-u. Walka z pojazdami lekko opancerzonymi nie będzie jednak oparta wyłącznie na wykorzystaniu granatników przeciwpancernych. W plutonach wsparcia na



poziomie kompanii będziemy dysponować karabinami wyborowymi kalibru 12,7 mm i amunicją przeciwpancerną, a na poziomie brygady będą dostępne wyrzutnie PPK Spike. Trzeba też pamiętać o mocnych stronach WOT-u – znajomości terenu i wynikających z tego zdolności do kanalizowania ruchu.

A zespołowa broń maszynowa? UKM kalibru 7,62 mm jest dobry, ale dla jednostek lekkich wydaje się zbyt ciężki. Wiele armii na poziomie drużyny czy sekcji ma lekkie karabinki maszynowe 5,56-milimetrowe. Jakie podstawowe uzbrojenie będzie miała sekcja w WOT?

To będą karabinki kalibru 5,56 mm. W sekcji będą również karabinki kalibru 7,62 mm o zwiększonej celności i donośności oraz UKM. Nawet lekka piechota musi dysponować odpowiednią siłą ognia – waga UKM jest ceną za siłę ognia.

Ten drugi kaliber karabinka to...

W sekcji będą dwaj strzelcy wyborowi z karabinkami kalibru 7,62 mm, a na poziomie kompanii w plutonie wsparcia snajperzy z bronią kalibru 8,6 i 12,7 mm. Przewidujemy też lekkie moździerz 60-milimetrowe

Czy na szczęblu batalionu znajdzie się cięższe uzbrojenie?

Nie, ponieważ na tym poziomie przewidujemy inne zadania. Batalion będzie głównym organizatorem szkolenia. Na czas działań kryzysowych czy bojowych na jego bazie będą budowane dowództwa tzw. zgrupowań zadaniowych WOT-u. Dodatkowe wsparcie kinetyczne planujemy przydzielać ze szczębla brygady.

Co Pan sądzi o koncepcji, że WOT powinny być wykorzystywane na zasadach wojsk lądowych i być im podporządkowywane?

Wojska obrony terytorialnej będą prowadziły walkę według innego modelu, bliższego filozofii prowadzenia jej przez siły specjalne. Zostanie on dokładnie zdefiniowany w opracowywanych dokumentach doktrynalnych. Dzięki takiemu podejściu komponent lądowy będzie mógł skupić wysiłek na zasadniczych kierunkach uderzeń przeciwnika, nie rozpraszając zasobów w innych obszarach.

Miesięczny koszt utrzymania terytorialsa

nie będzie wyższy niż 10% wydatków na żołnierza zawodowego

Czy wyposażenie jednostek WOT-u będzie dostosowywane do warunków terenowych, w których przyjdzie im działać?

Oczywiście, że tak. Inny sprzęt jest potrzebny żołnierzom do działań na terenie Warmii i Mazur, a inny na Podkarpaciu. W pierwszym wypadku będą to np. łodzie o małym zanurzeniu, a w drugim skutery śnieżne. Podobnie będzie z profilem szkolenia – żołnierze na Podkarpaciu będą m.in. szkoleni z wykorzystania koni. Misją formacji jest obrona i wspieranie lokalnych społeczności, jest więc zrozumiałe, że teren przez nie zajmowany zdefiniuje wyposażenie i szkolenie terytorialistów.

Wyposażenie pododdziałów WOT-u budzi kontrowersje. Żołnierze obawiają się, że przez inwestycje w ten rodzaj sił zbrojnych inne stracą.

Budując od podstaw nowy rodzaj sił zbrojnych, nie można stawiać na dziadostwo. Uczynić tych wojsk składem zużytego sprzętu. I nie jest to moje widzimisię. W większości państw sprzęt wymienia się generacyjnie w całych formacjach. Dlatego są lata, kiedy np. amerykańska Gwardia Narodowa dysponuje nowszym wyposażeniem niż tamtejsze wojska lądowe. Są też lata, kiedy jest na odwrót. Sprzęt, który trafi do WOT-u, będzie eksploatowany tam przez dziesięciolecia! A obrona terytorialna nie bę-

WIZYTÓWKA



PŁK WIESŁAW KUKUŁA

dzie gorzej wyposażonym klonem wojsk lądowych, lecz zupełnie nową formacją, przygotowaną do skutecznej walki z zagrożeniami nowego typu, a także do wspierania społeczności w czasie klęsk żywiołowych i katastrof. Staram się unikać uproszczeń i nie chcę działać na zasadzie oskarżeń, że inni wydają więcej, bo nie chodzi mi o kłótnie między rodzajami sił zbrojnych. Warto jednak pamiętać, że utrzymanie kompanii WOT-u przez jeden miesiąc będzie tańsze niż godzina lotu F-16. Pomiżam fakt, że zakupy na rzecz wojsk obrony terytorialnej przyczynią się do rozwoju narodowej myśli technicznej w przemyśle obronnym, a tym samym przyniosą długofalowe korzyści, polegające na poprawie jakości wyposażenia, które będzie docierać również do innych rodzajów sił zbrojnych.

Czy jest planowana bliższa współpraca pomiędzy wojskami specjalnymi a WOT-em?

Można powiedzieć, że komandos z Lublińca, jako specjalista od zielonej taktyki, są wręcz na nią skazani. Zresztą, całe wojska specjalne w razie konfliktu będą współdziałać z terytorialsami. W razie przewagi potencjalnego przeciwnika musimy się liczyć z tym, że czasowo część naszego terytorium może się znaleźć pod jego kontrolą. W takiej sytuacji WOT dokona przegrupowania i zmieni metody prowadzenia walki. Musimy mieć przygotowane struktury, które będą stanowić trzon sił partyzanckich. Dzięki takiemu podejściu ewentualna okupacja stanie się dla przeciwnika zbyt ryzykowna.

Aby wszystko później zadziało, są potrzebne wspólne ćwiczenia...

I takie są w planach. Wojska obrony terytorialnej będą ćwiczyły ze wszystkimi rodzajami sił zbrojnych, także z siłami powietrznymi. Jednostki terytorialne zostaną przygotowywane do przyjmowania zrzutów zaopatrzenia, desantów spadochronowych czy wojsk specjalnych. Będziemy też szkolić specjalistów naprowadzania lotnictwa.

Pierwsze takie szkolenia odbędą się w przyszłym roku?

Nie. W 2017 roku skupimy się na indywidualnym szkoleniu żołnierzy. Na ćwiczenia innych rodzajów sił zbrojnych skierujemy wyłącznie grupy oficerów łącznikowych. Ta sytuacja zmieni się już w 2018 roku.

Minister obrony zapowiedział, że w przyszłości w wojskach obrony terytorialnej pojawi się komponent lotniczy. Będą to samoloty czy śmigłowce?

W Stanach Zjednoczonych jest normalne, że siły zbrojne kontraktują niektóre usługi lotnicze u podwykonawców cywilnych, świadczących je m.in. na rzecz Gwardii Narodowej. W naszych warunkach, np. w akcjach poszukiwawczo-ratowniczych, statki powietrzne należące do aeroklubów mogą być niezwykle przydatne. Żołnierz z kamerą termowizyjną na pokładzie zobaczy z góry więcej niż z ziemi.

A jak postrzega Pan użyteczność niekonwencjonalnych rozwiązań, jak chociażby wcześniej wspomniane wykorzystanie koni?

Pamiętam, że swego czasu ideę szkolenia z juczania i jazdy konnej, którą przywróciłem w Jednostce Wojskowej Komandosów, poddano ostrej krytyce. Dzisiaj mocno ją przewartościowano – powstaje nawet specjalna instrukcja w tej dziedzinie. To myślenie niekonwencjonalne i wyznaczanie nowych standardów zapewni sukces projektowi budowy wojsk obrony terytorialnej.

W WOT jest też przewidywana jednostka specjalna.

Coraz poważniej to rozważamy. Będzie ona przeznaczona do prowadzenia operacji niekonwencjonalnych na rzecz struktur WOT-u. W okresie pokoju służący w niej żołnierze będą wspierać szkolenie w wybranych obszarach całej formacji. W Polsce mamy duże zasoby kadrowe byłych żołnierzy wojsk specjalnych, z których wielu nie ma nawet przydziałów mobilizacyjnych. Sprawne państwo nie zostawia poza systemem osób, w których szkolenie zainwestowało potężne pieniądze. Wkrótce przedłożę ministrowi Antoniemu Macierewiczowi stosowną koncepcję w tej sprawie.

A jakie mundury wyjściowe dostaną żołnierze WOT-u? Czy będą nosić brązowe berety?

Mundur wyjściowy nie jest najważniejszą rzeczą, którą powinniśmy definiować na tym etapie. Ważniejszy jest mundur polowy. Chcielibyśmy, by do WOT-u wróciły polowa czapka rogatywka i beret, ale nie w kolorze brązowym. To będzie zupełnie nowa formacja i swoich korzeni nie będzie się doszukiwać w rozwiązaniach kilka lat temu oddziałach OT.

KADR

/ MARYNARKA
WOJENNA

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

Manewry ze sztormem

**Poszukiwanie rozbitka i okrętu podwodnego,
trałowanie i odkażanie jednostek
zaatakowanych bronią chemiczną, a także
walka z rebeliantami – tak marynarka
wojenna ćwiczyła podczas manewrów
„Ostrobok”, „Wargacz” i „Kormoran”.**





**Trałowiec ORP „Nakło”
operował na Zalewie
Szczecińskim. Załoga
za pomocą stacji
hydrolokacyjnych
monitorowała tor
wodny między portami
w Świnoujściu
i Szczecinie.**



PIOTR LEONIAK / 3 FOW (3)



ORP „SOKÓŁ” BYŁ JEDNYM Z DWÓCH OKRĘTÓW PODWODNYCH, KTÓRE WZIEŁY UDZIAŁ W „OSTROBOKU”. CEL: ZAATAKOWAĆ PRZECHODZĄCY MORZEM KONWÓJ. PODWODNIACY MIELI TEŻ WYKAZAĆ PRZEWAGĘ NAD ZAŁOGAMI ORP „KASZUB” I ŚMIGŁOWCÓW MI-14PŁ I SH-2G

Ćwiczenia stanowią najważniejszy w roku sprawdzian poszczególnych związków taktycznych. Podczas „Ostroboka” swoje umiejętności testują marynarze z 3 Flotylli Okrętów w Gdyni, „Wargacz” to manewry 8 Flotylli Obrony Wybrzeża w Świnoujściu, „Kormoran” zaś – Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej. Po raz drugi w historii zostały one zaplanowane w tym samym czasie, a ich uczestnicy wiele epizodów mieli wykonywać wspólnie. Tym razem jednak bardzo dała im się we znaki pogoda. Przez większość czasu na Bałtyku szalał sztorm i niektóre epizody trzeba było odwołać. Wiele udało się jednak wykonać.

W Zatoce Gdańskiej okręty 3 Flotylli ORP „Lech” i ORP „Wodnik” wspólnie ze śmigłowcem SH-2G oraz samolotem Bryza poszukiwały rozbitka. Zgodnie ze scenariuszem był to rybak, który na wysokości Helu wypadł za burtę kutra. Załoga korwety ORP „Kaszub” przeprowadziła natomiast symulowane poszukiwanie okrętu podwodnego, choć ze względu na warunki nie były w stanie jej towarzyszyć śmigłowce Mi-14PŁ. Para

„czternastek” w okolicach Ustki zbombardowała zatem cele nawodne.

Zanim sztorm rozpętał się w okolicach Świnoujścia, okręty przeciwminowe zdołały wykonać trałowania na Zatoce Pomorskiej. Potem musiały się schronić w porcie. Część sił została jednak skierowana na... Zalew Szczeciński. „Trałowce OORP »Jamno« i »Nakło« za pomocą stacji hydrolokacyjnych monitorowały tor wodny ze Świnoujścia do Szczecina”, wyjaśnia kmdr ppor. Jacek Kwiatkowski, rzecznik 8 FOW. Dzień później trasę do szczecińskiego portu pokonał kuter transportowy, który przewoził wojskowy sprzęt.

Odbyło się też sporo epizodów na lądzie. I tak w lasach pod Świnoujściem kompania chemiczna 8 Batalionu Saperów rozwinęła OPLS, czyli okrętowy punkt likwidacji skażeń. Wkrótce potem do pobliskiego nabrzeża dobił okręt transportowo-minowy ORP „Toruń”. Zgodnie ze scenariuszem wcześniej nieprzyjaciół użył wobec niego iperytu, więc chemicy odkazili jednostkę. Na tym jednak nie koniec, bo OPLS od strony wody i lądu został zaatakowany przez rebeliantów i trzeba było odeprzeć to uderzenie. ■

NA CZAS ĆWICZEŃ
„KORMORAN” STATKI
 POWIETRZNE BRYGADY
 LOTNICTWA MARYNARKI
 WOJENNEJ PRZEMIEŚCIŁY SIĘ
 POZA MACIERZYSTE BAZY.
 SAMOLOTY PATROLOWE
 BRYZA OPEROWAŁY NIE, JAK
 NA CO DZIEŃ, Z SIEMIROWIC,
 A Z LOTNISKA W BABICH
 DOŁACH

W CZASIE **„OSTROBOKA”**
 ZAŁOGA KORWETY
 PRZEPROWADZIŁA
 SYMULOWANĄ WALKĘ
 Z OKRĘTEM PODWODNYM,
 A JEDNOSTKI 3 FLOTYLLI
 TRENOWAŁY
 MANEWROWANIE
 W SZYKACH



Podczas ćwiczeń związków taktycznych marynarki wojennej wiele epizodów rozegrało się na lądzie. Jednym z zadań marynarzy, którzy brali udział w „Wargaczu” był załadunek min na okręt transportowo-minowy.



Polscy żołnierze w połowie lipca dołączyli m.in. do Amerykanów i Kanadyjczyków, którzy od kilku miesięcy tworzyli Połączoną Międzynarodową Grupę Szkoleniową „Ukraina”. W pierwszej zmianie Polskiej Grupy Zadaniowej znalazło się 27 oficerów i podoficerów z 21 Brygady Strzelców Podhalańskich, większość z nich z doświadczeniem misyjnym z Iraku lub Afganistanu. Podhalańczycy reprezentowali niemal wszystkie brygadowe jednostki. Główne siły wystawił 5 Batalion Strzelców Podhalańskich, a logistycznie komponent przygotowywał 21 Dywizjon Artylerii Przeciwlotniczej z Jarosławia. Żołnierze 21 BSP na Ukrainę pojechali pod dowództwem mjr. Mirosława Szpunara, etatowego zastępcy dowódcy 21 Dywizjonu.

TYLKO 55 DNI

Wyjazd był poprzedzony dwumiesięcznymi przygotowaniami. Żołnierze brali udział w szkoleniach językowych i kulturoznawczych. Przeszli kurs SERE na poziomie „B” oraz uczestniczyli w zajęciach ogniowych na poligonie w Nowej Dębie. „Instruktorzy zaliczyli także kursy metodyczne”, uzupełnia kpt. Konrad Radzik, rzecznik prasowy 21 Brygady Strzelców Podhalańskich.

13 lipca podhalańczycy zameldowali się na terenie Międzynarodowego Centrum Operacji Pokojowych i Bezpieczeństwa (International Peacekeeping and Security Centre) w Jaworowie, w obwodzie lwowskim. „Na Ukrainę jechaliśmy z misją szkoleniową, a nie bojową. Dlatego też zabraliśmy ze sobą minimalne wyposażenie. Do dyspozycji mieliśmy m.in. sześć honkerów, broń, kamizelki kuloodporne, gogle noktowizyjne i sprzęt łączności”, dodaje dowódca grupy zadaniowej.

Zadaniem Polaków było szkolenie żołnierzy 1 Batalionu Zmechanizowanego z 93 Brygady Zmechanizowanej armii ukraińskiej. „To jednostka, która przez dwa lata walczyła na wschodzie Ukrainy. Jednak po powrocie z frontu część żołnierzy została przydzielona do innych pododdziałów. W ich miejsce powołano nowych. I to właśnie szkoleniem tego młodego wojska mieliśmy się zająć”, wyjaśnia mjr Szpunar.

Żołnierze byli odpowiedzialni za przeszkolenie

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

Ukraińska szkoła

Zajęcia ogniowe, taktyczne oraz wymiana doświadczeń – tak w skrócie można opisać dwumiesięczne szkolenie, które na Ukrainie prowadzili żołnierze 21 Brygady Strzelców Podhalańskich.



ARCH. 21 BSP

DRUGA TURA DLA SPADOCHRONIARZY

NA POCZĄTKU PAŹDZIERNIKA NA UKRAINĘ WYJECHAŁO 36 ŻOŁNIERZY 6 BRYGADY POWIETRZNODESANTOWEJ.

Spadochroniarze, wspólnie z Amerykanami, Kanadyjczykami, Estończykami, Litwinami i Anglikami, szkołą w Jaworowie żołnierzy 1 Batalionu 80 Brygady Powietrznodesantowej. Żołnierze wywodzą się ze wszystkich jednostek Szóstej, ale trzon grupy szkoleniowej wystawił 6 Batalion Dowodzenia. Dowodzi nimi mjr Krzysztof

Kacprzyk, etatowy zastępca dowódcy batalionu.

Wojskowi z Krakowa zabrali na Ukrainę etatową broń, pistolety, karabinki szturmowe Beryl, noktowizory oraz pojazdy HMMWV. Podobnie jak podhalańczycy, żołnierze z 6 BPD prowadzą zajęcia z budowy i zasad eksploatacji sprzętu, którym dysponuje armia

ukraińska, m.in. zestawów przeciwlotniczych Zu-23-2, wyrzutni przeciwlotniczych 9K38 Igła, karabinów maszynowych DSzK i KPWT, karabinów wyborowych SWD, granatników RPG i SPG, wyrzutni Fagot oraz moździerzy.

Szkolenie żołnierzy z ukraińskiej 80 Brygady Powietrznodesantowej zakończy się 11 grudnia. ■

plutonu przeciwlotniczego oraz plutonu ciężkich karabinów maszynowych DSzK. Dodatkowo, wspólnie z Amerykanami, Kanadyjczykami i Litwinami, podhalańczycy zajęli się szkoleniem sztabu batalionu, kompanii wsparcia, plutonu rozpoznawczego, sekcji strzelców wyborowych oraz celowniczych ręcznych granatników przeciwpancernych.

Zgodnie z rozkazem szkolenie Ukraińców trwało 55 dni. Zajęcia odbywały się od poniedziałku do soboty i trwały po blisko dziesięć godzin dziennie. „Szkolenie prowadzono na kilku etapach. Na początku były zajęcia specjalistyczne, później zgrywaliśmy sekcje, drużyny, plutony, kompanie, by na końcu sprawdzić się podczas ćwiczeń batalionowych”, tłumaczy mjr Szpunar. Dowódca przyznaje, że 55 dni to zdecydowanie za mało, by w pełni wyszkolić batalion. Zaznacza jednak, że przynajmniej połowa ukraińskich żołnierzy miała już doświadczenie bojowe.

„Dzięki naszym zajęciom uporządkowali swoją wiedzę i mogli doskonalić niektóre procedury. W przypadku młodych żołnierzy skupialiśmy się na umiejętnościach specjalistycznych, a następnie zgrywaniu pewnych zdolności na poziomie mniejszych i większych pododdziałów”.

WYMIERNE EFEKTY

Jednym z instruktorów był ppor. Jacek Markowski z 5 Batalionu Strzelców Podhalańskich. Oficer odpowiadał za szkolenie rakietowe i artyleryjskie. Zadaniem podległych mu ludzi było właściwe wyszkolenie działonowych moździerza M-120. „Zaczęliśmy zajęcia od szkolenia specjalisty. Uczyliśmy funkcyjnych w działonach, jakie zadania powinni realizować, jak dzielić się pracą. Obsługa moździerzy w ich wykonaniu była bardzo przypadkowa i chaotyczna. Dzięki naszej pracy uporządkowali kolejność zadań i zaczęli osiągać lepsze efekty ogniowe”, tłumaczy ppor. Markowski.

Ale na szkoleniu w Jaworowie skorzystali nie tylko Ukraińcy. Podhalańczycy przyznają, że dzięki współpracy w międzynarodowej grupie mogli podpatrywać różne rozwiązania i procedury obowiązujące w innych armiach, a także podszkolić się językowo. Osiągnięcia szkoleniowe Polaków zostały zauważone i na wniosek Amerykanów kolejna zmiana polskiej grupy zadaniowej jest liczniejsza. ■





EWA KORSAK

CZOŁG Z WIRNIKAMI

Lotnicy z Pruszcza Gdańskiego od 35 lat mają Mi-24. Niektórzy z niedowierzaniem przysłuchują się ich opowieściom o tym, jak te radzieckie maszyny sprawdziły się w Iraku i Afganistanie.

Jest to jedyny śmigłowiec szturmowy na świecie, który oprócz wykonywania zadań typowo bojowych może też transportować żołnierzy desantu albo zabrać ze sobą nawet 2 tys. kg ładunku. Mi-24 od 35 lat służy pruszczańskim lotnikom. Ale oni na leciwy wiek śmigłowców patrzą z nieco innej strony niż przeciętny Kowalski. „To nie są samochody, które już po kilkunastu latach nie

nadają się do bezpiecznej jazdy. Mi-24 są regularnie serwisowane, każda część ma swoją określoną żywotność i jeśli jej »termin przydatności« się kończy, jest wymieniana na nową”, zapewnia ppłk Witold Wilk, pilot z wieloletnim doświadczeniem, weteran misji w Iraku i Afganistanie, inspektor bezpieczeństwa lotów w 49 Bazie Lotniczej w Pruszczu Gdańskim.



BARTOSZ BERA

PIERWSZE LOTY

Historia „latających czołgów” w Polsce rozpoczyna się w 1978 roku w 37 Pułku Śmigłowców Transportowych w Leżnicy, do którego trafiły pierwsze egzemplarze radzieckich Mi-24. Ten zakup to część planu modernizacji armii, który wprowadzał w życie ówczesny rząd. Śmigłowce przez kilka miesięcy nie były używane, ponieważ ich piloci dopiero się szkolili. Siedmiu doświadczonych Polaków poleciało do Frunze w Kirgistanie

(dziś Biszkek, ale tak do 1991 roku nazywała się stolica tego kraju). Wówczas w ZSRR szkolili się lotnicy z całego świata.

Jednym z nich był kpt. rez. pil. Stanisław Florczak. Miał wtedy 30 lat i za sobą 1,1 tys. godzin spędzonych w powietrzu. Pozostali – co najmniej 800. We Frunze spędzili trzy miesiące. Zostali na miejscu podzieleni na grupy i każda z nich miała swojego instruktora, który krok po kroku uczył, jak pilotować radzieckie maszyny. ➔



Płk Witold Wilk zastanawia się chwilę, gdy słyszy pytanie o to, czego dowiedział się o Mi-24 w Afganistanie. W końcu odpowiada: „Na pewno tego, że one przynoszą szczęście”.

Najpierw szkolenie teoretyczne, a potem praktyka – około 150 godzin latania. „Czy coś sprawiało mi trudność? Nie, w żadnym wypadku. Po pierwsze, mieliśmy już doświadczenie; po drugie, jak się ma 30 lat, to człowiek niczego się nie boi i nic nie wydaje się szczególnie trudne”, mówi kpt. rez. pil. Stanisław Florczak.

Do Polski wrócili razem z Rosjaninem – Gorionowem, którego nazywali „Żenia”. W kraju szkolił ich jeszcze dwa lata. We wspomnieniach jednego z pierwszych pilotów Mi-24 ten czas wypełniony jest wyzwaniami. „Chcieliśmy robić wszystko i nie baliśmy się niczego. Wkrótce po powrocie z Frunze były pokazy, ćwiczenia. Koledzy mieli nawet zrzucić bomby na zator lodowy na Wiśle. Nie udało się, podobno wyznaczone miejsce znajdowało się zbyt blisko rurociągu »Przyjaźń«. Nie chcieli go uszkodzić, bomby spadły nie w to miejsce, co trzeba i operacja się nie powiodła”, mówi lotnik.

W 1981 roku postanowiono utworzyć 8 Eskadrę Śmigłowców Szturmowych, podlegającą 49 Pułkowi Śmigłowców Bojowych (dzisiejsza 49 Baza Lotnicza). W jej skład weszli przeszkoleni w Kirgistanie piloci i technicy. Dzięki tej decyzji 35 lat temu Mi-24 pojawiły się w Pruszczu Gdańskim. Do czasu przemian ustrojowych na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku armia kupiła 32 wroplaty. Kolejne dotarły do Pruszcza już w latach dziewięćdziesiątych – dostaliśmy od Niemców 18 maszyn

W 49 BAZIE LOTNICZEJ JEST 12 ŚMIGŁOWCÓW MI-24. LATA NIMI 28 PILOTÓW, A 70 TECHNIKÓW ZAJMUJE SIĘ PRZEGLĄDAMI I REMONTAMI MASZYN

Mi-24. Nie były nowe, więc dwie zostały rozebrane na części, ale do służby wcielono 16 egzemplarzy.

TESTY W PYLE

Operacja w Iraku była dla załóg śmigłowców Mi-24 wielką niewiadomą. Pierwsza misja bojowa, pierwsze zadania poza granicami kraju, pierwsze operacje wykonywane z wojskami z innych krajów na zupełnie obcym terytorium. „Nie bardzo wiedzieliśmy, na co się piszemy. Oczywiście mieliśmy instrukcje dotyczące obsługi Mi-24 w warunkach bojowych, ale nie do



BARTOSZ BERA

MI-24 Z 49 BAZY LOTNICZEJ

Te śmigłowce mogą być uzbrojone w karabiny maszynowe JakB-12,7, kierowane pociski przeciwpancerne 9M17 P Falanga, niekierowane pociski rakietowe S-5 i S-8, zasobniki artyleryjskie UPK-23 250 z dwulufowym działkiem GSz-23Ł kalibru 23 mm, a także bomby lotnicze. Każdy z nich ma w przedziale ładunkowym cztery stanowiska strzeleckie karabinów maszynowych PK 7,62. Maszyna mająca 5,47 m wysokości i 22 m długości nie należy

do najmniejszych. Waży prawie 12 t. Średnica śmigła wynosi 17,5 m. Maksymalna prędkość śmigłowca dochodzi do 335 km/h, ale standardowo pokonuje on około 280 km/h.

Mi-24 został zaprojektowany w ZSRR w sierpniu 1968 roku. Zespołem, który nad nim pracował, kierował Michał Mil, radziecki konstruktor lotniczy. Prototyp tej maszyny był gotowy rok później, a pierwszy lot odbył się we wrześniu 1969 roku.

końca odpowiednie, nie do końca czytelne, wyciągnięte gdzieś z dna szuflady. W dodatku napisane na podstawie działań Mi-24 w Afganistanie, a Irak to przecież zupełnie inne warunki geograficzne”, mówi ppłk pil. Witold Wilk.

Pierwsze śmigłowce Mi-24 zostały wysłane do Iraku w 2004 roku, w czasie III zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego. Obawiano się jednak, że mogą tam być problemy z radzieckimi maszynami. Nieoficjalnie mówiło się wówczas, że mają one wykonać zadanie, a później zostać w irackiej armii.

Szczątkowe informacje, brak doświadczenia w tego typu misjach, skąpe instrukcje – trudno o optymizm w takiej sytuacji, ale załogi Mi-24 dostały zadanie i musiały je wykonać. „Składaliśmy więc informacje o pilotowaniu i obsłudze Mi-24 w warunkach bojowych trochę jak puzzle. Trochę z instrukcji, a trochę z doświadczeń naszych starszych kolegów, którzy szkolili się w Frunze w Kirgistanie. Remontowano tam Mi-24 zniszczone w Afganistanie podczas wojny, więc Polacy widzieli, jak to wygląda. To od nich dostaliśmy jeden z niewielu optymistycznych przekazów – mimo wielu uszkodzeń Mi-24 zawsze wracały do bazy”, wspomina ppłk pil. Wilk.

Pierwsze, z czym musieli się zmierzyć w Iraku, to wysokie temperatury. „Rekord, który poczułem na własnej skórze, to 53°C w cieniu. Wylądowaliśmy wtedy na lotnisku w Bagdadzie. Całe popołudnie śmigłowiec stał na płycie lotniska. A gdy wróciliśmy, by do niego wsiąść i wystartować, to... Przede wszystkim trzeba było włożyć rękawiczki, bo dotknięcie maszyny groziło poparzeniem. To było jak wejście do rozgrzanego piekarnika”, opowiada ppłk Wilk. Trzeba przy tym pamiętać, że pilot oprócz kombinezonu miał na sobie całe wyposażenie oraz kamizelkę kuloodporną. Wszystko jest szczelne i waży kilka-

naście kilogramów. „Mi-24 ma klimatyzację, tyle że ona nie działa przy starcie i w pierwszym etapie lotu. Te początkowe minuty w śmigłowcu były nie do zniesienia”, wspomina pilot. Temperatura dawała się we znaki nie tylko załodze, lecz także samej maszynie. Podobno pewnego razu było tak gorąco, że stopiły się plastikowe elementy, które służyły do zacinienia ekranów, tak by te były czytelne. Z powodu takich temperatur zdarzało się, że ekipy pracowały w nocy, a w dzień odpoczywały.

W Iraku lotnicy z Pruszcza Gdańskiego patrolowali wyznaczone tereny oraz zabezpieczali konwoje z powietrza, od 2004 do 2008 roku na zmianę z załogami z 56 Bazy Lotniczej w Inowrocławiu. Na miejscu nauczyli się wszystkiego, czego nie mogli znaleźć w instrukcjach. „Niezastąpione doświadczenie, którego nie zdobylibyśmy na żadnych ćwiczeniach”, potwierdzają zgodnie żołnierze.

WYSOKIE LOTY

Okazało się jednak, że przed nimi jeszcze większe wyzwanie niż iracka operacja. W 2008 roku trwała misja ISAF, w której polscy żołnierze brali udział już od ponad roku. Dowódca podjął jednak decyzję, że do Afganistanu powinny trafić również Mi-24. I tak jak w wypadku Iraku, na zmianę latały tam załogi z 56 Pułku Śmigłowców Bojowych w Inowrocławiu (obecnie 56 Bazy Lotniczej) oraz 49 Pułku Śmigłowców Bojowych z Pruszcza Gdańskiego (obecnie 49 Bazy Lotniczej). Piloci byli już doświadczeni, po kilku zmianach w Iraku, ale zdawali sobie sprawę z tego, że teraz działają w rejonie znacznie bardziej niebezpiecznym.

W Afganistanie załogi Mi-24 czuły się naprawdę potrzebne. Nie tylko same wykonywały patrole i osłaniały z powietrza, lecz także uczestniczyły w operacjach →



BARTOSZ BERA

MI-24, ZWANE W AFGANISTANIE RYDWANAMI ŚMIERCI, ŚWIETNIE SPRAWDZAŁY SIĘ W SYTUACJI, GDY TRZEBA BYŁO ODSTRASZYĆ PRZECIWNIKA

typowo bojowych. Dlatego na pokładzie śmigłowca, oprócz trzyosobowej załogi, znalazł się strzelec. „Po wykryciu przeciwnika neutralizowaliśmy go. Niszczylśmy też infrastrukturę talibów”, wyjaśnia ppłk pil. Wilk. Mi-24, zwane w Afganistanie rydwanami śmierci, świetnie sprawdzały się też w sytuacji, gdy trzeba było odstraszyć przeciwnika. Tam gdzie pojawiały się wielkie śmigła, ustawał ogień przeciwnika, robiło się bezpiecznie.

Podpułkownik wspomina jedną z afgańskich operacji, w której brał udział. „Mieliliśmy chronić z powietrza 12-kilometrowy konwój. Nasi żołnierze przenosili się wówczas do bazy Warrior. Wyglądało to tak, jakby całe miasteczko poruszało się na kołach. Konwój osłaniały dwa śmigłowce, a jeden z nich pilotowałem ja. Kiedy tylko odlatywaliśmy, by zatankować, natychmiast pojawiał się ogień przeciwnika. Gdy wracaliśmy, znów był spokój. Lataliśmy tak nad naszymi żołnierzami od rana do wieczora, by czuli się bezpieczni”. Świadomość, że ich praca jest ważna, motywowała pilotów do ogromnego wysiłku. Po latach przyznają, że działali na granicy norm, dawali z siebie więcej niż 100%. W ciągu jednej misji wykonywali nawet ponad 120 zadań bojowych.

Udział w ISAF to dla Mi-24 wyzwanie związane z wysokością, na jakiej jest położony Afganistan, czyli ponad 2 tys. m n.p.m. Okazało się, że silniki, w które wyposażono śmigłowce, miały za małą moc. „Potrzebowaliśmy pasa startowego, by się wzbić. Startowaliśmy niemal jak samoloty”, wspomina Wilk. „Nie mogli tego zrozumieć Amerykanie, którzy mówili nam »możecie tu lądować« i wskazywali jakiś skrawek ziemi. Odpowiadaliśmy, że nie ma mowy, bo potem musimy wystartować, a do tego potrzebujemy więcej miejsca. »Jak to, przecież macie śmigłowce!«, słyszeliśmy w odpowiedzi. Oni nie mogli tego zrozumieć, ale widzieli też, że dajemy radę. Skoro wykonywaliśmy wspólne operacje, to znaczy, że nam ufali”, podkreśla ppłk Wilk.

Amerykanie z zaciekawieniem obserwowali wielkie radzieckie Mi-24. Kiedy podpułkownik razem z amerykańską załogą leciał ich śmigłowcem, jego uwagę przykuło zachowanie strzelca, który obserwował to, co działo się na ziemi. „Trzeba wiedzieć, że Amerykanie przestrzegają regulaminów i nie zdarza się, by łamali jakieś przepisy. Więc jeśli strzelec miał rozkaz, by obserwować teren, to obserwował i nic nie mogło wtedy odwrócić jego uwagi. Zauważyłem jednak, że kątem oka przygląda się lecącemu za nami Mi-24. I w końcu nie wytrzymał, wyciągnął komórkę i zrobił zdjęcie naszej maszyny”, wspomina ze śmiechem pilot.

Misja w Iraku była dla pilotów i techników odkrywaniem możliwości śmigłowca. Do szczegółowych informacji, które mieli na początku misji, dokładali kolejne. Tak tworzył się obraz tej potężnej maszyny. A Afganistan? Płk Wilk zastanawia się chwilę, gdy słyszy pytanie o to, czego dowiedział się o Mi-24 w tym kraju. W końcu odpowiada: „Na pewno tego, że one przynoszą szczęście. Nieraz zdarzało się, że po ostrzale znajdowaliśmy na pokładzie odłamki czy elementy pocisku, ale jakoś szczęśliwie docieraliśmy do bazy”. Potwierdziło się zatem to, co o Mi-24 mówili ich pierwsi polscy piloci.

Dziś w 49 Bazie Lotniczej w Pruszczu Gdańskim jest 12 tych śmigłowców. Lata nimi 28 pilotów, a 70 techników zajmuje się obsługami i naprawami maszyn. Mi-24 są używane do szkolenia lotników, ale ich załogi biorą też udział we wszystkich dużych ćwiczeniach wojskowych. „Na »Anakondzie '16« wykonywaliśmy zadania dotyczące bezpośredniego wsparcia lotniczego i osłony wojsk z powietrza”, mówi por. Paweł Lipski, jeden z pilotów służących w 49 Bazie. Przed nimi z kolei „Tumak '16” – będą ćwiczyć razem z 16 Pomorską Dywizją Zmechanizowaną – oraz „Ramstein Guard '16”, gdzie zmierzą się z zakłóceniami radioelektronicznymi z użyciem sił i środków NATO. ■

ST. SZER. ALEKSANDER CZYŻ



Data i miejsce

urodzenia:

14 sierpnia

1981 roku, Pietrowka w Kazachstanie.

W wojsku służy od: 2001 roku.

Tradycje wojskowe: dziadek, ppłk Antonii Świerzewski, służbę wojskową rozpoczął w 1939 roku. Przed emeryturą był komendantem WKU w Bolesławcu.

Edukacja wojskowa: Szkoła Podoficerska Wojsk Lądowych w Poznaniu.

Zajmowane stanowisko: kierowca celowniczy w 10 Brygadzie Kawalerii Pancernej im. gen. broni Stanisława Maczka w Świętoszowie.

Moje największe osiągnięcie: od prezydenta RP Bronisława Komorowskiego za udział w bitwie o City Hall w Karbali w 2004 roku otrzymałem Krzyż Wojskowy.

Najlepsza broń:

kbs Beryl kalibru 5,56 mm.



Gdybym nie został żołnierzem, byłbym dziś: kierowcą zawodowym.



Zostałem żołnierzem,

bo: od dziecka interesowałem się wojskiem. Poza tym podtrzymuję rodzinne tradycje. Mój śp. dziadek zaszczerpił we mnie i moim starszym bracie ducha patriotyzmu. Mam nadzieję, że mój syn Sławomir również będzie kontynuował rodzinną tradycję.

Misje i ćwiczenia: służyłem w rozpoznaniu w 2004 roku w Iraku, podczas VIII i IX zmiany PKW w Afganistanie byłem kierowcą wozów BRDM, MRAP i Rosomak.

Gdybym mógł zmienić coś w wojsku:

postawiłbym na lepsze wyposażenie żołnierzy, biorąc pod uwagę specyfikę ich stanowisk i wykonywanych zadań.

W umundurowaniu polskiego żołnierza podoba mi się:

możliwość dostosowania ubioru do warunków pogodowych.

Moja książka życia: wolę kino.

Niezapomniany film: „Jak rozpętałem II wojnę światową”.

Co robię po służbie:

poświęcam czas rodzinie i buduję swój wymarzony dom.



Przełomowe wydarzenie w życiu: po wielu latach pobytu w Kazachstanie, w 2001 roku wróciłem z rodzicami i braćmi do Polski.



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. 17 WBZ

PRZEGLĄD
SIŁ ZBROJNYCH

10
DZIAŁÓW
O SZKOLE-
NIU I TAK-
TYCENĄ
WSPÓŁCZE-
SNYM POLU
WALKI

PISMO SZKOLENIOWE

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

Nieopodal Wyszogrodu rozbił się na Wiśle samolot pasażerski, który kilka minut wcześniej wystartował z lotniska w Modlinie.

W odległym o kilkadziesiąt kilometrów Mińsku Mazowieckim do lotu poderwały się dwa ratownicze śmigłowce. Maszyny przyleciały na miejsce katastrofy i zawisły na wysokości 40 m nad wodą. Lekarze i ratownicy zjechali na linach, nie zważając na unoszące się na brzegu tumany piachu – miliony ziarenek wzbijały się do wysokości 15 m i utrudniały akcję. Ratownicy musieli odszukać 42 rannych pasażerów i przetransportować ich do szpitala polowego, który błyskawicznie wyrósł na brzegu. Zagroženiem były ptaki (wypadek zdarzył się w pobliżu ich terenów lęgowych) – gdyby wpadły w wirnik nośny lub uderzyły w śmigło ogonowe, mogłoby dojść do uszkodzenia elementów wytwarzających siłę nośną śmigłowca. Dodatkowo utrudnienie stanowiła rwąca rzeka, jej nurt (4 km/h) mógł porwać rannych, a trzeba było odnaleźć wszystkich.

Tak wyglądał scenariusz przeprowadzonych w ramach „Anakondy '16” ćwiczeń „Renegade/Sarex”, które zostały zorganizowane przez Dowództwo Operacyjne Rodzajów Sił Zbrojnych. Uczestniczyły w nich 2 Grupa Poszukiwawczo-Ratownicza z Mińska Mazowieckiego oraz straż pożarna (m.in. specjalistyczne grupy wysokościowo-ratownicze JRG-7 z Warszawy i JRG-10 z Łodzi), Lotnicze Pogotowie Ratunkowe, Policja, Ochotnicza Straż Pożarna, PCK. „Ćwiczenia pokazały, gdzie są jeszcze słabe punkty i co należy poprawić we współpracy służb, aby takie akcje przebiegały jak najsprawniej. W realnym ratowaniu życia ludzkiego nie ma

miejsca na błąd”, mówi zastępca dowódcy grupy i szef szkolenia kpt. pil. Mariusz Tracz-Sala, który uczestniczył w planowaniu i uważnie obserwował ćwiczenia.

GRUPA POD SKRZYDŁEM

Jako samodzielna jednostka wojskowa 2 Grupa Poszukiwawczo-Ratownicza w Mińsku Mazowieckim rozpoczęła działalność 1 stycznia 2009 roku. Powstała w wyniku przekształcenia Grupy Poszukiwawczo-Ratowniczej wchodzącej w skład 2 Eskadry Lotnictwa Transportowo-Łącznikowego w Bydgoszczy. Funkcjonuje w ramach 3 Skrzydła Lotnictwa Transportowego w Powidzu, podobnie jak jej bliźniacze jednostki: 1 GPR w Świdwinie oraz 3 GPR w Krakowie.

Wcześniej takie jednostki były rozmieszczone na lotniskach w Bydgoszczy, Mińsku Mazowieckim, Krakowie, Poznaniu, Radomiu i Wrocławiu. Reorganizacja miała na celu utworzenie mniejszej liczby wzmocnionych grup, wyposażonych w zmodernizowane śmigłowce ratownicze o zwiększonym zasięgu i udźwigu, które mogą skutecznie operować w każdych warunkach atmosferycznych, w dzień i w nocy.

W skład 2 Grupy Poszukiwawczo-Ratowniczej w Mińsku Mazowieckim wchodzi klucz lotniczy: 12 pilotów i sześciu techników latających, zespół ratownictwa medycznego, czyli sześciu lekarzy pokładowych i sześciu ratowników pokładowych, oraz 26 osób (w tym pięciu inżynierów)

z zespołu eksploatacji śmigłowców, które utrzymują maszyny w gotowości. Jednostka pełni całodobowe dyżury ratownicze w służbie poszukiwania i ratownictwa lotniczego ASAR. „Czuwamy nad bezpieczeństwem w naszym sektorze odpowiedzialności, czyli w promieniu 200 km od Mińska Mazowieckiego. Gdy dojdzie do zdarzenia lotniczego, musimy jak najszybciej zlokalizować poszukiwany statek powietrzny, udzielić pomocy poszkodowanemu oraz powiadomić i naprowadzić na miejsce katastrofy służby naziemne. Zabezpieczamy również loty →

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Sokoły na ratunek

W ratownictwie jest 15 minut platynowych i złota godzina. Jeśli w tym czasie do poszkodowanego dotrze pomoc, wzrasta szansa na przeżycie. Potem z każdą minutą maleje.

WOJCIECH MAZURKIEWICZ



Żeby jak najlepiej przygotować się do lotów w każdych warunkach pogodowych, śmigłowce 2 GPR codziennie wzbijają się w niebo.

o statusie HEAD, czyli przewożenie najważniejszych osób w państwie. Możemy być wykorzystywani także do szeroko rozumianych działań ratowniczych w czasie kryzysu czy klęsk żywiołowych”, mówi kpt. pil. Mariusz Tracz-Sala.

W swej pracy 2 GPR wykorzystuje cztery śmigłowce W-3WA SAR Sokół dostosowane do zadań poszukiwawczo-ratowniczych oraz dwa Mi-2 RL. W skład każdej załogi sokoła wchodzi pilot-dowódca, drugi pilot, lekarz, ratownik i technik. Loty ratownicze, wykonywane nierzadko nocą lub w trudnych warunkach atmosferycznych, wymagają od załogi najwyższych kwalifikacji i umiejętności pracy w zespole.

W GOTOWOŚCI

Z sześciu maszyn jedna jest zawsze na dyżurze, druga w zapasie, trzecia w gotowości do reagowania kryzysowego. Piloci śmigłowców 2 GPR spędzają w powietrzu średnio 160 godzin w roku, a ci, którzy się szkolą oraz instruktorzy, nawet 300.

„Jedną godzinę nalotu poprzedzają średnio cztery godziny przygotowania na ziemi”, zwraca uwagę kpt. Wojciech Deneko, szef zespołu eksploatacji śmigłowców. Żartuje, że jest kierownikiem serwisu, bo kieruje zespołem inżynierów i techników, których zadaniem jest utrzymanie maszyn w gotowości (w locie śmigłowce muszą być gotowe do startu w ciągu 15 min, w zimie – w ciągu 20) oraz przeprowadzanie przeglądów.

„Zawsze gdy w sektorze polskiej przestrzeni powietrznej [FIR Warszawa], za który od-

powiada nasza grupa, przemieszczają się najważniejsze osoby w państwie – o statusie HEAD lub VIP – u nas podnoszony jest stan gotowości z numeru 2 na 1. Załoga śmigłowca czeka wówczas w maszynie na sygnał do startu. Gotowość podnoszona jest także w fazie zagrożenia, np. gdy na lotnisku Okęcie ląduje samolot, który ma problemy techniczne”, dodaje kpt. Wojciech Deneko.

Zdarzają się również fałszywe alarmy. Kpt. Deneko opowiada o zgłoszeniu katastrofy samolotu, który okazał się dużym dronem. Alarm wszczynany jest także wtedy, gdy pilot prywatnej maszyny nie zamknie planu lotu (czyli nie zgłosi, że doleciał do miejsca przeznaczenia). Wtedy po 30 min służba alarmowa uruchamia procedurę i rozpoczynają się poszukiwania. Tak było w rejonie Mrągowa, gdy okazało się, że cessna lecąca do Kętrzyna wylądowała na łące.

TRENINGI I POKAZY

Katastrofy statków powietrznych nie zdarzają się często, ale może do nich dojść w każdej chwili. Wtedy sokół leci na ratunek. 2 Grupa Poszukiwawczo-Ratownicza w Mińsku Mazowieckim może prowadzić akcję ratowniczą w terenie trudno dostępnym, zurbanizowanym, nad wodami śródlądowymi. Częściej jednak nadchodzi rozkaz o podniesieniu gotowości. Wtedy załoga czeka w śmigłowcu na sygnał, aby poderwać maszynę.

„Podczas pełnienia dyżuru ratowniczego podlegamy Ośrodkowi Koordynacji Poszukiwań i Ratownictwa Lotniczego w Centrum Operacji



**PILOCI
ŚMIGŁOWCÓW
2 GPR SPĘDZAJĄ
W POWIETRZU
ŚREDNIO
160 GODZIN
W ROKU, A CI,
KTÓRZY
SIĘ SZKOŁĄ, ORAZ
INSTRUKTORZY,
NAWET 300**

WOJCIECH MAZURKIEWICZ (2)

Lotniczych – Dowództwie Komponentu Powietrznego, który kieruje nas do akcji ratowniczej, a później ją koordynuje”, tłumaczy kpt. pil. Mariusz Tracz-Sala.

Żeby doskonalić umiejętności i być jak najlepiej przygotowanym do lotów w każdych warunkach pogodowych, śmigłowce 2 GPR codziennie wzbijają się w niebo, piloci i technicy pokładowi trenują loty ratownicze, a medycy ćwiczą udzielanie pomocy poszkodowanym.

Żołnierze, którzy trafiają do Grupy, rozpoczynają swoją służbę od szkoleń – są kierowani na specjalistyczne kursy, uczą się, na czym polega specyfika tej pracy. „W tej książce zostały opisane wszystkie etapy szkolenia personelu latającego na śmigłowcach”, kpt. pil. Tracz-Sala pokazuje grubą, kilkusetstronicową księgę (PSzL-2012) i wiele instrukcji specjalistycznych oraz standardowych procedur operacyjnych (SOP). Gdy więc pracę w Grupie rozpoczyna pilot, który nie latał na śmigłowcu W-3, musi najpierw poznać tę maszynę. Początkowo będzie pełnił funkcję drugiego pilota, przejdzie różne szkolenia, nauczy się dobrze latać w dzień (także w chmurach, gdy nie widać ziemi), potem dopiero przyjdzie czas na naukę latania w nocy. Kolejnym etapem jest szkolenie do lotów ratowniczych, podczas których pilot musi współdziałać z załogą. Ile trwa taki proces? Kpt. pil. Mariusz Tracz-Sala opowiada o jednym pilocie, który przez cztery lata wylatał 640 godzin i drugim, który w tym samym czasie w powietrzu spędził 960 godzin. Dziś obydwaj są dowódcami załogi. „To rekord, bo niektórzy nie dochodzą do tego etapu przez dziesięć lat”, dodaje.

ŁADOWANIE BEZ SILNIKA

Jednym z medyków w 2 GPR jest por. Magdalena Kozak, lekarz pokładowy, p.o. szefa zespołu ratownictwa medycznego. Dwukrotnie na misji PKW w Afganistanie

była szefem sekcji zespołu przyjęć i segregacji, sekcji MEDEVAC i CASEVAC, ma duże doświadczenie w leczeniu pacjentów z urazami. Pracę w Grupie rozpoczęła rok temu. „Jestem jeszcze świeżakiem”, śmieje się pani porucznik. Przyznaje, że sporo musiała się nauczyć – regulaminów lotów, instrukcji dotyczących organizacji lotów, poznać nатовskie doktryny. „Nie muszę znać każdej śrubki w maszynie, ale potrzebna jest ogólna wiedza o budowie śmigłowca”, tłumaczy. Musiała także wykonać skok ze spadochronem zgodnie z programem szkolenia wojskowego (300 skoków, które wykonała w cywilu, tu się nie liczy).

Wyzwaniem był kurs samoratownia i przetrwania na wodzie w Ośrodku Szkolenia Nurków i Płetwonurków w Gdyni. Por. Kozak opowiada, jak wsiadała do śmigłowca, który był zatapiany (w basenie). Potem na kursie techniki linowej w Zakopanem ćwiczyła zjazdy na linie ze śmigłowca, uczyła się, jak wiązać węzły, jak podciągać ранnego i sprawnie współpracować z załogą.

W górze słychać warkot śmigłowca. „To nasi wracają”, por. Kozak spogląda w niebo. Po chwili sokół zakołował na placu przed hangarem. Por. pilot Katarzyna Sitarska ćwiczyła lądowanie samolotowe (śmigłowiec podchodzi do lądowania jak samolot), lądowanie z wyłączonym jednym silnikiem oraz lądowanie z imitacją autorotacji (z wyłączonymi silnikami). Podczas blisko trzygodzinnego ćwiczenia ratownik dziesięć razy zjechał na linie, aby na ziemi opatrzyć ранnego i przygotować go do transportu. Lot odbył się w minimalnych warunkach atmosferycznych, bo chmury wiszą dziś nisko i jest słaba widoczność.

Maszynę czeka teraz krótki przegląd, zanim ponownie wystartuje. „Sokół jest niczym karetka”, żartuje por. Kozak. „Na jednej z burt są przymocowane defibrylator, ssak medyczny, respirator, termosy z ciepłymi płynami. Tu na noszach leży pacjent, a my monitorujemy jego funkcje życiowe”, tłumaczy.

St. chor. Jarosław Sobczak, technik i operator dźwigu pokładowego, mówi, że podczas akcji jest oczami pilota. „Utrzymujemy łączność radiową i naprowadzam go na dany punkt, podaję kierunek i odległość do celu”, opowiada. Pilot powinien w taki sposób manewrować sześciotonową maszyną, aby za pierwszym podejściem podać hak od wyciągarki znajdującemu się na ziemi ratownikowi, tak by ten sprawnie podpiął do stalowej liny siebie oraz poszkodowanego (lub nosze). Technik musi ich wciągnąć na pokład za pomocą pokładowego dźwigu (udźwignie ciężar o masie do 272 kg).

„Co roku w Giżycku podczas Air Show Mazury nasza Grupa daje nad jeziorem Niegocin pokaz akcji ratowniczej. Chcemy, aby społeczeństwo wiedziało, że jesteśmy dobrze przygotowani do niesienia pomocy poszkodowanym”, dodaje kpt. pil. Mariusz Tracz-Sala. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI

ŚLADY PO GAŚNIENIACH

**Polscy żołnierze już trzeci raz wzięli udział
w ćwiczeniach „Slovak Shield '16”.**

Dwóch amerykańskich zwiadowców kuli się na posterunku obserwacyjnym, który znajduje się na niewielkim wzniesieniu, tuż przy rozstaju dróg. Gęste niepozorne zarośla chronią przed wykryciem przez wroga, a z wnętrza kryjówki można nie tylko dostrzec zbliżające się pojazdy, lecz także kontrolować wszystko, co się dzieje, aż po horyzont. I właśnie dzięki temu żołnierze przed chwilą zauważyli bojowe wozy piechoty, które obrały kierunek na pozycje wojsk polskich, słowackich i czeskich. Co gorsza, jechały w ich kierunku i w czasie natarcia będą musiały przejechać praktycznie po nich.

Żołnierze w ramach systemu wczesnego ostrzegania przekazali sojusznikom wszystkie informacje o zbliżających się siłach wroga. Dzięki temu kpt. Dawid Butlak,

dowódca polskiej kompanii, zna liczebność oraz tempo przemieszczenia przeciwnika i może się przygotować do skutecznej obrony. Tymczasem zwiadowcy bezzwłocznie wycofują się w głąb posterunku i mocno przywierają do ziemi. Jest już za późno na to, by dostać się do zamaskowanych kilkaset metrów dalej strykerów. Pozostaje im mieć nadzieję, że przeciwnik nie wykryje ich obecności, ani ich nie rozjedzie.

Ziemia drży coraz mocniej od mielących ją gąsienic. Sierż. John Emmeck zaciska zmarznięte palce na swoim M4, a drugą ręką przyciska głowę do trawy. Dla niego to próba nerwów, ostateczny sprawdzian. Każda sekunda to walka między zachowaniem spokoju a ogarniającą go paniką. Bewupy raz za razem mijają jego ciało, niektóre z nich nie dalej niż w odległości 10 m. Widzi, jak dowód-



AMERYKAŃSCY ŻOŁNIERZE WIEDZĄ, ŻE JAKO ZWIADOWCY NIE MOGĄ DAĆ SIĘ ZDEMASKOWAĆ

MICHAŁ ZIELIŃSKI (2)

cy pojazdów patrzą przed siebie, wydając krótkie, precyzyjne rozkazy. Po chwili nawałnica słabnie. Amerykanie powoli unoszą głowy. Sierż. Larry Thompson, drugi ze zwiadowców, zaczyna wsłuchiwać się w radio, by sprawdzić, jak wygląda sytuacja. Nagle ze strony pozycji kompanii kpt. Butlaka dobiega odgłos urwanej serii.

MOŻEMY TYLKO CZEKAĆ

Kilka godzin wcześniej sierż. Emmeck przedziera się przez mokrą, bujną trawę. Jego buty zapadają się w rozlżną maź, która je oblepia i przytrzymuje. Gęsty deszcz wsiąka w jego mundur, a krople odbijają się od hełmu w dziesiątkach mikroeksplozji. Do punktu obserwacyjne-

go żołnierz dociera niemal równo ze swoim przełożonym, który nadszedł ze strony pojazdu dowódcy. Zwiadowcy lokują się na pozycjach i poprawiają gałęzie tak, by jak najlepiej zamaskować swoją obecność. Woda nieubłaganie ścieka z liści, zalewa twarz i wdziera się pod mundur. Sierż. Thompson stara się o tym nie myśleć. Zamiast tego naciąga mocniej kołnierz i przylega do słuchawki radiostacji.

„Naszą rolę, jako zwiadowców 2 Pułku Kawalerii, jest obserwowanie ruchu na przedpolu sojusznich wojsk. Ten punkt obserwacyjny będzie naszym domem przez następne kilka, może kilkanaście godzin. Wszystko, co zauważymy, przekazujemy dowódcy, który znajduje się w zamaskowanym strykerze jakieś 200 m stąd, w tamtym →

kierunku”. Sierż. John Emmeck wskazuje brodą niewielki gaik tuż za błotnistą, rozjeżdżoną na miazgę drogą. Z tej odległości miejsce to w żaden sposób nie wyróżnia się z całego krajobrazu. „Spodziewamy się, że tym skrzyżowaniem pójdzie natarcie przeciwnika. Górzysta okolica nie daje zbyt wielu możliwości. My również za bardzo nie mamy wyboru. Możemy jedynie czekać i w tym czasie do brze się przygotować na nadejście wroga”.

Amerykańscy żołnierze wiedzą, że jako zwiadowcy nie mogą dać się zdemaskować. Po pierwsze, od ich oczu i uszu zależy skuteczna obrona sojusznicych pozycji. Po drugie, skromne uzbrojenie i znaczna odległość od pojazdu nie dają im wyboru. W ostateczności mogą się ratować ucieczką w kierunku strykerów, ale one również nie mają zbyt dużej siły ognia. To lekkie wersje, których największym atutem jest mobilność, dlatego też w razie potrzeby mogą się jedynie szybko wycofać.

POLSKA PIECHOTA

Kanonada przybiera na sile. Po pobliskich wzniesieniach roznosi się echo karabinków używanych przez piechotę oraz karabinów maszynowych PKS zamontowanych na bojowych wozach piechoty. Odpowiadają im głuche tąpnięcia charakterystyczne dla szybkostrzelnej armatki Bushmaster. Polacy zalewają atakujących silnym ogniem. Strzały stają się głośniejsze, dołączają do nich coraz wyraźniejsze odgłosy pracujących silników. Zza drzew wyłania się BWP, który na pełnym gazie pruje w kierunku zwiadowców. Zamiast jednak otworzyć do nich ogień, zajmuje pozycję po drugiej stronie drogi i osłania wycofujące się pojazdy. Zza przeciwnieległych wzniesień wyjeżdżają rosomaki, można również dostrzec sylwetki żołnierzy piechoty. Polacy przeszli do kontrnatarcia!

Przeciwnik zdaje sobie sprawę z tego, że jego atak się załamał. Ostatni z ocalałych BWP-ów odpala świecę dymną i zakosami dołącza do swojej grupy. Korzystając z osłony, bojowe wozy wycofują się za kolejne wzniesienie, spod gąsienic tryskają fontanny błota. Chwilę później wśród odgłosów walk można wyróżnić swojsko brzmiące okrzyki. To Polacy z 1 Batalionu Piechoty Zmotoryzowanej Ziemi Rzeszowskiej rozpoczęli pościg za wrogiem. Żołnierze opuścili wnętrza rosomaków i uformowali szereg wzdłuż drogi. Ich obecność jest kluczowa dla bezpieczeństwa przemieszczających się lewym skrzydłem słowackich czołgów T-72 M1. W ten sposób zabezpieczają flanki przed odwetem przeciwnika. Po wykonaniu zadania „rolują szereg” i wracają do wozów.

Na błotnistym skrzyżowaniu stoi rosomak oraz dwa czeskie lekkie pojazdy AVAC. W deszczu kilku oficerów omawia sytuację taktyczną i przyjmuje rozkazy. Dowodzi nimi kpt. Dawid Butlak, odpowiedzialny za



działanie polskiej kompanii w ćwiczeniach „Slovak Shield '16”. Pod jego opieką znajdują się również plutony słowackie i czeskie, z którymi właśnie kontratakują. „Natarcie prowadzimy wspólnie ze słowackimi czołgami T-72. Wcześniej Czesi rozpoznali najlepsze drogi podejścia i wyjścia do natarcia. Teraz w obwodzie osłaniają nasze tyły. Gdyby przeciwnikowi udało się skutecznie obronić, na umówiony sygnał będą wspierać naszych żołnierzy”.



„SLOVAK SHIELD '16”

Ćwiczenia przeprowadzono na słowackim poligonie w Lest oraz w Akademii Obrony Narodowej w Lip-towskim Mikulaszu. Około 2 tys. żołnierzy ze Słowacji, Polski, Czech, Węgier i Stanów Zjednoczonych od 6 do 13 października doskonaliło współdziałanie wewnątrz struktur NATO, również w pododdziałach wielonarodowych.



MICHAŁ ZIELIŃSKI (5)

Kpt. Butlak złączonymi palcami wskazuje nowe kierunki ataku. Scena przypomina obraz przedstawiający bitwę pod Falais, na którym gen. Maczek przekazuje rozkazy swoim czołgistom. Tak samo jak tam, tutaj żołnierze wychylają się ze swoich wozów i przez ryk silników wyłapują kolejne wytyczne. „Główną siłą natarcia są czołgi. Nasze rosomaki chronią skrzydła i ich załogi wynajdują najlepsze pozycje, by móc je wspierać”, mówi kapitan. „Stosujemy kilka nowatorskich rozwiązań przejętych od

piechoty. Wozy zdobywają dominujące wzniesienia, po czym z utworzonej w ten sposób bazy ogniowej rażą ogniem przeciwnika i umożliwiają przemieszczenie kolejnych pojazdów. W ten sposób zamierzamy kontynuować pościg”. Oficer poprawia przemoczoną kominiarkę i wciśka na głowę hełm. Z jego postawy bije determinacja i pewność siebie. Wie, że taktyka zastosowana na „Slovak Shield ‘16” okazała się skuteczna, a jedyne co zostanie po wrogu, to odcisnięte w błocie ślady gąsienic. ■

POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIEGO
WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO
OD KULIS” PRZECZYTAJ O MARY-
NARZACH, PILOTACH,
LOGISTYKACH, ARTYLE-
RZYSTACH, PRZECIW-
LOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

SAPERZY NA CZTERECH KONTYNENTACH

To jedna z najstarszych i najbardziej wszechstronnych jednostek polskiej armii. Jej żołnierze wykonywali zadania w Azji, Afryce, na Antarktydzie. Na co dzień dbają m.in. o zabezpieczenie logistyczne okrętów czy usuwanie niewybuchów.

Z żołnierzami 8 Kołobrzesckiego Batalionu Saperów spędziłem dzień na poligonie w Ustce. Stoję na plaży po kostki w piachu i zadzieram głowę. Słońce mam prosto w oczy, więc muszę je przesłonić, aby zobaczyć żołnierzy opartych o burtę platformy transportowej. Z tej perspektywy PTS-M, czyli pływający transporter samobieżny, wygląda imponująco. Jak się wkrótce przekonam, wiele jeszcze może, choć to leciwa maszyna. Na razie jednak czeka. Podobnie jak ustawiony kilkaset metrów bliźniaczy pojazd, siedem ukrytych między wydrami bojowych wozów piechoty, kilka maszyn inżynierii i rozpoznania, a także żołnierze 8 Kołobrzesckiego Batalionu Saperów Marynarki Wojennej i 16 Batalionu Zmechanizowanego. Czekamy wszyscy – na okręt,

który pojawi się na horyzoncie i sprawi, że plaża zatętni życiem.

KORONA W KAWALKACH

„Lepiej niech pan włoży hełm. Wczoraj odłamki doleciały aż tutaj”, słyszę. Kilkanaście minut później okolicę wstrząsa potężny wybuch, a 400 m dalej, za wydrami, wzbija się w powietrze słup piachu i kamieni. Na szczęście żaden z nich nie dociera do piaszczystego pagórka, na którym stoję.

Na poligonie w pobliżu Ustki ten dzień zaczął się wyjątkowo wcześnie. O piątej rano dowódca zgrupowania ogłosił alarm. Wkrótce kolumny żołnierzy z poszczególnych pododdziałów 8 Batalionu Saperów wymaszerowały na swoje stanowiska. Najważniejsze zadanie na dziś: trening załadunku pojazdów wojsk lą-





**Patrol rozminowania
8 Batalionu jest
jednym z 37, które
działają w Polsce.
Wojskom lądowym
podlega 35 patroli, dwa
– marynarce wojennej.**

dowych na pokład okrętu transportowo-minowego ORP „Gniezno”. Ale ćwiczą też inni. I tak oto jestem świadkiem zniszczenia tzw. korony drogi. Oczywiście, jest w tym zadaniu szczypta umowności.

„Nie możemy sobie pozwolić na zniszczenie prawdziwej drogi, dlatego żołnierze wyznaczają odcinek na wydmach i tam podkładają ładunki”, tłumaczy kmdr por. Wojciech Chrzanowski, dowódca 8 Batalionu Saperów. „W tym wypadku najważniejsze jest przeciwczenie samych procedur, sekwencji działań, sposobu obchodzenia się z ładunkiem”, dodaje. Na skraju lasu saperzy zakładają więc prowizoryczny magazyn amunicji, a na samych wydmach – PKW, czyli punkt kontroli wysadzania. To właśnie w niewielkim zamaskowanym okopie jest centrum całego przedsięwzię-

cia. „Stąd kierownik ćwiczeń daje sygnał do detonacji ładunku i ocenia wykonanie zadania”, informuje kpt. Arkadiusz Drzewiecki, dowódca kompanii minowania. Tym razem jego ludzie rozmieszczają na drodze dziesięć min, z których każda waży 10 kg. Do tego dochodzi magistrala, czyli system przewodów, po których pobiegnie impuls wzbudzający ładunek. „Oczywiście możemy go odpalić zdalnie, ale wokół znajduje się sporo pagórków. Istnieje ryzyko, że sygnał gdzieś po drodze zaniknie, więc magistrala jest pewniejsza”, przekonuje kpt. Drzewiecki. Żołnierze mogliby też po prostu pozostawić miny. Eksplodują one pod naciskiem 180 kg, czyli na przykład wówczas, gdy najedzie na nie kołem ciężarówki przeciwnika. W ten sposób wróg nie tylko poniesie straty w sprzęcie, ale też w drodze po- ➔

MARCIN PURMAN / 8 FOW

wstanie wyrwa, która utrudni marsz jego oddziałom. „Do naszych podstawowych zadań należy zaminowywanie wybrzeża i ustawianie zapór przeciwdesantowych. Współdziałamy ściśle z wojskami lądowymi, a konkretnie z 8 Brygadą Obrony Wybrzeża”, tłumaczy kmdr por. Chrzanowski. Równie ważne jak rozmieszczanie min, jest dla saperów ich usuwanie.

UWAGA, NIEBO

Wróćmy na ten fragment plaży, gdzie czekają BWP-y i PTS-M-y. Oto bowiem na horyzoncie pojawia się okręt, a pojazdy zaczynają grać silniki. Wkrótce ruszą przez morze. Dla żołnierzy z 16 Batalionu będzie to absolutna nowość. Debiut czeka i mnie. Tyle że ja wejdę na PTS-M. I to niejedną raz. „Pojazd na lądzie jeździ na gąsienicach, ale ma też pędniki, które umożliwiają pływanie. W pierwszym wypadku rozwija prędkość niespełna 50 km/h, w drugim nieco ponad 11 km/h. Potrafi operować przy stanie morza dwa [w dziesięciostopniowej skali Douglasa] i wietrze sięgającym 5–6 m/s”, wylicza st. mar. Maciej Sobczyk, operator PTS-M. „Ja sam pływałem nim kilometr od lądu. Podczas większej fali trochę pryska, a na lądzie trzęsie, ale można przywyknąć”, dodaje.

Stawiam stopę na gąsienicy, potem wsuwam ją na niewielki stopień, wreszcie przełażę przez barierkę platformy transportowej. Czas na pierwszą jazdę, czyli typową prezentację. Ruszamy z rykiem silnika, najpierw po

grząskim, porytym koleinami piachu, potem kawałek po wodzie, wreszcie wracamy na plażę, na wydmy i koniec. „Jak wrażenia?”, dopytują operatorzy. Było całkiem niezłe.

Tymczasem ORP „Gnieszno” jest już na wyciągnięcie ręki. Obiera kurs na dwa sporej wielkości trójkątne znaki wetknięte w jeden z pagórków. „To tzw. nabieżniki, które rozstawiają nasi żołnierze”, tłumaczy kmdr por. Chrzanowski. Okręt stoi jakieś 200 m od brzegu. Czas na drugi wyjazd PTS-M. Tym razem znacznie poważniejszy i w towarzystwie. Razem ze mną na platformę wchodzi operatorzy bojowych wozów piechoty z 16 Batalionu. Muszą na własne oczy się przekonać, w jaki sposób podejść do okrętu, jak na niego wjechać, wreszcie odbyć na jego pokładzie krótki kurs.

Oczywiście saperzy mogliby im nieco ułatwić zadanie. Specjaliści z 8 Batalionu na co dzień obsługują pływające pomosty PPM-71. Na konstrukcjach wprawianych w ruch przez niewielkie kutry wprost na pokład okrętu przerzucają ciężarówkę, sprzęt, żołnierzy. Czasem spięte ze sobą bloki są wykorzystywane w sposób niecodzienny. „Podczas obchodów 50-lecia naszej flotyli zbudowaliśmy przeprawę, która połączyła centrum Świnoujścia z portem wojennym”, wspomina kmdr por. Chrzanowski. Dziś jednak koncentrują się na zabezpieczeniu terenu i asekuracji. W okolicznych lasach rozstawili posterunki, na plaży PTS-M, na wodę



TRZY PYTANIA DO

Wojciecha Chrzanowskiego

Co wyróżnia 8 Kołobrzesci Batalion Saperów spośród innych jednostek?

– Różni nas przede wszystkim to, że działamy zarówno na lądzie, jak i na morzu, na wodzie i pod jej powierzchnią. Batalion składa się z saperów, pododdziałów technicznego i rozminowania, kompanii chemicz-

nej, pomostów pływających oraz logistycznej. Wszystkie mają odmienną strukturę i inne zadania. Generalnie odpowiadamy za zabezpieczenie inżynieryjne sił 8 Flotyli Obrony Wybrzeża w Świnoujściu, przede wszystkim zaś jej okrętów. Przygotowujemy ich załadunek z nieprzystosowanych do tego wybrzeży,

np. budując pływające pomosty służące do transportu techniki wojskowej czy przerzucając żołnierzy desantu za pomocą PTS-M-ów. Urządzamy węzły zapór inżynieryjnych w portach, odbudowujemy zniszczoną infrastrukturę portową, minujemy i rozminowujemy, na plażach ustawiamy zapory przeciwdesantowe,

CI ŻOŁNIERZE UCZESTNICZĄ WE WSZYSTKICH NAJWIĘKSZYCH MANEWRACH Z UDZIAŁEM MARYNARKI

wysłali łodzie z nurkami. Jeśli oddziały zmechanizowane będą miały kłopoty, oni ruszą na pomoc.

Na razie jednak brniemy przez plażę. Silnik transportera pracuje na wysokich obrotach. Powoli wślizgujemy się do wody. Początkowo jedziemy po dnie, wkrótce za-

czynamy płynąć. W najgłębszym miejscu morze ma 4,5 m, ale sam okręt stoi na płytszej wodzie. Może sobie na to pozwolić dzięki specjalnej konstrukcji: płaskiemu dnu i zbiornikom balastowym, które nieznacznie go podnoszą. Jego śruby nieustannie pracują, podrywając z dna kłęby piachu. Woda za rufą ORP „Gnieszno” jest więc wzburzona i mętna.

PTS-M powoli dochodzi do opuszczonej furty. Teraz czeka go najtrudniejszy moment. Trzeba podjechać niemal pionowo w górę. „Uwaga, panowie, zobaczymy niebo!”, krzyczy kmdr por. Chrzanowski. Dla pasażera to raczej niewielki problem. Wystarczy trzymać się burty transportera i uważać, by nie wypaść na zewnątrz. Gorzej ma kierowca. Przez chwilę widzi bowiem tylko chorągiewki, za pomocą których wprowadza go na pokład zastępca dowódcy okrętu. Potem jeszcze tylko krótki, lecz stromy zjazd w dół i PTS-M jest już na pokładzie. Operatorzy wyskakują, my zaś wrócimy na brzeg.

Kiedy kierowcy na pokładzie ORP „Gnieszno” zastanawiają się, co dalej – pogoda od rana trochę się popsuła – mnie czeka jazda numer trzy. Tym razem naprawdę ostra, ponieważ operatorzy chcą pokazać, że z pocziwego PTS-M sporo jeszcze można wycisnąć. Tym razem siadam w kabinie, w nadziei, że tutaj jednak będzie wygodniej. Błąd. Po chwili podskakuję pod sam sufit, a kiedy pędem wjeżdżamy do morza, przez otwór w da-



a kompania chemiczna odkaża jednostki pływające i marynarzy, którzy zostali zaatakowani bronią morską rażenia.

W jaki sposób można zasilić nasze szeregi?

– Przede wszystkim potrzebujemy specjalistów z uprawnieniami: energetycznymi, budowlanymi, operatorów koparek, spycharek, dźwigów, osób posiadających prawo jazdy na ciężarówki. Choć batalion stanowi część marynarki wojennej, nie trafiają tutaj ludzie, którzy wcześniej służyli na okrętach. Często kandydaci przychodzą

wprost z cywila, z doświadczeniem wyniesionym z przedsiębiorstw transportowych, firm budowlanych. Zwykle stanowią oni niezwykle cenny nabytek. Zdarza się też, że przenoszą się do nas żołnierze z innych jednostek inżynierskich. Jednak specyfika naszej służby sprawia, że nie wszystkich i nie zawsze jesteśmy w stanie przyjąć.

A jakimi cechami musi się wyróżniać żołnierz, który do was trafia?

– Bezcenne są dla nas osoby operatywne, takie złote rączki. Często podczas wykonywania zadań staje-

my przed problemami, które wcześniej trudno przewidzieć. I wtedy tacy żołnierze są... na wagę złota. Potrzebujemy ludzi o otwartych głowach, chętnych do nauki, ciągłego doskonalenia posiadanych umiejętności i zdobywania nowych. Wojsko prowadzi kursy w różnego rodzaju specjalnością, a nasi żołnierze bardzo często z nich korzystają. Poznają nowe techniki wykonywania określonych zadań, nowy sprzęt. ■

Kmdr por. WOJCIECH CHRZANOWSKI jest dowódcą 8 Kołobrzeskiego Batalionu Saperów Marynarki Wojennej.



8 KOŁOBRZESKI BATALION SAPERÓW

Jest to jedna z najstarszych jednostek nie tylko w polskiej marynarce wojennej, lecz także w armii w ogóle. Jej historia sięga 13 sierpnia 1943 roku. Wówczas to w Sielcach nad Oką powstał 3 Samodzielny Batalion Saperów, który w kwietniu kolejnego roku został przemianowany na 8 Batalion Saperów. Służący w nim żołnierze przeszli szlak bojowy od Sielc, poprzez Warszawę, Wał Pomorski, aż do niemieckiej miejscowości Heringsdorf. W tym czasie brali udział m.in. w ciężkich walkach o Kołobrzeg (to właśnie po tej bitwie batalion zaczął używać tzw. nazwy wyróżniającej), zabezpieczali też forsowanie Odry przez polskie oddziały.

Od połowy lat czterdziestych ubiegłego wieku żołnierze 8 Batalionu brali udział w rozminowywaniu, likwidacji barykad i umocnień najpierw w Kołobrzegu, potem zaś w Gdyni, Wejherowie oraz Brzegu na Dolnym Śląsku. Odbudowywali polskie porty, a kiedy było trzeba – likwidowali skutki klęsk żywiołowych. W 1945 roku batalion został wcielony do marynarki wojennej. Początkowo stacjonował w Wejherowie, a później przeniósł się do Dziwnowa. W 1977 roku wszedł w skład 8 Flotylli Obrony Wybrzeża w Świnoujściu.

chu leją się na mnie strumienie wody. „Daje radę, co?”, słyszę od jednego z operatorów.

KOLANA W DRUGĄ STRONĘ

„Wie pan, ile razy myli się saper? Raz? Nie... Podobno trzy razy. Pierwszy raz, kiedy decyduje się na tę robotę, drugi, kiedy się żeni, no i trzeci, wiadomo... Kawa?”, mł. chor. mar. Radosław Koronka, zastępca dowódcy patrolu rozminowania, wyciąga w moją stronę kubek pokaźnych rozmiarów. Siedzimy w przedsionku kilkunastoosobowego namiotu. Obok w trzech równych rzędach stoją kolejne. To właśnie tutaj podczas zgrupowania śpią żołnierze z 8 Batalionu. Po chwili dostaję kawę – jesteśmy w wojsku, w dodatku na poligonie, więc

czarną, sypaną z dwóch łyżeczek. „Pracy to teraz mamy mnóstwo”, przyznaje chor. Koronka. „Tylko w ostatni weekend dostaliśmy cztery zgłoszenia. Na przykład z budowy, gdzie podczas prac robotnicy natrafili na pocisk artyleryjski. Pojechaliśmy na miejsce, rozejrzeliśmy się i z tego jednego zrobiło się 51 pocisków. Tak, niespodzianek u nas nie brakuje”, opowiada.

Patrol rozminowania 8 Batalionu jest jednym z 37, które działają w Polsce. Wojskom lądowym podlega 35 patroli, dwa – marynarce wojennej. „Kiedyś odpowiadaliśmy tylko za plaże, teraz mamy pod opieką powiaty świnoujski, kamieński, gryficki, kołobrzeski, a także lotnisko w Darłowie”, wymienia chor. Koronka. Teren gorący, bo w czasie wojny toczyły się tam

WYPOSAŻENIE KOŁOBRZESKICH SAPERÓW JEST NIEZWYKLE RÓŻNORODNE

Służący w jednostce żołnierze korzystają ze sprzętu inżynieryjnego: koparek samochodowych, spycharek samobieżnych i spycharko-ładowarek. Do dyspozycji mają też urządzenia przeprawowe. Parki pontonowe morskie PPM-71 składają się z bloków pontonowych i brzegowych. Można je ze sobą spinać, tworząc tymczasowy most albo pływającą wstęgę, którą w ruch wprawiają podłączone do



niej małe kutry. To właśnie na takim pomoście są przerzucane na pokład okrętów transportowo-minowych ciężarówki, czasem czołgi czy wojskowe transportery. Batalion ma też PTS-M-y, czyli pływające transportery samobieżne. Pojazdy zaprojektowane zostały w ZSRR, a ich produkcja ruszyła w 1965 roku. PTS-M jest obsługiwany przez dwie osoby, które siedzą w szoferce z przodu transportera. Za ich plecami została umieszczona platforma zdolna pomieścić kilkudziesięciu żołnierzy lub 10 t ładunku. W batalionie jest też sprzęt, z którego korzysta

patrol rozminowania. To pojazdy saperские (np. przystosowane do przewozu niebezpiecznych ładunków), **nowoczesny kombinezon ochronny EOD-9**, kombinezony SRF-5 i zestawy radiowe do sterowania wybuchami Eukaliptus. Z kolei kompania chemiczna korzysta ze sprzętu, który pozwala na rozwinięcie w portach i punktach bazowania OPLS, czyli okrętowego punktu likwidacji skażeń. To m.in. instalacje rozlewcze IRS-2 zamontowane na ciężarówkach Star 266, a także zespół urządzeń do rozpoznawania skażeń na samochodach opancerzonych BRDM-2RS. ■

ciężkie walki. Saperzy więc odbierają wezwania średnio co drugi dzień. Niewybuchy, niewypały, starą amunicję znajdują grzybiarze, zbieracze złomu, robotnicy na budowach, pracownicy firm modernizujących różnego rodzaju infrastrukturę. Tak było chociażby w 2013 roku w trakcie pogłębiania toru wodnego ze Świnoujścia do Szczecina. Robotnicy natrafili tam na bomby głębinowe, które na brzeg wyciągali potem nurkowie minery. Stamtąd saperzy odwozili je na poligon w Drawsku i detonowali. „Każda z bomb miała 105 kg materiału wybuchowego”, wspomina chor. Koronka. „Plus był taki, że na miejsce można było podjechać saperskim wozem przystosowanym do transportu niebezpiecznych materiałów. A nie jest to, niestety, regułą. Kiedyś dostaliśmy zgłoszenie spod Ostrowic. Ktoś znalazł tam 300-milimetrowy pocisk. Problem w tym, że leżał on na bagnach. Do wozu trzeba było go przenosić w rękach. Był tak ciężki, że momentami kolana wyginały się w drugą stronę. Ale przenieśliśmy”, wspomina saper.

Rozminowywaniem zajmuje się jednak nie tylko patrol saperski. Czasem to praca wykraczająca poza dobrane interwencje, zaplanowana na szeroką skalę. „Blisko 70 lat po tym, jak nasz batalion rozminowywał kołobrzeską plażę, wróciliśmy w tamten rejon”, wspomina kpt. Drzewiecki. W 2011 roku Urząd Morski w Słupsku zlecił rewitalizację Wybrzeża, a robotnicy firmy zaangażowanej w to przedsięwzięcie zaczęli natrafiać na starą amunicję. „Tak się czasem zdarza. Mamy sztormy, pływy, morze i ziemia cały czas pracują”, tłumaczy kapitan. „Mieliliśmy oczyścić 5,5 km plaży. Zajmowaliśmy się tym na przełomie maja i czerwca. Znaleźliśmy dwa

granaty moździerzowe, pocisk artyleryjski i sporo mniejszej amunicji. Przez lata chodzili po tym niczego nieświadomi letnicy i spacerowicze”. „To świetna praca”, mówi z przekonaniem chor. Koronka. „A strach? Tylko głupiec go nie czuje”.

W UPALE I MROZIE

Tymczasem operatorzy BWP-ów wracają z pokładu ORP „Gniewno” na ląd. Dziś z ładunku niewiele wyjdzie. Fala jest za wysoka. PTS-M sobie z nią poradzi. Dla mniejszych i niższych wozów wojsk lądowych pływanie w takich warunkach byłoby zbyt ryzykowne. Okręt podnosi rampę i odpływa, by przeczekać noc na kotwiczniku nieopodal usteckiego portu. Następnego dnia operacja zostaje powtórzona. Tym razem z powodzeniem – fala jest nieco niższa, a okręt staje bliżej plaży.

Saperzy z Dziwnowa zakończyli kolejny test, który jednak stanowi zaledwie przygrzywkę do sprawdzianu dużo poważniejszego – odbywających się w pierwszej połowie października największych w tym roku ćwiczeń sił 8 Flotylli Obrony Wybrzeża pod kryptonimem „Wargacz” (więcej na ten temat na s. 42–45). „Nasi żołnierze uczestniczą we wszystkich największych manewrach z udziałem naszej marynarki. Niektórzy z nich mają za sobą misje w Afganistanie i Czadzie, gdzie zabezpieczali pod względem logistycznym bazy polskiego kontyngentu. Byliśmy nawet na Antarktydzie. W latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku nasi żołnierze popłynęli tam na pokładach dwóch cywilnych statków, aby budować stację badawczą Polskiej Akademii Nauk”, wylicza kmdr por. Chrzanowski i dodaje: „Jednostek inżynieryjnych w polskiej armii jest sporo. Nasza na pewno jest jedną z najbardziej wszechstronnych”. ■

Dobre lata dla żołnierzy

Bronią spraw żołnierzy i reprezentują ich także poza wojskiem. Kończy się siódma kadencja organów przedstawicielskich żołnierzy zawodowych.

W listopadzie zaplanowano wybór dziekanów wojsk lądowych, marynarki wojennej, sił powietrznych, wojsk specjalnych oraz Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych. Wcześniej, bo do 15 października 2016 roku, na szczeblach jednostek wojskowych, m.in. dywizji, brygad, eskadr i flotyll, zostało wybranych 2 tys. mężów zaufania i ich zastępców. Ostatnie wybory na trzy najważniejsze stanowiska zostaną przeprowadzone do 5 grudnia. Poznamy wtedy przewodniczących: Konwentu Dziekanów Korpusu Oficerów Zawodowych, Kolegium Dziekanów Korpusu Podoficerów Zawodowych i Kolegium Dziekanów Korpusu Szeregowych Zawodowych. Kadencja nowo wybranych reprezentantów potrwa trzy lata.

WIĘCEJ W PORTFELU

A jaka była mijająca, siódma już kadencja organów przedstawicielskich? Zdaniem reprezentantów, ale też samych żołnierzy, całkiem niezła. W ciągu trzech lat udało się przeprowadzić wiele dobrych zmian dotyczących służby wojskowej.

Z punktu widzenia żołnierzy najważniejsze były te, które dotyczyły ich portfeli. W ostatnim roku dwukrotnie udało się zwiększyć wskaźnik wielokrotności kwoty bazowej, od którego jest naliczane średnie wynagrodzenie żołnierzy zawodowych. Najpierw wzrósł on z poziomu 2,82 do 2,95, a niedawno, rozporządzeniem prezydenta, do 3,2.

W praktyce oznacza to, że już od stycznia 2017 roku wojskowi otrzymają podwyżkę – średnio o 380 zł każdy.

Korzystnym rozwiązaniem finansowym było też włączenie do wynagrodzenia zasadniczego 300-złotowego dodatku stażowego. Choć do żołnierzy trafiło tyle samo pieniędzy co wcześniej, to połączenie dwóch świadczeń sprawiło, że wzrosła najniższa pensja wojskowa. Finalnie wyższe były też gratyfikacje urlopowe, zasiłki przesiedleniowe, zapomogi czy nagrody – uzależnione właśnie od najniższego uposażenia.

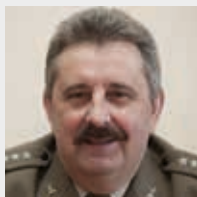
Obecnie w resorcie obrony narodowej jest też procedowane rozporządzenie o dodatkach dla niektórych żołnierzy. Zmiany mają objąć osoby pełniące służbę w wojskowych oddziałach gospodarczych i zajmujące się przetargami, a także tych, którzy służą w dowództwach i sztabach wojsk specjalnych oraz kryptologów. Dokument ureguluje także sytuację żołnierzy, którzy, pełniąc służbę w ramach tego samego stopnia wojskowego, zostali przeniesieni na niższe stanowisko i finansowo na tym stracili. Dzięki zapisom zaproponowanym w tym rozporządzeniu te straty zostaną im wyrównane.

SPRAWY KADROWE

Korzystne rozwiązania nie ominęły spraw kadrowych. Jedną z ważniejszych zmian w tej dziedzinie było zniesienie ograniczeń w pełnieniu służby kontraktowej. Wbrew pozorom przyjęte uregulowania wyszły naprzeciw nie tylko szeregowym zawodowym. Zyskali też oficerowie i podoficerowie pełniący ten rodzaj służby.

Nie mniej ważną kwestią dotyczącą polityki kadrowej było zniesienie limitów awanso-

KOMENTARZ



MARIAN
BABUŚKA

Organy przedstawicielskie tak naprawdę są jedynym reprezentantem wojska zarówno w resorcie, jak i poza nim. W tej kadencji po raz pierwszy, razem z dwoma przewodniczącymi kolegów mężów zaufania – Korpusu Podoficerów Zawodowych i Korpusu Szeregowych Zawodowych – utworzyliśmy prezydium organów przedstawicielskich. Współpracujemy z innymi resortami mundurowymi, bierzemy udział w pracach zespołów przygotowujących projekty aktów prawnych dotyczących pragmatyki służby czy działalności jednostek wojskowych. Oprócz projektów aktów prawnych odnoszących się do spraw społecznych, opiniujemy także te związane z codzienną służbą w jednostce wojskowej, np. ustawę, w której są regulowane kwestie dyscypliny. Mamy też możliwość reprezentowania żołnierzy w Sejmie i Senacie. Korzystamy z niej, a przykładem niech będzie wystąpienie z lipca 2016 roku w sprawie zwolnień lekarskich. ■

Plk MARIAN BABUŚKA jest przewodniczącym
Konwentu Dziekanów Korpusu Oficerów Zawodowych.

wych. W ciągu ostatnich kilku miesięcy minister Antoni Macierewicz dwukrotnie wydał decyzje o całkowitym ich zlikwidowaniu. Mianowanie na wyższy stopień wojskowy, w ramach dotychczasowego stanowiska, otrzymali ci żołnierze, którzy spełniali warunki ustawowe. Wymagane były piątka z opiniowania i odpowiedni czas służby w posiadanym stopniu wojskowym. Dzięki tej decyzji w dniu Święta Wojska Polskiego awansowych zostało prawie 19 tys. żołnierzy. Na 11 listopada są planowane kolejne mianowania. Według szacunków MON-u wyższy stopień może otrzymać 4,4 tys. żołnierzy.

KWATERUNEK

Również nowelizacja ustawy o zakwaterowaniu sił zbrojnych wprowadziła korzystne rozwiązania. Zmiany dotyczyły sposobu naliczania odpraw mieszkaniowych dla tych, którzy żegnają się z armią, a nie wykupili np. wojskowego mieszkania. Wcześniej wysokość odprawy była naliczana w dniu zakończenia służby. Jeśli jednak dziecko żołnierza ukończyło już 25 lat, to w odprawie nie była uwzględniana kwota, jaką mógłby na nie dostać. Z tego powodu niektórzy wojskowi tracili nawet kilkadziesiąt tysięcy złotych. Nowelizacja ustawy umożliwiła żołnierzom wybór dnia, od którego zostanie im naliczona ta należność.

Na korzyść zmieniono też przepisy dotyczące tych, którzy mieszkają w internatach. Obecnie bliscy żołnierza mogą skorzystać z takiego zakwaterowania

przez siedem dni w miesiącu. Małoletnim dzieciom żołnierza, który samotnie je wychowuje, a nie ma przydzielonego mieszkania, także przysługuje miejsce w internacie.

KOLEJNE WYZWANIA

Choć wiele pozytywnych rozwiązań udało się wprowadzić w życie w mijającej kadencji, to spraw do załatwienia wciąż nie brakuje. Kwestią do rozwiązania pozostają dodatki za pełnienie służb dyżurnych i wykonywanie dodatkowych czynności na służbie.

W swojej pracy nowo wybrani reprezentanci żołnierzy pochylą się też zapewne nad zmianami w ustawie o zakwaterowaniu i urealnieniu stawek świadczenia mieszkaniowego, które od 2010 roku w ogóle nie były zmieniane.

Kwestią kolejnych miesięcy będą być może prace nad zmianami w ustawie dotyczącej L-4. Chociaż zajmując się nią Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji, to razem ze służbami mundurowymi organy przedstawicielskie chcą doprowadzić do zmiany przepisów tak, aby 90 dni zwolnienia lekarskiego w ciągu roku nie skutkowało potrąceniem 20% uposażenia.

Nowi reprezentanci żołnierzy będą musieli też zadbać o sprawy weteranów. Ustawa dotycząca tej grupy – jak pokazuje praktyka – wciąż bowiem wymaga udoskonalenia, zwłaszcza przepisów odnoszących się do żołnierzy poszkodowanych na misjach pokojowych i stabilizacyjnych. PG/PZ ■

/ NA WOKANDZIE

Kontrakt na pełnienie służby – decyzja obligatoryjna czy uznaniowa?

Dowódca nie poparł wniosku żołnierza zawodowego o zawarcie kolejnego kontraktu. Wojskowy uważał, że decyzja przełożonego jest uznaniowa.

Sprawa dotyczyła żołnierza służby kontraktowej, który w ustawowo określonym terminie wystąpił z wnioskiem o zawarcie kolejnego kontraktu na pełnienie służby. W ostatniej opinii służbowej uzyskał pozytywną ocenę bezpośredniego przełożonego. Mimo to dowódca pododdziału i dowódca kompanii nie poparli wniosku żołnierza i w konsekwencji dowódca jednostki wojskowej nie wyraził zgody na zawarcie kontraktu.

Przełożony opiniujący wniosek żołnierza uznał, że nie widzi dostatecznego zaangażowania w szkolenie drużyny, co ma ogromny wpływ na pozostałych jej żołnierzach. Ponadto podał, że wnioskodawca nie wyróżnia się na tle drużyny.

Żołnierz nie zgodził się z taką oceną. Argumentował, że faktycznie w ostatnim czasie nie wykonywał swoich obowiązków na zajmowanym stanowisku, ponieważ z powodu wypadku, uznanego za pozostający w związku ze służbą wojskową, był czasowo niezdolny do jej pełnienia. Powyższa decyzja dowódcy jednostki wojskowej stała się przedmiotem kontroli sądowej. Jest ona w znacznym stopniu ograniczona, ponieważ wydawany w tym przedmiocie rozkaz personalny ma charakter uznaniowy.

Wojewódzki Sąd Administracyjny w Krakowie zgodził się z dowódcą jednostki wojskowej w powyższym zakresie, jednak zauważył, że uznaniowość nie oznacza dowolności w orzekaniu, albowiem granice uznaniowości wyznaczają przepisy „Kodeksu postępowania administracyjnego”. Organ powinien podejmować wszelkie kroki niezbędne do dokładnego wyjaśnienia stanu faktycznego oraz załatwienia sprawy. Obowiązany jest również w sposób wyczerpujący zebrać i rozpatrzyć cały materiał dowodowy, ocenić go

zgodnie z kryteriami, a swoje rozstrzygnięcie uzasadnić stosownie do określonych przepisami wymogów.

Wyrok ten zaskarżył skargą kasacyjną dowódca jednostki wojskowej, powielając w zasadzie argumentację, którą prezentował podczas sporu na etapie postępowania sądowego, toczącego się przed Wojewódzkim Sądem Administracyjnym w Krakowie. Zdaniem dowódcy jednostki wojskowej w K., interes prywatny żołnierza jest mniejszy od interesu społecznego. Nadrzędną potrzebą sił zbrojnych jest to, aby żołnierze zawodowi w trakcie trwania kontraktu byli w pełni dyspozycyjni i sprawni. Tym bardziej gdy weźmie się pod uwagę szczególnie charakter jednostki wojskowej, w której pełnił służbę skarżący.

Naczelny Sąd Administracyjny w Warszawie, oddalając skargę kasacyjną, uznał, że działanie organu korzystającego z możliwości podjęcia decyzji w ramach uznania administracyjnego musi mieścić się w granicach zakreślonych w art. 7 k.p.a. (dążeniem do wyjaśnienia prawdy obiektywnej i obowiązkiem załatwienia sprawy z uwzględnieniem interesu społecznego i słusznego interesu strony). NSA zauważył ponadto, że w aktach personalnych żołnierza znajduje się wiele dokumentów, które potwierdzają jego zaangażowanie w służbę, brak jest natomiast jakichkolwiek przemawiających za oddaleniem wniosku o zawarcie kolejnego kontraktu. Powyższy brak uniemożliwiał sprawdzenie, na podstawie jakich dokumentów można by potwierdzić, że żołnierz nie był zaangażowany w służbę oraz że jego postawa kształtuje się na poziomie miernym. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Źródło: <http://orzeczenia.nsa.gov.pl/cbo/query>



Wyrok NSA w Warszawie z 1 września 2016 roku, sygn. akt. I OSK 632/15 – prawomocny.

/ WETERANI PYTAJĄ

URLOP DLA WETERANA

Jestem żołnierzem w służbie kontraktowej. Przysługuje mi 26 dni podstawowego urlopu wypoczynkowego. Od swoich przełożonych dowiedziałem się, że jako weteranowi nie należy mi się dodatkowy urlop, gdyż mogę dostać urlop nagrodowy i będę wtedy miał 26 dni urlopu podstawowego plus np. trzy dni nagrodowego, razem 29 dni, a gdy urlop przekracza 26 dni, dodatkowy urlop nie przysługuje. Czy tak to wygląda?

➔ **Dodatkowy urlop dla weterana w trakcie pełnienia służby nie przysługuje.** Kwestię przyznawania urlopu reguluje art. 35 ust. 1 ustawy o weteranach działań poza granicami państwa, który stanowi, że weteranowi oraz weteranowi poszkodowanemu pozostającemu w stosunku pracy przysługuje dodatkowy urlop wypoczynkowy w wymiarze pięciu dni w roku kalendarzowym. Dodatkowo w ust. 2 powyższego przepisu mowa o tym, że urlop dodatkowy, o którym mowa w ust. 1, nie należy się, jeżeli weteran lub weteran poszkodowany ma prawo do urlopu wypoczynkowego w wymiarze przekraczającym 26 dni w roku kalendarzowym.

Urlop taki przysługuje więc żołnierzowi zawodowemu, który został zwolniony z zawodowej służby wojskowej, a następnie podjął zatrudnienie w cywilu. Prawo do pierwszego dodatkowego urlopu, o którym mowa w ust. 1, powstaje z dniem, kiedy decyzja administracyjna o przyznaniu statusu weterana lub weterana poszkodowanego staje się ostateczna, przy czym realizacja tego prawa może nastąpić nie wcześniej niż z dniem przedstawienia jej pracodawcy. Opinię w sprawie łączenia urlopu wypoczynkowego z urlopem nagrodowym do wspólnego wykorzystania zaprezentował Departament Kadr Ministerstwa Obrony Narodowej w Warszawie. Została ona skonsultowana z Naczelną Prokuraturą Wojskową.

Zgodnie z art. 11 ust. 3 i 4 ustawy o dyscyplinie wojskowej (...) urlopu nagrodowego jed-

norazowo udziela się na czas od trzech do sześciu dni roboczych. Łącznie wymiar urlopów nagrodowych w ciągu roku kalendarzowego nie może przekroczyć 12 dni, przy czym w przypadku pełnienia czynnej służby wojskowej krócej niż rok, nie może on przekroczyć liczby dni równej liczbie rozpoczętych miesięcy tej służby. Zgodnie zaś z §12 ust. 1 rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie wyróżniania żołnierzy, byłych żołnierzy oraz pododdziałów, oddziałów i instytucji wojskowych żołnierzowi należy umożliwić wykorzystanie urlopu nagrodowego nie później niż w ciągu 60 dni od dnia udzielenia tego wyróżnienia. Trzeba nadmienić, że żołnierz nie może sobie sam ustalić terminu wykorzystania urlopu – decyzja ta należy do jego przełożonego, który ma odpowiednią wiedzę na temat podziału obowiązków i zadań oraz terminów ich realizacji przez podległych sobie żołnierzy. Trzeba również zaznaczyć, że ustawodawca nie przewidział możliwości wypłaty ekwiwalentu za niewykorzystany urlop nagrodowy, dlatego też ważne jest, aby przełożony monitorował upływ okresu, w którym urlop ten zostanie wykorzystany. W omawianej sytuacji jest zatem możliwe swoistego rodzaju połączenie urlopu nagrodowego z wypoczynkowym, polegające na tym, że przełożony podaje punkt do rozkazu dziennego o wykorzystaniu w danym okresie urlopu nagrodowego, a po nim kieruje żołnierza na urlop wypoczynkowy. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa o weteranach działań poza granicami państwa z 19 sierpnia 2011 roku (DzU 205 poz. 1203) – art. 35 ust. 1–3. Ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 95 ust. 1 pkt 1, art. 61 ust. 1. Ustawa o dyscyplinie wojskowej z 9 października 2009 roku (DzU nr 190 poz. 1474), tekst jednolity z 13 maja 2016 roku (DzU 2016 poz. 772) – art. 11 ust. 3 i 4. Rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie wyróżniania żołnierzy, byłych żołnierzy oraz pododdziałów, oddziałów i instytucji wojskowych z 23 czerwca 2010 roku (DzU nr 124 poz. 841) – §12 ust. 1.

Drodzy Czytelnicy, jeśli macie pytania dotyczące przepisów prawnych dla weteranów, przysyłajcie je na adres: niezbednik@zbrojni.pl

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

PIENIĄDZE ZA URLOP

Byłem na misji w Kosowie. W 2015 roku uległem wypadkowi podczas wykonywania zadań mandatowych. Obecnie jestem na zwolnieniu lekarskim, mam uszkodzone nerwy prawej ręki (będę niezdolny do służby wojskowej z powodu wypadku pozostającego w związku ze służbą wojskową poza granicami kraju). Czy dowódca jednostki wojskowej ma obowiązek wypłacenia mi pieniędzy za zaległy urlop (mowa tu o dwóch urlopach wypoczynkowych – za 2015 i 2016 rok). Mam również 20 dni urlopu nagrodowego za 2015 i 2016 rok oraz 16 dni urlopu aklimatyzacyjnego, których, ze względu na zwolnienie, nie mogłem wykorzystać. Czy za te urlopy należą mi się pieniądze?

→ **Za zaległe, niewykorzystane urlopy wypoczynkowe żołnierzowi przysługuje ekwiwalent pieniężny.** Kwestię wypłaty ekwiwalentu pieniężnego za niewykorzystany urlop wypoczynkowy reguluje art. 95 pkt 2 ustawy, który stanowi, że żołnierzowi zwolnionemu z zawodowej służby wojskowej przysługuje ekwiwalent pieniężny za urlop wypoczynkowy, w tym również za dodatkowy urlop wypoczynkowy niewykorzystany w roku zwolnienia

ze służby oraz za lata poprzednie. Wysokość ekwiwalentu wynosi za jeden dzień niewykorzystanego urlopu wypoczynkowego lub dodatkowego urlopu wypoczynkowego 1/22 części miesięcznego uposażenia zasadniczego wraz z dodatkami o charakterze stałym, należnego w ostatnim dniu pełnienia zawodowej służby wojskowej. Wypłaca się go przy zwolnieniu z zawodowej służby wojskowej wraz z innymi należnościami finansowymi z tytułu zwolnienia ze służby.

Jednocześnie ustawodawca nie uregulował kwestii wypłaty ewentualnego ekwiwalentu pieniężnego za niewykorzystany urlop nagrodowy czy też urlop aklimatyzacyjny. Tym samym taka należność nie będzie przysługiwać. Istotne jest również, że zgodnie z § 4 ust. 1 ustawy żołnierzowi zawodowemu nie udziela się urlopu wypoczynkowego lub dodatkowego urlopu wypoczynkowego w okresie zwolnienia go od zajęć służbowych wskutek choroby, konieczności sprawowania osobistej opieki nad najbliższym członkiem rodziny albo w okresie przebywania na innym urlopie (o których mowa w art. 62 ust. 1–3, ust. 7a, 8, 9 i 9a oraz art. 65 i 65a ustawy).

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 95 pkt 2; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie urlopów żołnierzy zawodowych z 27 sierpnia 2014 roku (DzU 2014 poz. 1503) – § 4 ust. 1.

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

PRACA DODATKOWA

Czy prawdą jest, że nie jest już wymagana zgoda dowódcy jednostki na podjęcie dodatkowej pracy przez żołnierza i że wystarczy jedynie sama informacja o dodatkowym zarobku?

→ **Nie. Zgodnie z art. 56 ust. 1 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych żołnierzowi zawodowemu nie wolno podejmować pracy zarobkowej i prowadzić działalności gospodarczej.** Za pracę zarobkową uważa się pracę świadczoną osobiście w ramach stosunku pracy lub na podstawie innego tytułu, jeżeli praca jest wykonywana przez okres dłuższy niż miesiąc. Żołnierz zawodowy może wystąpić do dowódcy jednostki wojskowej, w której zajmuje stanowisko służbowe, z wnioskiem o zezwolenie na wykonywanie pracy zarobkowej lub prowadzenie działalno-

ści gospodarczej. Zgoda taka może zostać udzielona jedynie wówczas, gdy praca nie koliduje z wykonywaniem zadań służbowych przez żołnierza, wpływa na podniesienie jego kwalifikacji i nie narusza prestiżu żołnierza zawodowego, a prowadzona działalność gospodarcza lub działalność podmiotu, u którego będzie świadczona praca, nie dotyczy wyrobów, o których mowa w przepisach w sprawie klasyfikacji wyrobów obronnych oraz dostaw, robót budowlanych i usług wykonywanych na zamówienie jednostek wojskowych. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawa prawna: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90 poz. 593 z późn. zm.) – art. 56 ust. 1–5; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie wykonywania pracy zarobkowej lub prowadzenia działalności gospodarczej przez żołnierzy zawodowych z 7 października 2009 roku (DzU nr 176 poz. 1366) – § 2 ust. 1.

CZY MOGĘ NOSIĆ ODZNAKĘ?

Jestem żołnierzem zawodowym. W maju 2014 roku otrzymałem brązową odznakę „Zasłużony Honorowy Dawca Krwi” (wtedy jeszcze nie byłem żołnierzem zawodowym). Czy mam prawo do noszenia odznaki na mundurze galowym, wyjściowym? Jeśli tak, to proszę o sprecyzowanie, w którym miejscu ją umieścić.

→ **Żołnierz zawodowy ma prawo do noszenia na mundurze odznaki „Zasłużony Honorowy Dawca Krwi”.** Kwestię tę reguluje rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie noszenia orderów, odznaczeń i odznak przez żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką z 4 sierpnia 2015 roku. W § 6 ust. 1 rozporządzenia jest

mowa o tym, że odznaki absolwenckie, honorowe, pamiątkowe, jubileuszowe, okolicznościowe, organizacyjne (równorzędne) nosi się na kurtce munduru galowego, wyjściowego oraz bluzie wyjściowej marynarskiej, a także można je nosić na kurtce munduru służbowego. Ponadto w § 7 rozporządzenia mowa jest o tym, że żołnierze nieposiadający ubioru galowego mogą nosić odznaki orderów i odznaczeń na ubiorze wyjściowym i na ubiorze polowym lub ćwiczebnym. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Podstawy prawne: rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie noszenia orderów, odznaczeń i odznak przez żołnierzy zawodowych i żołnierzy pełniących służbę kandydacką z 4 sierpnia 2015 roku (DzU 2015 poz. 1399) – § 6 ust. 1, § 7.

ZGODNY Z PRZEPISAMI?

Jestem pracownikiem jednego z WOG-ów. Od momentu przejścia na pracę w godzinach, w których pracują żołnierze (poniedziałek – czwartek 7.00–15.30, piątek do 13.00), nasza kadrowa liczy nam urlop na godziny, a nie dni. Gdy chcemy wziąć urlop od poniedziałku do czwartku, to z naszych 26 dni urlopu odlicza osiem i pół godziny za każdy dzień, w przypadku urlopu w piątek, odlicza sześć godzin, a nie cały dzień. Czy jest to zgodne z przepisami? Drugie pytanie również jest związane z urlopem. Kiedy chcę wziąć dzień urlopu i powiadomiam o tym kadrową z kilkudniowym wyprzedzeniem, to uznaje ona, że to jest dzień urlopu na żądanie, a nie zwykłego. Tłumaczy to tym, że nie możemy wykorzystać normalnego dnia urlopu przed pójściem na urlop planowany. Czy postępuje zgodnie z prawem?

→ **Zagadnienia związane z urlopem pracowników wojska zostały uregulowane w ustawie z 26 czerwca 1974 roku „Kodeks pracy”**. Odnosząc się do pierwszego pytania, należy wskazać, że zgodnie z art. 154² §1 ww. ustawy urlop udziela się w dni pracy pracownika w wymiarze godzinowym, odpowiadającym dobowemu wymiarowi czasu pracy pracownika w danym dniu. Przy udzielaniu urlopu w wymiarze godzinowym obowiązuje zasada, że jeden dzień urlopu odpowiada osiemu godzinom pracy. Przysługujący zatem wymiar urlopu jest wyrażony w godzinach, a pracownik ma prawo albo do 160 godzin (20 dni po osiem godzin), albo do 208 godzin urlopu wypoczynkowego (26 dni po osiem godzin). Wobec tego, skoro urlop ma wymiar godzinowy, to jego pula powinna być uszczuplona o taką liczbę godzin, jaką pracownik miałby przepracować w danym dniu lub w dni, w które urlop został mu udzielony. W przypadku stosowania dłuższych niż ośmiogodzinna dobowych norm czasu pracy, dzień wolny od pracy ze względu na korzystanie z urlopu nie zawsze będzie równy osiemu godzinom. W opisa-

nym stanie faktycznym jeden dzień wolny od pracy w ramach urlopu będzie równać się osiemu i pół godzinom pracy, więc z puli urlopowej pracownika powinno zostać odpisane osiem i pół godziny. W konsekwencji, takie same zasady będą miały zastosowanie, gdy pracownik w danym dniu pracuje mniej niż osiem godzin. Za dzień urlopu, w którym pracownik normalnie powinien przepracować sześć godzin, z puli urlopowej należy odliczyć sześć godzin urlopu.

Nawiązując do drugiej kwestii, trzeba zaznaczyć, że urlopy powinny być udzielane zgodnie z planem urlopów. Z obowiązku sporządzenia planu są zwolnieni ci pracodawcy, u których nie działają związki zawodowe lub u których związki zgodziły się, aby go nie było. W takim przypadku o terminie urlopu decyduje pracodawca w porozumieniu z pracownikiem. Podkreślenia wymaga fakt, że plan urlopów nie obejmuje części urlopu udzielanego pracownikowi na żądanie, czyli nie więcej niż czterech dni urlopu w każdym roku kalendarzowym. Pracownik decyduje o terminie wykorzystania urlopu na żądanie, zgłaszając żądanie jego udzielenia najpóźniej w dniu rozpoczęcia urlopu. Nie ma przeszkód, aby pracownik uczynił to również z odpowiednim wyprzedzeniem, jeżeli chce wcześniej poinformować pracodawcę o zamiarze skorzystania z urlopu. O tym, w jakim trybie jest udzielany urlop, decyduje sam pracownik, który powinien wskazać, czy zamierza skorzystać z urlopu na żądanie, czy też z urlopu udzielanego w zwykłym trybie. Gdy pracownik wskaże, że wnioskuję o urlop na żądanie, pracodawca powinien co do zasady go udzielić. Jednocześnie należy zauważyć, że w przypadku gdy pracownik wnioskuję o urlop w trybie zwykłym, który nie jest objęty planem urlopów, pracodawca nie musi wyrażać zgody na jego udzielenie.

Podstawa prawna:
ustawa z 26 czerwca 1974 roku „Kodeks pracy” (DzU 2014 poz. 1502 z późn. zm.) – art. 154² § 1, art. 163 § 1 i § 1¹, art. 167².

ANETA KLIMOWICZ

Kancelaria Radców Prawnych SC
K. Przymęcka & J.P. Przymięcki

/ POMOCNICY ESKULAPA

CHODZĄCY BANK KRWI



Ze st. sierż. rez. Krzysztofem Plutą „Wirem”,

ratownikiem medycznym, byłym żołnierzem Jednostki Wojskowej Komandosów, o przetaczaniu krwi na polu walki rozmawia Magdalena Kowalska-Sendek.

Siedmiokrotnie wyjeżdżałeś na misje. Byłeś w Macedonii i Iraku oraz w Afganistanie. Wziąłeś udział w kilkudziesięciu operacjach najwyższego ryzyka, latałeś z Amerykanami na pokładzie śmigłowca ratunkowego. Po tych przeżyciach powiedz, jakie znaczenie mają szybkie transfuzje krwi na polu walki.

Czasami szybkie przetoczenie krwi jest jedynym sposobem, by żołnierzowi uratować życie.

W jakich przypadkach medycznych można przeprowadzić transfuzję krwi?

Przyjęte jest, że wskazaniem do jej rozpoczęcia jest utrata od 30 do 40% krwi u poszkodowanego. Przetoczenia wykonuje się u pacjentów we wstrząsie hipowolemicznym. Oznacza to, że są nieprzytomni i nie mają zachowanego pulsu w tętnicach obwodowych. Przyczyny takiego stanu zdrowia mogą być różne. W warunkach wojennych może to dotknąć żołnierzy, którzy ucierpieli, np. wskutek wybuchu miny, mają rany odłamkowe lub zostali postrzeleni.

Czy przeprowadzałeś kiedyś transfuzję krwi?

Polskie prawo zabrania ratownikom przetaczania krwi. Transfuzję może wykonać tylko lekarz lub pielęgniarka na polecenie lekarza i tylko w jego obecności. Te reguły obowiązują nas zarówno w cywilu, jak i w czasie służby na misjach. Co ciekawe, odmienne przepisy w tej sprawie mają medycy z państw zachodnich, np. ze Stanów Zjednoczonych. Tam dobrze wyszkolony medyk może samodzielnie przeprowadzić taką procedurę.

Czy w MEDEVAC-u Amerykanie również wykonują transfuzje?

Ostatni raz w Afganistanie byłem cztery lata temu i wówczas na pokładzie śmigłowca nie mieliśmy ani odpowiedniego sprzętu, ani krwi. Nie było więc mowy o przetoczeniach. Z czasem jednak uprawnienia ratowników w MEDEVAC-u zwiększono i dziś już jest standardem, że można taki zabieg przeprowadzić nawet w powietrzu.

Czy do przetoczenia krwi potrzebne jest jakieś specjalne wyposażenie?

Przede wszystkim trzeba mieć przebadaną wcześniej i przechowywaną w odpowiednich warunkach krew. Potrzebny jest także zestaw do transfuzji, a jego głównym elementem jest filtr, który blokuje przedostawanie się skrzepów. Niezbędna jest też druga linia do podawania pacjentowi soli fizjologicznej.

Innym rodzajem przetoczenia jest niemal bezpośrednie pobieranie krwi u dawcy i przekazywanie jej potrzebującemu. Czy byłeś kiedyś świadkiem takiej bezpośredniej transfuzji?

Nie, choć wiem, że tego rodzaju przetoczenia wykonują amerykańskie siły specjalne. Ale jednostkę krwi, czyli 450 ml, mogą oddać tylko wcześniej przebadani żołnierze. Takie zabiegi są przeprowadzane, gdy czas ewakuacji poszkodowanego przekracza dwie godziny. Należy pamiętać, że siły specjalne działają zwykle na terenie wroga, w izolacji od wojsk własnych. Trzeba się więc liczyć z tym, że ewakuacja medyczna może być czasochłonna.

Od IX zmiany PKW w Afganistanie działał system walking blood bank, czyli chodzących banków krwi. Na czym polegała ta inicjatywa?

Chodziło o oddawanie krwi do szpitala polowego w Ghazni. Żołnierze chętnie to robili, bo wiedzieli, że w ten sposób mogą pomóc potrzebującym. Czasami, gdy doszło do wypadku masowego, a w banku zabrakło krwi, to przez głośniki na terenie bazy ogłaszano komunikat: „Uwaga! Uwaga! Uwaga! Potrzebna krew dla polskiego żołnierza” i podawano grupę krwi rannego. Nie było sytuacji, by żołnierze odmówili pomocy.

Czy ten system sprawdziłby się w medycynie cywilnej?

To świetna inicjatywa, dlatego też warto skorzystać z tych doświadczeń. Zwłaszcza pod względem szybkości organizowania pomocy medycznej. ■

ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD





KRZYSZTOF WILEWSKI

CZEKAJĄC NA WISŁĘ

Wysłaliśmy do amerykańskiego rządu zapytanie ofertowe w sprawie zakupu baterii zestawów rakietowych Patriot. I choć to znaczący krok w programie „Wisła”, to wciąż przed nami długa droga do pojawienia się tej broni w Polsce.

RAYTHEON



Tarcza Polski to projekt odbudowy potencjału przeciwlotniczego i przeciwrakietowego naszego kraju, realizowany na podstawie „Planu modernizacji technicznej na lata 2012–2022”. „Parasol”, który ma chronić nasz kraj przed wrogim lotnictwem, a także nieprzyjacielskim ostrzałem rakietami manewrującymi i balistycznymi, będzie się składał z trzech zasadniczych podsystemów: bardzo krótkiego zasięgu Pilica (Very Short Range Air Defense – VSHORAD), będącego w stanie zwalczać cele oddalone o kilka kilometrów; krótkiego zasięgu Narew (Short Range Air Defense – SHORAD) do walki z obiektami oddalonymi maksymalnie o 25 km oraz średniego zasięgu Wisła (Medium Range Air Defence – MRAD), który ma zwalczać cele znajdujące się w odległości do 100 km.

WYCHODZENIE Z IMPASU

Polskie wojsko ostatni zakrojony na dużą skalę program modernizacji wojsk OPL wprowadziło na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Od tego czasu nie pojawiły się nowe rozwiązania. W efekcie uzbrojenie, którym dysponują trzy pułki przeciwlotnicze wojsk lądowych oraz jedna brygada rakietowa obrony powietrznej sił powietrznych, już niedługo zostanie wycofane ze służby. Tak będzie z zestawami raketowymi 9K33M2/M3 Osa, 2K12 Kub i S-125 Newa oraz jednym przeciwlotniczym zestawem raketowym S-200WE Wega. Nowy mają być wycofane ze służby w 2019 roku, kuby w 2022, a osy w 2026 roku. Wniosek? Za dziesięć lat możemy zostać bez broni przeciwlotniczej, jeśli nie liczyć przenośnych gromów o zasięgu kilku kilometrów. W ostatnich latach pojawiały się różne pomysły na naprawę tego stanu rze-

czy. Przyjęty w 2008 roku program modernizacji Sił Zbrojnych RP na lata 2009–2018 składał się z 14 programów operacyjnych: pięciu głównych oraz dziewięciu szczegółowych. I choć najważniejszym z nich była odbudowa systemu obrony powietrznej i przeciwlotniczej, to nie zakładała kupowania nowego sprzętu, lecz modernizację tego, który już jest – zaplanowano osy i kuby z nowymi pociskami, nowy i wagi przewidziano do głębokiej cyfryzacji, a ich rakiety miały zostać ulepszone siłami polskiego przemysłu obronnego. „Plan modernizacji technicznej na lata 2012–2022”, którego uzupełnieniem był nadrzędny dokument – wieloletni program „Priorytetowe zadania modernizacji technicznej Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej w ramach programów operacyjnych”, zakładający jednak już nie modernizację, lecz budowę systemu obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej od podstaw.

Postanowiono, że w pierwszej kolejności ruszy program „Wisła”. Nowy system z sieciocentrycznym systemem dowodzenia miał umożliwić niszczenie statków powietrznych oraz rakiet balistycznych i manewrujących oddalonych maksymalnie o około 100–120 km, nadlatujących z dowolnego kierunku (wymóg 360° działania radaru i wyrzutni).

Odpowiedzialny za zakupy nowego uzbrojenia i sprzętu wojskowego Inspektorat Uzbrojenia Ministerstwa Obrony Narodowej ogłosił w tej sprawie dialog techniczny w czerwcu 2013 roku. Akces do rozmów zgłosiło aż 14 podmiotów. Dwa z Hiszpanii: Indra i Sener Ingenieria y Sistemas, dwa z Francji: MBDA oraz Thales, po jednym z Turcji – Aselsan i Włoch – Selex ES, cztery ze Stanów Zjednoczonych: MEADS International, Northrop Grumman International Trading, Boeing Strategic Missile & Defense Systems (SM&DS) i Raytheon. Kilka izraelskich firm reprezentowała rządowa agencja Sibat. Z polskich spółek

NASZ KRAJ CHCE UZYSKIWAĆ NIE TYLKO TECHNOLOGIE DLA PRZEMYSŁU, LECZ TAKŻE ZDOLNOŚCI DLA POLSKIEJ ARMII

i instytucji do dialogu technicznego zgłosiły się: Wojskowe Zakłady Uzbrojenia z Grudziądza, Polski Holding Obrony i Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych.

Do kolejnej fazy dialogu technicznego, która ruszyła w styczniu 2014 roku, zaproszono już tylko te podmioty, które samodzielnie mogły zaoferować poszukiwane przez polski rząd rozwiązanie, czyli Thalesa, MEADS International, Raytheon oraz agencję Sibat i konsorcjum OPL/MBDA. W czasie dialogu omawiano sprawy związane z ewentualną polonizacją produkcji, kosztami użytkowania i serwisem. Poruszano też kwestie własności intelektualnej i przemysłowej poszczególnych elementów zestawów raketowych.

Po półtorarocznych spotkaniach z przemysłem zdecydowano się kupić zestawy w ramach tzw. G-to-G (Government to Government), czyli kontraktu międzyrządowego. Ostateczny wybór miał zostać dokonany między propozycją francuską – zestawami SAMP/T, oferowanymi przez konsorcjum EUROSAM, oraz amerykańską – zestawami Patriot firmy Raytheon. Po roku negocjacji z rządami Francji i USA, w kwietniu 2015 roku zdecydowano, że najlepszą propozycję w sprawie Wisły złożyli nasi sojusznicy zza oceanu i od nich kupimy używany przez 13 państw na świecie system przeciwlotniczy i przeciwraketowy Patriot. Planowano podpisać umowę do końca 2016 roku, tak by pierwsze dwie baterie pojawiły się w Polsce w 2019 roku.

RESTART NEGOCJACJI

Zgodnie z procedurą zakupu uzbrojenia od rządu Stanów Zjednoczonych, aby podpisać kontrakt na system Patriot, trzeba najpierw wystosować do amerykańskich władz tzw. wstępne zapytanie ofertowe (Letter of Request), zawierające szczegółowy wykaz sprzętu i uzbrojenia, którego potrzebuje nasza armia. Dalszy harmonogram negocjacji jest wtedy ściśle uzależniony od tego,

jak szybko Waszyngton odpowie na prośbę Polski. A przy procedurze FMS (Foreign Military Sales) może to trwać kilka albo kilkanaście miesięcy.

Do wyborów parlamentarnych jesienią 2015 roku polski rząd nie wystosował jednak zapytania w sprawie systemów Patriot. Nowy minister obrony narodowej Antoni Macierewicz potwierdził natomiast, że program ten pozostanie priorytetem rządu. „Obrona, która jest przewidziana w programie »Wisła«, jest istotnym zadaniem i musi zostać zrealizowana”, zadeklarował na posiedzeniu sejmowej Komisji Obrony Narodowej. Kilka tygodni temu, również w Sejmie, szef resortu obrony doprecyzował tę deklarację: „Po pierwsze, Polska musi jak najszybciej dysponować bronią obronną gwarantującą minimum bezpieczeństwa największym aglomeracjom i centrom przemysłowym kraju wobec systemów ataku pozostających w dyspozycji naszego potencjalnego przeciwnika. Po drugie, pozyskanie tego systemu musi przynieść jak największe korzyści gospodarcze, technologiczne i związane z unowocześnianiem armii Rzeczypospolitej Polskiej. I wreszcie po trzecie, kluczową sprawą są czas i cena, ponieważ ten system jest niesłychanie drogi”.

DWÓCH W GRZE

Ministerstwo Obrony Narodowej zdecydowało jednak o uwzględnieniu w rozmowach drugiego podmiotu ze Stanów Zjednoczonych, czyli konsorcjum MEADS, chociaż, jak podkreśla szef MON-u, wojsko ma świadomość słabych stron oferowanego przez nie systemu raketowego: „Ma on tę słabość, że jeszcze nigdzie nie został zweryfikowany w odróżnieniu od systemu produkowanego przez Raytheon, czyli systemu Patriot, który jest już w wyposażeniu armii 13 krajów świata”.

Strategia równoległych rozmów z Raytheonem i konsorcjum MEADS przyniosła dobre efekty. Dyrektor Biura do spraw Umów Offsetowych MON, emerytowany ➔

DANIEL ANDALUKIEWICZ/35 DYWIZJON RAKIETOWY OP

gen. bryg. Stanisław Butlak, który od zeszłego roku prowadzi z amerykańskimi firmami negocjacje offsetowe w sprawie programu „Wisła”, komentuje, że świadomość za oceanem, że Polska ma wybór między patriotami a MEADS sprawiła, iż przemysłowcy uelastyczniili swoje stanowiska.

Gen. bryg. Butlak wyjaśnia, że procedura offsetowa w sprawie systemu Wisła rozpoczęła się w lutym 2015 roku, kiedy to zobowiązania offsetowe i projekt umowy ich dotyczący zostały zaopiniowane przez komitet offsetowy i zatwierdzone przez ministra obrony narodowej. Oficjalne negocjacje z firmami Raytheon i MEADS na temat ich ewentualnych zobowiązań wynikających z otrzymania kontraktu na dostawę systemu Wisła ruszyły po decyzjach nowego szefostwa resortu w sprawie rozszerzenia listy oferentów na przełomie 2015 i 2016 roku. Pod koniec sierpnia 2016 roku komitet offsetowy pozytywnie zaopiniował ich efekt w postaci 69 wynegocjowanych zobowiązań. Zostały one podzielone na sześć obszarów: administracja i zarządzanie produkcją; rozwój oraz serwisowanie systemu; dowodzenie, kierowanie i sensory; łączność; wyrzutnie, moduły przeładowania oraz pojazdy; amunicja.

Jedną z priorytetowych technologii, które chcemy pozyskać w ramach tych obszarów, jest przemysłowa, czyli masowa produkcja półprzewodników i układów półprzewodnikowych na bazie azotku galu. „Stawiamy to sobie za punkt honoru, zresztą druga strona również wie o tym doskonale”, mówił bez ogródek o tym, jak ważne jest dla polskiego przemysłu pozyskanie tej technologii, gen. Butlak.

Równie istotną technologią dla polskiego przemysłu jest know-how produkcji tzw. niskokosztowych rakiet typu ziemia–powietrze, które mogłyby być orężem systemu krótkiego zasięgu o kryptonimie „Narew” (razem z droższymi, bardziej zaawansowanymi rakietami ziemia–powietrze).

Co bardzo istotne, nasz kraj chce pozyskiwać nie tylko technologie dla przemysłu, lecz także zdolności dla rodzimej armii. Tutaj priorytetem jest bliżej niesprecyzowane zwiększenie możliwości serwisowania w Polsce samolotów F-16 i C-130 Hercules.

Bartosz Kownacki, wiceminister obrony narodowej, podkreśla, że oprócz deklaracji firmy Raytheon i konsorcjum MEADS w sprawie realizacji zobowiązań offsetowych stronie polskiej udało się również wynegocjować z oboma podmiotami, że co najmniej 50% wydatków, które Rzeczpospolita poniesie w wyniku kontraktu na system Wisła, zostanie ułożonych przez wygraną firmę we wskazanych przez MON polskich przedsiębiorstwach przemysłowych.

Inspektorat Uzbrojenia MON 6 września 2016 roku wysłał do Biura Współpracy Obronnej w Warszawie zapytanie ofertowe, które zostało przekazane do agencji implementacyjnej, czyli do US Army Security Assistance Command (ASAC). To ta amerykańska agencja będzie w imieniu rządu USA odpowiedzialna za przygotowanie – na podstawie negocjacji ze wskazanymi wykonawcami umowy – propozycji oferty dla Polski (Letter of Acceptance).

BLISKO I DALEKO

Szef resortu obrony narodowej zwraca uwagę, że wystosowanie 6 września 2016 roku do rządu Stanów Zjednoczonych zapytania ofertowego to jedynie kolejny etap, po rozmowach offsetowych, negocjacji zakupu systemu obrony przeciwrakietowej i przeciwlotniczej Wisła. I chociaż skierowane do rządu USA Letter of Request dotyczy wyłącznie systemu Patriot, bo tylko ten może być kupiony w ramach procedury FMS, polski rząd chce dalej prowadzić rozmowy z konsorcjum MEADS. „Równocześnie z wysłaniem listu ofertowego do firmy Raytheon skierowaliśmy też zapytanie do Stanów Zjednoczonych z prośbą o przedstawienie nam całego pakietu informacji dotyczących możliwości produkcyjnych, warunków finansowych i innych, jakie oferuje firma MEADS”, wyjaśnia minister Macierewicz.

Szef resortu obrony przyznaje jednocześnie, że to systemy Patriot są najbliższe spełnienia naszych oczekiwań, zarówno jeśli chodzi o offset, jak i parametry techniczne broni. „Uważamy, że jeżeli zostaną spełnione warunki ustalone z firmą Raytheon, która zobowiązała się dostarczyć do 2018 roku dwie pierwsze baterie z najnowocześniejszym wyposażeniem, zarówno jeśli chodzi o antenę, jak i o system sieciocentryczny [zintegrowany system kierowania walką, czyli Integrated Battle Command System lub Integrated Air and Missile Defense Battle Command System – IBCS], a następnie pozostałe sześć baterii, będę rekomendował kontrakt pani premier, dlatego że będzie on nas satysfakcjonował, zaspokajał potrzeby wojska i spełni nasze oczekiwania, zarówno z punktu widzenia bezpieczeństwa, jak i rozwoju technologicznego, postępu gospodarczego i możliwości finansowych Rzeczypospolitej”, zadeklarował minister Macierewicz w Sejmie.

Kiedy może zostać podpisana wielomiliardowa umowa? Choć gen. bryg. Adam Duda, szef Inspektoratu Uzbrojenia MON, informował na posiedzeniu sejmowej Komisji Obrony Narodowej, że może to być połowa 2017 roku, to zarówno minister, jak i nadzorujący negocjacje offsetowe gen. Butlak stwierdzili, że może to nastąpić już za kilka miesięcy. ■

Zakończenie 4 października 2016 roku niepowodzeniem negocjacji offsetowych w sprawie umowy mającej być częścią zakupu 50 wielozadaniowych śmigłowców H225M Caracal spowodowało, że Ministerstwo Obrony Narodowej od kilku tygodni pracowało nad rozwiązaniami, które mogłyby przynieść szybki efekt w postaci pozyskania dla wojska nowych śmigłowców. Jest to sprawa pilna, o czym najlepiej świadczą liczby. Ze 150 maszyn rodziny Mi-2, Mi-8, Mi-17 i Mi-24, których używają rodzime wojska lądowe, jedynie kupione kilka lat temu na potrzeby misji w Afganistanie transportowe Mi-17 mogą posłużyć jeszcze jakiś czas. Reszta powinna zostać wycofana ze służby albo już, albo w ciągu najbliższych dwóch, trzech lat.

18 października 2016 roku Beata Perkowska, zastępca dyrektora Centrum Operacyjnego MON, ujawniła, jak resort obrony chce zareagować na tę kryzysową sytuację: „Minister obrony narodowej zaprosił trzy podmioty, które brały udział w poprzednim przetargu, tj. PZL Mielec, PZL Świdnik i firmę Airbus, do rozmów na temat zakupów śmigłowców w ramach pilnej potrzeby operacyjnej zgłoszonej przez Siły Zbrojne RP”. Antoni Macierewicz zapowiedział, że nowe maszyny trafią do polskich żołnierzy do 2018 roku.

Co to jest pilna potrzeba operacyjna? To procedura, którą nasza armia może zastosować, aby kupić uzbrojenie i sprzęt potrzebny żołnierzom ze względu na kryzysową albo wyjątkową sytuację. W ten sposób zakupy są dokonywane nie tylko z pominięciem przepisów prawa zamówień publicznych, lecz także z maksymalnym skróceniem sporej części zawiłych procedur wojskowych. Polska armia stosowała tę formę m.in. podczas nabywania na potrzeby misji w Afganistanie śmigłowców wielozadaniowych Mi-17 lub granatników automatycznych Mk-19. Tym

Jedynie kupione kilka lat temu na potrzeby misji w Afganistanie transportowe Mi-17 mogą posłużyć jeszcze jakiś czas.

rodzajów sił zbrojnych.

Przedstawiciele MON-u podkreślają, że choć jeszcze nie ustalono terminów negocjacji i rozmów, to priorytetem resortu będzie jak najszybsze pozyskanie śmigłowców. Program pozyskania maszyn wielozadaniowych jest realizowany od 2012 roku. Przetarg na zakup jednej platformy, na bazie której miały powstać wersje specjalistyczne, ogłoszono 29 marca tegoż roku. Na początku wojsko chciało nabyć 26 śmigłowców – 16 w wersji wielozadaniowo-transportowej dla wojsk lądowych; siedem dla marynarki wojennej, z czego cztery w wersji zwalczania okrętów podwodnych (ZOP), a trzy poszukiwawczo-

-ratownicze (SAR) oraz trzy dla sił powietrznych, także w wersji SAR. Potem zamówienie zwiększono do 70 sztuk, aby w 2015 roku ponownie je zredukować, tym razem do 50 maszyn – 16 wielozadaniowych i siedmiu CSAR dla lądówki, ośmiu poszukiwania i ratownictwa CSAR (Combat Search and Rescue) w wersji SOF dla specjalistów, pięciu CSAR MEDEVAC dla wojsk lądowych oraz sześciu CSAR i ośmiu w wersji zwalczania okrętów podwodnych dla marynarki. 21 kwietnia 2015 roku resort obrony poinformował, że po złożeniu ofert wstępnych do kolejnej fazy przetargu, czyli etapu testów, został zakwalifikowany jedynie oferowany przez francuski

koncern Airbus śmigłowiec H225M Caracal. Według resortu obrony Sikorsky zgłosił do postępowania śmigłowiec S-70i w wersji nieuzbrojonej, a PZL Świdnik, oferując konstrukcję AW149, nie był w stanie zagwarantować dostarczenia jej – w wybranych wersjach – w terminie.

Negocjacje offsetowe umowy z firmą Airbus ruszyły 30 września 2015 roku i prowadziło je Ministerstwo Rozwoju. 4 października 2016 roku resort ten poinformował o ich zakończeniu ze skutkiem negatywnym. ■

KRZYSZTOF WILEWSKI

Pilne zakupy

Jeszcze w tym roku Ministerstwo Obrony Narodowej chce kupić nowe śmigłowce wielozadaniowe w trybie pilnej potrzeby operacyjnej. Do rozmów na ten temat zaproszono PZL Świdnik, PZL Mielec oraz Airbusa.

BARTOSZ BERA

Choćby samolot był najlepszy, kiedyś musi przejść na zasłużoną emeryturę. Tak jest w przypadku odrzutowca Northrop T-38 Talon, pierwszej na świecie ponaddźwiękowej maszyny szkolno-treningowej, która wzbijała się w powietrze w 1959 roku. W latach 1961–1972 wyprodukowano niemal 1,2 tys. seryjnych T-38. Od tego czasu na tym samolocie wyszkolono ponad 72 tys. pilotów, zasiadających potem za sterami m.in. F-15 Eagle/Strike Eagle, F-16 Fighting Falcon, A-10 Thunderbolt, F-22 Raptor, F-35 Lightning II, a nawet bombowców B-52 Stratofortress, B-1 Lancer i B-2 Spirit. Dzięki modernizacjom w ostatnich latach przedłużono resursy T-38, co powoduje, że pozostaną one w służbie jeszcze przez kilka lat. Ich wycofanie jest jednak nieuchronne, jako że średnia wieku T-38 w amerykańskich siłach powietrznych wynosi ponad 45 lat! Co więcej, przepaść technologiczna pomiędzy T-38 a samolotami docelowymi jest już tak duża, że US Air Force są zmuszone korzystać podczas szkolenia z odrzutowców F-16.

DŁUGOLETNI POSZUKIWANIA

Pierwsze plany zastąpienia dwusilnikowych T-38 pojawiły się już w 2003 roku. Wówczas Amerykanie chcieli nabyć około 350 samolotów wraz z symulatorami. Łącz-

na produkcja została oszacowana na około tysiąc maszyn. T-X miał pierwotnie wejść do służby w 2020 roku, jednak katastrofa T-38C w kwietniu 2008 roku z powodu awarii technicznej (zginęło dwóch pilotów) wymusiła przyspieszenie prac. Przewidywano, że wstępną gotowość operacyjną następcę talona, mający pozostać w służbie 30–40 lat, osiągnie na przełomie 2016 i 2017 roku. Z powodów przede wszystkim finansowych tak się jednak nie stało, w pewnym momencie mówiono nawet o zawieszeniu całego programu.

W marcu 2015 roku siły powietrzne Stanów Zjednoczonych ostatecznie podały do publicznej wiadomości swoje oczekiwania co do samolotu T-X. Co zrozumiałe, nowy odrzutowiec ma możliwie jak najlepiej szkolić pilotów samolotów piątej generacji, to jest F-22 Raptor i F-35 Lightning II. Zarówno samoloty, jak i symulatory muszą umożliwić nabywanie wielu umiejętności, w tym operowania w formacji, nawigacji, współdziałania i walki z użyciem pocisków powietrze–powietrze oraz powietrze–ziemia, przesyłu danych oraz tankowania w powietrzu. Wielu z tych zadań nie można wykonywać z użyciem T-38 po prostu dlatego, że powstał w zupełnie innych czasach. Jednocześnie Amerykanie biorą pod uwagę możliwość wprowadzenia w przyszłości wersji

ROBERT CZULDA

Następca talona

Szkolno-treningowy T-38 Talon ma w najbliższej przyszłości zostać zastąpiony przez nowy samolot. Pomimo upływu lat ciągle jednak nie wybrano zwycięzcę w programie T-X.



uzbrojonej do działań przeciwko celom powietrznym oraz operacji bliskiego wsparcia jednostek naziemnych. Taka maszyna mogłaby stacjonować również na okrętach US Navy. Obecnie nie jest to jednak wymóg wobec oferentów. I chociaż w procesie analizowania alternatyw i ustalania wymogów uczestniczyła marynarka wojenna, T-X nie będzie musiał mieć zdolności lądowania i startowania z lotniskowców. Istnieje jednak ciągle możliwość, że US Navy otrzyma nieco inną konstrukcję, ale z taką samą awioniką i silnikami co T-X sił powietrznych.

Zgodnie z założeniami Pentagon ma oficjalnie opublikować zapytanie ofertowe pod koniec 2016 roku, co oznacza opóźnienie o kolejne trzy miesiące w porównaniu z wcześniejszym harmonogramem. Dzisiaj planuje się, że US Air Force w ciągu kolejnych 12 miesięcy wybie-

rze zwycięzcę. Wstępna gotowość operacyjna ma zostać ogłoszona w 2024 roku, a pełna dopiero w 2034 roku.

ZAGRANICZNE PROPOZYCJE

W wyścigu po zwycięstwo udział bierze kilka koncernów. W sierpniu 2016 roku w prasie ukazało się zdjęcie jednosilnikowej (GE Aviation F404-102D) propozycji koncernu Northrop Grumman, do którego należy spuścizna po T-38 (powstały w 1939 roku Northrop połączył się z Grummanem w 1994 roku). Samolot jest oczywiście dwumiejscowy, ma konstrukcję dolnopłata. Inne szczegóły nie są jeszcze znane. Warto jednocześnie ➔

NORTHROP GRUMMAN



Scorpion

Producent	Textron AirLand
Długość [m]	13,26
Rozpiętość [m]	14,43
Maksymalna masa startowa [t]	9,6
Napęd	2 x Honeywell TFE731
Prędkość [km/h]	833
Pułap [m]	14 000
Zasięg [km]	4400

T-38 Talon

Producent	Northrop
Długość [m]	14,14
Rozpiętość [m]	7,7
Maksymalna masa startowa [t]	5,5
Napęd	2 x General Electric J85-5A/R
Prędkość [km/h]	1381
Pułap [m]	15 240
Zasięg [km]	1835

Hawk Mk 128

Producent	BAE Systems/ Northrop Grumman
Długość [m]	12,43
Rozpiętość [m]	9,94
Maksymalna masa startowa [t]	9,1
Napęd	1 x Rolls Royce/ Turbomeca Adour Mk.951
Prędkość [km/h]	1028
Pułap [m]	13 565
Zasięg [km]	2520



NAJMŁODSZY T-38 ZOSTAŁ DOSTARCZONY DO US AIR FORCE W 1972 roku.

Maszyny służyły m.in. w dowództwach strategicznych, a także NASA, gdzie były wykorzystywane do szkolenia astronautów. Trafiły także do Niemiec, Turcji, Portugalii, Tajwanu i Korei Południowej.



przypomnieć, że wcześniej ta firma, razem z europejskim koncernem BAE Systems oraz zakładami Rolls-Royce, zgłaszała do konkursu sprawdzone samoloty Hawk Mk 128. Ostatecznie Northrop Grumman wycofał się z promowania hawka, najprawdopodobniej ze względu na słabe parametry płatowca, koszty oraz trudności z przeniesieniem produkcji do Stanów Zjednoczonych. Zdecydowano się na opracowanie wspomnianego prototypu, który powstał we współpracy z firmą Scaled Composites. Projekt wspiera BAE Systems i L-3.



M-346 Master (T-100)

Producent	Alenia Aermacchi
Długość [m]	11,49
Rozpiętość [m]	9,72
Maksymalna masa startowa [t]	9,5
Napęd	2 x Honeywell F124 GA-200
Prędkość [km/h]	1255
Pułap [m]	13 715
Zasięg [km]	1890



T-50 Golden Eagle

Producent	Lockheed Martin/ Korea Aerospace Industries
Długość [m]	12,98
Rozpiętość [m]	9,17
Maksymalna masa startowa [t]	13,5
Napęd	1 x General Electric F404
Prędkość [km/h]	1593
Pułap [m]	16 760
Zasięg [km]	1851

To nie są jedyne firmy zainteresowane amerykańskim przetargiem. Korean Aerospace Industries (KAI) razem z amerykańskim Lockheedem Martinem proponują samolot na bazie T-50 Golden Eagle. W grudniu 2015 roku obie firmy wspólnie zaprezentowały swój prototyp T-X, oznaczony jako T-50A. Różnice pomiędzy wersją standardową a T-X sprowadzają się do sondy do tankowania w locie, otwartej architektury oprogramowania, wyposażenia kabiny i kokpitu. W przyszłym roku mają się odbyć loty testowe na terenie Stanów Zjednoczonych. W czerwcu 2016 roku prototyp T-50A w wersji T-X wykonał loty w Korei Południowej. W przypadku wyboru T-50A, Lockheed Martin budowałby samoloty w Karolinie Południowej, podczas gdy firma KAI dostarczałaby skrzydła, sekcję ogonową i płatowiec.

Nowy samolot dla US Air Force zaproponowała włoska Alenia Aermacchi (od stycznia 2016 roku włączona w Leonardo-Finmeccanica), oferująca M-346 Master, który na potrzeby programu T-X przemianowano na zintegrowany system szkolenia T-100 ITS (Integrated Training

System). Kokpit samolotu przypomina te z odrzutowców piątej generacji, co ma istotne znaczenie, jako że Amerykanie chcą szkolić na nim pilotów F-22 i F-35. Problem polega jednak na tym, iż M-346 ma środkowy drążek sterowy. Producent zapewnił o możliwości modyfikacji samolotu na potrzeby US Air Force – wtedy M-346 będzie miał boczny drążek sterowy, jak w F-16 czy F-35. Poza tym, amerykański M-346 może być wyposażony w system umożliwiający tankowanie w locie. Włosi zapowiedzieli przeniesienie produkcji do Stanów Zjednoczonych.

By wzmocnić swoją pozycję na rynku amerykańskim, Alenia Aermacchi podpisała w 2013 roku list intencyjny z General Dynamics. Rok później do duetu dołączył kanadyjski producent symulatorów, CAE. Później jednak General Dynamics wycofał się i w 2016 roku jego miejsce zajął inny amerykański koncern, Raytheon. T-100 jest obecnie oferowany amerykańskim siłom powietrznym wspólnie przez firmy CAE, Honeywell Aerospace (silniki F124) oraz europejski koncern Leonardo-Finmeccanica.

RODZIME OFERTY

Pierwotnie zakładano, że Alenia Aermacchi nawiąże współpracę z Boeingiem. Obie firmy jednak połączyły siły, wygrywając przetarg na samolot dla sił powietrznych Singapuru. Ostatecznie jednak Boeing, współpracujący z rywalem Alenii w przetargu na T-X, tzn. BAE Systems (szkolno-treningowy T-45 Goshawk amerykańskiej marynarki wojennej), w 2013 roku rozpoczął współpracę ze szwedzkim Saabem. W sierpniu 2016 roku przedstawił natomiast komputerową wizualizację T-X jako średniopłata. We wrześniu zaprezentowano gotową konstrukcję w układzie górnopłata ze skrzydłem pasmowym, podwójnym statecznikiem pionowym i jednym silnikiem GE Aviation F404-GE-402.

Warto wspomnieć również o branej do niedawna pod uwagę propozycji firmy Textron AirLand, a więc połączonych sił AirLand Enterprises oraz koncernu Textron, do którego należą zakłady Cessna Aircraft, Beechcraft i Bell Helicopter. Ofertą może być prototypowy lekki samolot uderzeniowy Scorpion do działań bliskiego wsparcia jednostek naziemnych, działań antypartyzanckich i rozpoznawczych. Pierwszy lot odbył się w grudniu 2013 roku. Ostatecznie jednak Scorpion najprawdopodobniej nie stanie do walki o kontrakt na T-X. Na początku tego roku firma Textron AirLand oficjalnie przyznała, że nie stać jej na przygotowanie projektu spełniającego wymogi US Air Force. ■



CRISTOPHER GERE/USAF

STANY ZJEDNOCZONE

Black hawki w natarciu

Firma Sikorsky Aircraft Corp. w ostatnich dwóch miesiącach podpisała serię umów na produkcję śmigłowców.

Dokumenty z końca września 2016 roku dotyczyły maszyn wielozadaniowych w ramach programu **Foreign Military Sales**. Pentagon poinformował o zleceniu na osiem maszyn dla Arabii Saudyjskiej za prawie 92 mln dolarów. Choć nie podano typu śmigłowca, według ekspertów chodzi o UH-60M. Saudyjskie black

hawki mają być gotowe do 31 grudnia 2017 roku. Wcześniej Departament Obrony przekazał też wiadomość o dwóch innych transakcjach. Pierwsza dotyczy wyprodukowania do 31 grudnia 2021 roku sześciu śmigłowców UH-60M dla Tajwanu za kwotę około 149 mln dolarów. Druga umowa opiewa na ponad 38 mln dolarów za cztery UH-60M dla Tunezji wyprodukowane do 30 kwietnia 2020 roku.

Co ważne, miesiąc wcześniej firma Sikorsky podpisała z Pentagonem trzy inne umowy, w tym dwie w ramach FMS. Zlecenie na kwotę ponad 27 mln dolarów obejmuje wyprodukowanie dziesięciu maszyn MH-60R Seahawk. Przy czym producent ma do grudnia 2019 roku dokonać konfiguracji śmigłowców zgodnie z wymaganiami zamawiającego, czyli Arabii Saudyjskiej. Druga transakcja, przekraczająca wartość 135 mln dolarów dotyczyła 24 egzemplarzy UH-60M dla Tajwanu, wyprodukowanych do 8 października 2018 roku. Pentagon zlecił też produkcję 14 sztuk UH-60 za prawie 158,5 mln dolarów dla amerykańskich sił zbrojnych. W ■



BANGLADESZ

Kierunek Azja

Samoloty transportowe C-295M wkrótce trafią do lotnictwa wojsk lądowych w Bangladeszu. Na razie ten południowoazjatycki kraj zamówił jeden egzemplarz, który dostanie w drugiej połowie 2017 roku. Będzie to

pierwszy w jego historii samolot wielosilnikowy.

Bangladesz jest 23. państwem, które kupiło C-295M. Spośród 169 transportowców, które zamówiono, dostarczono 154. Największymi nabywcami są Brazylia (15), Egipt (24), Hiszpania (13), Indonezja (11), Meksyk (14), Polska (17) i Portugalia (12). WTR ■

FEDERACJA ROSYJSKA

Dozbrajanie

Jednostki armii rosyjskiej w Zachodnim Okręgu Wojskowym dostaną sto ośmiokółowych transporterów opancerzonych **BTR-82AM**. 81 Zakłady Remontowe Broni Pancernej dostarczą resortowi 323 te pojazdy, z czego

78 egzemplarzy w tym roku. BTR-82AM są zmodernizowaną wersją wozów BTR-80 do poziomu BTR-82A. Teraz mają m.in. mocniejszy silnik Kamaz-740.14-300 oraz bezzałogową wieżę uzbrojoną w armatę automatyczną 2A72 kalibru 30 mm i karabin maszynowy PKTM kalibru 7,62 mm. TW ■

BRAZYLIA

Własny pocisk

Prace nad pociskiem przeciwokrętowym (Míssil Antinavio de Superficie – MAN-SUP) dla jednostek nawodnych trwają w Brazylii od 2010 roku. W programie uczestniczą takie firmy, jak Avibras, Mectron, Omnisys czy Centro Tecnológico da Marinha, a zarządza nim i jest integratorem Fundação Ezute. Brazylijczycy liczą na to, że dzięki pociskowi własnej

konstrukcji zyskają niezależność technologiczną przez cały cykl – od opracowania broni, przez eksploatację, do utylizacji.

MA-SUP będzie miał zasięg 70–75 km, maksymalną prędkość 840 km/h i głowicę bojową o masie 150 kg. Powstanie też wersja przeznaczona dla śmigłowców, samolotów bojowych i okrętów podwodnych. WT ■



FINLANDIA

Szybka opcja

Finowie po długich poszukiwaniach porozumieili się z korporacją Babcock International Group i dostaną od niej 28 używanych samolotów do szkolenia podstawowego Grob G115E (na zdjęciu) za 6,6 mln euro. Pod koniec roku rozpoczną się dostawy maszyn, które zastąpią używane od 1980 roku przez fińskie lotnictwo wojskowe samoloty Palmet L-70. TR ■

STANY ZJEDNOCZONE

Armia USA testuje JLTV

Siedem lekkich pojazdów taktycznych (Join Light Tactical Vehicle – JLTV) firma Oshkosh Defense przekazała pod koniec września do testowania amerykańskim wojskom lądowym i piechocie morskiej

W sumie około stu wozów trafi na takie testy w przyszłym roku, około dziesięciu egzemplarzy miesięcznie. Próbom zostaną podda-

ne cztery wersje JLTV, który ma być następcą HMMWV. Produkcja seryjna tych pojazdów na pełną

skalę rozpocznie się w 2019 roku. Pierwotnie planowano kupić 545 tys. 999 wozów do początku lat czterdziestych XXI wieku, ale obniżenie ceny spowodowało, że siły lądowe przyspieszą zakupy tak, by mieć wszystkie pojazdy już w połowie lat trzydziestych. WW ■

OSH KOSH DEFENSE





nr 35.

Starszy szeregowy, PKW
w Kosowie (2013 rok)

rys. Monika Rokicka



NR 35.

UBIÓR POLOWY

**STARSZY SZEREGOWY, PKW W KOSOWIE
(2013 ROK)**

Prezentujemy żołnierza Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Kosowie w ubiorze polowym wzór 2010 w kamuflażu pantera. Na lewym rękawie kurtki widać oznaki przynależności państwowej i sił natowskich – Kosovo Force. Na głowie szeregowy ma zielony beret z orłem wojsk lądowych, oznakami stopnia i proporczykiem macierzystej jednostki, czyli 23 Śląskiego Pułku Artylerii z Bolesławca. Całości ubioru dopełniają trzewiki ćwiczebne w wersji tropikalnej. Wyposażenie stanowi też zintegrowana kamizelka taktyczna. Bronią żołnierza jest karabinek mini-Beryl kalibru 5,56 mm.



POLSKI KONTYNGENT WOJSKOWY W KOSOWIE

Siły pokojowe NATO stacjonują w Republice Kosowa od czerwca 1999 roku po zbrojnej interwencji przeciwko państwom byłej Jugosławii. Pierwszą polską jednostką w składzie KFOR był 18 Batalion Desantowo-Szturmowy z Bielska-Białej. Od 2009 roku jest to ofi-

cialnie Polski Kontyngent Wojskowy w Siłach Międzynarodowych w Republice Kosowa i Byłej Jugosłowiańskiej Republice Macedonii oraz w Bośni i Hercegowinie. W listopadzie służbę rozpoczyna już XXXV zmiana, którą wystawił 4 Zielonogórski Pułk Przeciwlotniczy.



nr 36.

*Szeregowy, 15 Brygada
Zmechanizowana (2005 rok)*



RAFAŁ
CIASTOŃ

Skanowanie przestworzy



Odkrycie zjawiska odbicia fal radiowych i wykorzystanie go w urządzeniu nazwanym radarem (Radio Detection And Ranging) wpłynęło bezpośrednio na losy II wojny światowej. Szybko też radar został ucywilniony, przyczyniając się m.in. do rozwoju lotnictwa pasażerskiego.

Już w 1886 roku badania prowadzone przez niemieckiego fizyka Heinricha Hertza udowodniły, że fale radiowe odbijają się od napotkanych obiektów. W 1904 roku inny niemiecki uczony, Christan Hülsmeier, opatentował urządzenie wykorzystujące to zjawisko. W zamyśle miało ono pomóc w wykrywaniu statków podczas słabej widoczności, ale ze względu na niewielki zasięg nie weszło do powszechnego użycia. W latach dwudziestych ubiegłego wieku dwóch amerykańskich naukowców, Albert H. Taylor i Leo C. Young, ustawiając emiter i odbiornik fal radiowych po przeciwnych stronach Potomaku, zaobserwowało, że sygnał ulega zakłóceniu, jeśli w momencie emisji przez rzekę przepływa statek. Young sugerował w swym raporcie, że zjawisko to może być wykorzystywane do namierzania obiektów pływających, ale nie znalazł uznania w dowództwie US Navy. Kilka lat później inny uczony, Lawrence Hyland, zaobserwował, że identyczne zjawisko dotyczy obiektów znajdujących się w powietrzu. Opatentował wyniki swoich prac, starając się zainteresować nimi laboratorium badawcze US Navy. Jednak palma pierwszeństwa w użyciu radiolokacji na szeroką skalę miała przapaść Brytyjczykom. Robert Watson-Watt, kierujący od 1936 roku zespołem naukowców w ministerstwie lotnictwa, doprowadził do rozwoju tzw. Chain Home, sieci radarowej ułożonej wzdłuż wschodnich i południowych wybrzeży Anglii. To właśnie dzięki Chain Home, znanej również pod nazwą AMES type 1, Brytyjczycy zyskali możliwość wykrywania z odległości około 200 km nadlatujących formacji samolotów Luftwaffe. Ta dość prymitywna sieć dawała pilotom RAF-u lepszą „świadomość sytuacyjną”, jak byśmy to dziś określili, a uzupełniona wkrótce drugą, Chain Home Low, pokrywającą zakresem mniejsze wysokości (powyżej 500 stóp), w znaczącym stopniu przyczyniła się do wyniku bitwy o Anglię.

W czasie II wojny światowej radar trafił także na pokłady samolotów, udoskonalenie magnetronu pozwoliło bowiem na zmniejszenie jego rozmiarów. Z kolei użycie radarów artyleryjskich na okrętach wpłynęło na wyniki wielu pojedynków ogniowych. Z urządzenia korzystali zarówno alijanci, jak i Niemcy oraz Japończycy. Radiolokacja zaczęła zatem decydować o powodzeniu operacji.

Radar nie był typowo wojskowym wynalazkiem, ale to armia najszybciej doceniła jego wartość, konflikt światowy zaś w olbrzymim stopniu przyczynił się do rozwoju i upowszechnienia tego urządzenia. W efekcie, po zakończeniu wojny użytkownicy cywilni mogli korzystać z daleko bardziej udoskonalonego radaru. Do dziś najsilniejsze i najbardziej zaawansowane technologicznie urządzenia tego typu są wykorzystywane nie tylko przez siły zbrojne, lecz także w świecie cywilnym. Bez nich trudno byłoby sobie wyobrazić kontrolę ruchu lotniczego i korzystanie z wielu mobilnych aplikacji jej dotyczących, a także... prognozę pogody.



RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

STRATEGIE

/ UKRAINA



MARIA PRZEŁOMIEC

KTO PRZEHANDLUJE UKRAINĘ?

**Ani Moskwie, ani Kijowowi nie zależy
na szybkim zakończeniu konfliktu.**

MICHAŁ ZIELIŃSKI



W

miejsowości Krymskie pod Ługańskiem, w kolejnym miesiącu »zawieszenia broni«, zginął Mirek Mysł. Tak ciężko w to uwierzyć. Mirek był bardzo dobrym kompanem. [...] Na Majdanie Berkutowcy pobili go za to, że my im robiliśmy zdjęcia. Oberwał za nas [...]. A później pamiętam, jak był dumny z tego, że jest ukraińskim żołnierzem, że ma możliwość obrony swojej

ojczyzny. Historyk, dziennikarz, poszedł walczyć jako ochotnik. Mirek kochał Ukrainę, z wielkim szacunkiem mówił o Polsce. Młodziutki chłopak”, napisał 2 października na Facebooku dziennikarz Paweł Bobołowicz. Jeden z tych, którzy od początku, czyli od listopada 2013 roku, obserwują sytuację na Ukrainie.

Od aneksji Krymu przez Rosję minęło dwa i pół roku, od otwartej rosyjskiej interwencji zbrojnej w Donbasie – nieco ponad dwa lata. Niedługo minie druga rocznica tzw. porozumień mińskich, podpisanych 11 lutego 2015 roku w stolicy Białorusi przez prezydentów Ukrainy, Rosji i Francji oraz kanclerz Niemiec. Ta zawarta w obecności najbardziej wpływowych europejskich polityków umowa miała ostatecznie zakończyć walkę ukraińskiego rządu z prorosyjskimi separatystami na wschodzie kraju. Przewidywała zaprzestanie wspierania rebeliantów przez Moskwę, wycofanie przez obie strony ciężkiego sprzętu ze strefy konfliktu, a następnie przeprowadzenie wyborów samorządowych i nadanie większej autonomii zbuntowanym regionom doniecczyny oraz ługańszczyzny. Problem w tym, że na początku października 2016 roku sytuacja na wschodzie Ukrainy niewiele różni się od tej sprzed dwóch lat, a konflikt nadal jest daleki od rozwiązania.

21 września 2016 roku w Mińsku przedstawiciele Ukrainy, Rosji i OBWE podpisali kolejne porozumienie, do którego przyłączyli się samozwańczy przywódcy tzw. Donieckiej Republiki Ludowej (DRL) i Ługańskiej Republiki Ludowej (ŁRL) – Aleksandr Zacharczenko oraz Igor Płotnicki. Porozumienie, tak jak jego poprzednik sprzed kilku miesięcy, zakładało wycofanie oddziałów i uzbrojenia, tyle że nie z całego

obszaru konfliktu, a tylko z trzech stref pilotażowych, obejmujących miejscowości Stanica Ługańska, Petrowske i Zołote.

Komentująca ten nowy układ separatystyczna agencja informacyjna DAN podkreślała, że w dokumencie po raz pierwszy napisano o wycofaniu z linii rozgraniczenia nie tylko sprzętu wojskowego, lecz także ludzi. Według separatystów, stwarzało to nadzieję, że tym razem rozejm zostanie zachowany. Ostrożny optymizm widać było także po stronie ukraińskiej. „Jeżeli to pierwsze doświadczenie okaże się udane, to będzie jeszcze dziesięć czy 20 takich stref, żeby stopniowo doprowadzić do zakończenia wycofywania oddziałów z całej linii frontu, która liczy 426 km”, mówił 22 września były premier Ukrainy Jewhen Marczuk.

Sielanka nie trwała jednak długo. 1 października obie strony wycofały swoje siły z okolic Zołotego w obwodzie ługańskim, a sześć dni później misja monitoringowa OBWE potwierdziła wycofanie ludzi i uzbrojenia z punktu Petrowskie-Bogdanowka w obwodzie donieckim. Tyle że 8 października ukraiński dziennikarz Jurij Butusow alarmował, że rosyjskie wojska w Donbasie nie przerywają przygotowań do wojny. „Wzdłuż całego frontu przeciwnik buduje nowe umocnienia obronne i przygotowuje się do zimy. Niestety nieprzyjaciel przygotowuje się o wiele lepiej niż wojsko ukraińskie, używa lepszych materiałów budowlanych i sprzętu”, pisał Butusow w internetowym wydaniu opiniotwórczego ukraińskiego tygodnika „Dzerkało Tyżnia”. Następnego dnia Ukraina ogłosiła zatem, że wstrzymuje wycofywanie wojsk z trzeciej pilotażowej strefy, czyli Stanicy Ługańskiej. Jak podał sztab w Kijowie, przyczyną było łamanie rozejmu przez separatystów, którzy nie przestawali ostrzeliwać ukraińskich pozycji.

Przy czym powstanie trzech stref pilotażowych miało ułatwić realizację politycznej części ustaleń w sprawie Donbasu, czyli przeprowadzenie wyborów samorządowych na opanowanych przez separatystów terytoriach, nadanie tym obszarom specjalnego statusu i amnestię dla prorosyjskich bojowników, którzy nie popełnili ciężkich przestępstw.

MARZENIA O WIELKIEJ ROSJI

Jak zauważają eksperci, porozumienie z Mińska pod względem wojskowym od początku by-

WOJNA NA UKRAINIE UMOCNIAŁA ZARÓWNO ANTYROSYJSKIE NASTROJE, JAK I POCZUCIE ODREBNOŚCI NARODOWEJ UKRAIŃCÓW

to fikcją. Do ostrzałów na froncie wschodnioukraińskim dochodzi niemal codziennie (wyjątek stanowiło kilka dni we wrześniu 2015 roku po podpisaniu kolejnego z porozumień rozejmowych, wprowadzających tzw. reżim cizy), okresowo zmienia się jedynie częstotliwość wymiany ognia. Problem polega na tym, że – jak się wydaje – ani Moskwie, ani Kijowowi tak naprawdę nie zależy na szybkim zakończeniu konfliktu, chociaż oczywiście powody są różne.

Cel Rosji jest zrozumiały. Tamtejszym politykom chodzi o niedopuszczenie do powstania silnego, stabilnego państwa ukraińskiego oraz do jego integracji ze strukturami zachodnimi. Z co najmniej trzech powodów. Po pierwsze, bez Ukrainy idea „ruskiego miru” nie ma sensu, a pozycja samej Rosji ulega poważnemu osłabieniu. Po drugie, ewentualny sukces „bratniego, słowiańskiego” narodu w tworzeniu demokratycznego państwa o jasnych regułach rządzenia i przejrzystej gospodarce mógłby stać się fatalnym przykładem dla tzw. zwykłych Rosjan. Po trzecie wreszcie, Moskwa uważa ukraińskie „majdany” – i ten pomarańczowy z 2004 roku, i Euromajdan z 2014 – za sterowany przez Zachód, zwłaszcza przez USA, spisek przeciwko Rosji.

Idealnym dla władz na Kremlu rozwiązaniem byłby powrót całej Ukrainy do rosyjskiej strefy wpływów i włączenie Kijowa do powstałych pod egidą Moskwy projektów integracyjnych, takich jak Euroazjatycka Unia Gospodarcza. To jednak wydaje się nieosiągalne. Także dlatego, że zajęcie Krymu i tocząca się od ponad dwóch lat wojna umocniły zarówno antyrosyjskie nastroje, jak i poczucie odrębności narodowej Ukraińców (niektórzy półżartem podkreślają zasługi Putina w tym względzie).

Na otwartą agresję natomiast Moskwa raczej się nie zdoła. W tej sytuacji pozostaje wspieranie prorosyjskich separatystów w Donbasie. Konflikt zbrojny na wschodzie kraju, negatywnie wpływający zarówno na sytuację gospodarczą, jak i zbliżenie Ukrainy z zachodnimi strukturami, leży w rosyjskim interesie i Putin będzie robić wszystko, by tereny te pozostały niestabilne. Przy czym optymalnym dla Kremla scenariuszem byłoby usta-

nie walk na wschodniej Ukrainie i zmuszenie Kijowa (najlepiej z pomocą Zachodu) do wypełnienia politycznej części porozumień mińskich.

Nadanie samowolnym republikom Donieckiej i Ługańskiej szerokiej autonomii, przeprowadzenie na tych terenach wyborów samorządowych oraz zalegalizowanie separatystycznej milicji ludowej stwarzałyby w granicach ukraińskiego państwa szarą strefę kontrolowaną przez Rosję i stanowiącą permanentne zarzewie niepokojów.

Strona ukraińska zobowiązała się do tego w porozumieniu Mińsk 2, ulegając naciskom Niemiec i Francji, chociaż powstanie takiej autonomii, gwarantującej Moskwie kontrolę nad formalnie należącym do Ukrainy Donbasem, zdecydowanie nie leży w interesie ukraińskiego państwa. I właśnie z powodu strategicznego znaczenia tej kwestii Kreml nie jest gotowy do ustępstw. Z tego samego względu Kijowowi wcale nie musi zależeć na szybkim zakończeniu walk na wschodzie Ukrainy.

Co prawda pod koniec września prezydent Petro Poroszenko wydał dekret zarządzający demobilizacją poborowych z Donbasu, od razu jednak zaznaczył, że w wypadku zaostrzenia konfliktu na wschodzie mobilizacja zostanie przywrócona. Jednocześnie część ukraińskich polityków i ekspertów regularnie alarmuje, że Rosja przygotowuje się do nowej fazy działań zbrojnych w Donbasie.

ZASŁONA DYMNA

Co do Ukrainy natomiast, to niestabilna sytuacja na wschodzie pozwala tamtejszym politykom osiągnąć dwa cele. Po pierwsze, taki konflikt staje się czynnikiem (co prawda coraz słabszym) mobilizującym społeczeństwa wokół władz, a także usprawiedliwia opóźnienia w przeprowadzaniu reform oraz konieczność zaciskania pasa. Po drugie, na arenie międzynarodowej służy przekonywaniu zachodnich partnerów, że realizacja politycznej części porozumień Mińsk 2 jest możliwa dopiero po całkowitym przerwaniu ognia oraz po odzyskaniu kontroli nad ukraińsko-rosyjską granicą.



Dodatkowym argumentem wspierającym rację Kijowa stała się ostatnio niejasna sytuacja na terenach zajętych przez separatystów. Chodzi o aresztowania, do których doszło na początku października w tzw. Ługańskiej Republice Ludowej. Ich ofiarą padło kilkadziesiąt przedstawicieli samowwładnych władz, dowódców wojskowych i żołnierzy, którzy zostali oskarżeni o próbę puczu przeciwko Igorowi Plotnickiemu. Cytowany przez amerykański dziennik „Washington Post” brytyjski ekspert Alexander Clarkson dowodzi, że te czystki mogą być przejawem wojny zastępczej prowadzonej przez elity rosyjskiej władzy, wspierające różne frakcje w łonie separatystów. Zdaniem innego eksperta, Marka Galeottiego, „kwestia nie jest przesądzona i równie dobrze może chodzić o gangsterskie porachunki związane z podziałem łupów, czyli dochodów z przemytu węgla, gazu czy papierosów”. Kijów nie bez racji dowodzi, że w tej sytuacji przyznawanie szerokiej autonomii separatystycznym regionom oznacza nie uspokojenie, lecz dalszą destabilizację Donbasu.

Wszystko wskazuje zatem na to, że na razie nie ma co liczyć na szybkie zakończenie konfliktu na wschodniej Ukrainie. Jeszcze do niedawna wydawało się, że przewaga wynikająca z układów międzynarodowych jest po stronie Rosji. Za zniesieniem antyrosyjskich sankcji opowiadało się coraz więcej państw unijnych, a Paryż i Berlin naciskały na Kijów, by przyspieszył wykonanie politycznej części mińskich porozumień pokojowych. Świat zachodni najwyraźniej był coraz bardziej zmęczony Ukrainą, biznesmeni marzyli o powrocie zasady „business as usual” w stosunkach z Rosją, a politycy powoli dawali się przekonać, że Putin może być cennym sojusznikiem w walce z tzw. Państwem Islamskim w Syrii. Tymczasem to właśnie Syria skomplikowała sytuację, a mówiąc ściślej – udział rosyjskiego lotnictwa w oblężeniu Aleppo i brutalne ataki na cywilną ludność miasta. Efektem stało się zerwanie przez USA porozumienia w sprawie amerykańsko-rosyjskiej współpracy i wyraźne zaostrenie stosunków między Moskwą a Waszyngtonem.

Co więcej, rosyjskie władze ostro zaczęły krytykować także niektórych europejskich polityków. Norbert Röttgen, szef komisji spraw zagranicznych Bundestagu, poseł CDU, 7 października na łamach dziennika „Süddeutsche Zeitung” obarczył Rosję współodpowiedzialnością za zbrodnie wojenne w Syrii i opowiedział się za nowymi sankcjami wobec Moskwy.

Nie należy jednak zapominać, że łączenie kwestii syryjskiej i ukraińskiej w jeden pakiet niesie także pewne niebezpieczeństwo. I tak np. ukraiński politolog Jewhen Mahda obawia się, że odchodząca administracja Obamy, w zamian za jakieś porozumienie dotyczące Syrii, które mogłaby przedstawić jako swój sukces, „przehandluje”

Ukrainę, a przynajmniej tę wschodnią. Dowodem na to miałyby być nieoczekiwana wizyta, którą 5 października złożyła w Moskwie Wiktoria Nuland, zastępca amerykańskiego sekretarza stanu. Rozmawiała m.in. z Władysławem Surkowem, czyli jednym z architektów konfliktu na wschodzie Ukrainy.

Niepokój strony ukraińskiej jest zrozumiały, chociaż być może przesadny. Jedno natomiast wydaje się pewne – bez zdecydowanej pomocy ze strony Zachodu, zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, konflikt w Donbasie może trwać latami. A to pewnością nie leży w interesie Ukrainy, podobnie zresztą jak nadanie szerokiej autonomii dwóm zbuntowanym regionom Donbasu. Być może jakieś rozwiązanie przyniosą amerykańskie wybory prezydenckie. Nie wiadomo tylko, czy będzie ono z większym pożytkiem dla Kijowa, czy dla Moskwy.

POSTSCRIPTUM

Już po napisaniu tego tekstu doszło do dwóch istotnych, związanych z Donbasem, wydarzeń, które jednak potwierdzają przedstawione w artykule tezy. Po pierwsze, 16 października 2016 r. w Doniecku został zabity Arsen Pawłow „Motorola”, jeden z komendantów samowwładnej Donieckiej Republiki Ludowej. Zginął od bomby umieszczonej w windzie domu, w którym mieszkał, a do zamachu przyznała się dziwna ukraińska, ultranacjonalistyczna organizacja Misanthropic Division, odwołująca się do słowiańskiego braterstwa i pogańskich korzeni. Zdaniem ekspertów, zamach był fachowo przygotowany, co zdaje się wskazywać na służby specjalne. Prorosyjscy separatyści oczywiście oskarżają Kijów. Prawdopodobny jednak jest także ślad rosyjski, gdyż Moskwa ma coraz większe problemy z donieckimi watażkami.

Po drugie, trzy dni po śmierci „Motoroli” w Berlinie odbyło się spotkanie tzw. normandzkiej czwórki, czyli przywódców Niemiec, Francji, Ukrainy i Rosji, żeby rozmawiać o pokojowym zakończeniu konfliktu w Donbasie. Żadne przełomowe decyzje jednak nie zapadły, chociaż pojawił się pomysł wysłania na te tereny uzbrojonej misji OBWE. Problem w tym, że nie wiadomo, jak miałyby ona konkretnie wyglądać, kto miałby ją tworzyć i czy mieliby w niej brać udział rosyjscy żołnierze. ■

MARIA PRZEŁOMIEC w latach 1990–2006 pracowała jako korespondent Sekcji Polskiej BBC, specjalizując się w tematyce związanej z państwami byłego ZSRR, uczestniczyła praktycznie we wszystkich bardziej istotnych wydarzeniach rozgrywających się na tym terenie. Od lutego 2007 roku prowadzi w TVP Info cykliczny program „Studio Wschód” poświęcony sytuacji polityczno-społecznej w krajach byłego ZSRR.

**IV MIĘDZYNARODOWA
KONFERENCJA I WYSTAWA**

**CYBER SECURITY:
BEZPIECZEŃSTWO PONAD GRANICAMI**



**17 listopada 2016
Warszawa**

www.cyber.ztw.pl

Strykery przecinają asfaltową drogę i na pełnym gazie ruszają w stronę pozycji wroga. Spod kół unoszą się tabuny kurzu, które ograniczają widoczność do kilku metrów. Pył przenika nawet przez okulary ochronne, kominiarki, rękawice. Strzelec w wieżyczce poprawia na twarzy chustę i próbuje schronić się za swoją „pięćdziesiątką”. Po prawej i lewej stronie pojazdu jak przez mgłę widać zarysy pozostałych strykerów. Od pancerzy o ostrych, topornych kształtach odcinają się sylwetki członków załogi. Żołnierze chaotycznie podrygują, próbując utrzymać równowagę. W chwili gdy pojazdy mijają niewielkie zabudowania, przez warkot silników przebiega huk wirujących łopat. „Ptaki, tuż za nami! Tak szarżuje kawaleria!”, krzyczy w eter sierż. sztab. Clayton, dowódca pojazdu.

Tuż za strykerami lądują trzy maszyny UH-60 Black Hawk. Wirniki śmigłowców rozganiają pył, jednocześnie podrywając z ziemi kawałki gałązek i trawy. Ledwie koła dotknęły podłoża, z wnętrza wybiegają zespoły bojowe sił specjalnych. Skuleni żołnierze z przyciśniętymi do ciała karabinkami kierują się w stronę zabudowań, które przeciwnik przerobił na swoją bazę. Na ramionach niektórych z nich można dostrzec charakterystyczny symbol kotwicy. Po tym, jak snajperzy ściągnęli wroga czujki, komandosi szturmują magazyny

w celu zdobycia nowych źródeł informacji i ich zabezpieczenia. Żołnierze 2 Pułku Kawalerii armii USA nie mają jednak zbyt wiele czasu na podziwianie roboty specjalsów. Ich zadaniem jest opanowanie przedpola i zmuszenie przeciwnika do odwrotu.

Tak wygląda jeden ze scenariuszy rozegranych podczas ćwiczeń „Brave Warrior ’16”. Amerykanie z 2 Pułku Kawalerii wraz z węgierską 5 Brygadą Piechoty oraz siłami specjalnymi ze Stanów Zjednoczonych, Węgier, Chorwacji i Polski wykonywali zadania, które stanowią nieodłączną część działań na współczesnym polu walki. Tym, co wyróżniało ich trening, była ścisła współpraca między sojusznikami o dużych dysproporcjach sił i korzystającymi z odmiennego wyposażenia. Okazało się, że po odpowiednim wyszkoleniu taka współpraca może przynieść olbrzymie korzyści i wpłynąć na przebieg starcia. W tym tkwi największa siła sojuszu.

OGIEŃ Z NIEBA

Na oddalonym o kilka kilometrów wzgórzu węgierska 5 Brygada Piechoty rozstawiła haubicoarmaty D-20. Obsługa siedmiu dział kalibru 152 mm czeka na rozkaz. Słońce w zenicie bezlitośnie grzeje harcosów, czyli węgierskich wojowników (słowo „harcos” po węgiersku oznacza wojownika), ułożonych na odsłoniętych pozycjach.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

HARCOS ZNACZY WOJOWNIK

**Na ćwiczeniach „Brave Warrior ’16”
udowodniono, że w operacjach połączonych
nawet niewielkie armie mogą okazać się
bardzo skuteczne.**

W TYM, JAK SOJUSZNICY ODNAJDĄ SIĘ W WYKONY- WANIU POŁĄ- CZONYCH ZADAŃ, TKWI NAJWIĘKSZA SIŁA SOJUSZU

Schronienia nie dają nawet siatki maskujące, których układający się w pajęczę wzory cień drażni przymrużone oczy. Radiooperator w skupieniu wsłuchuje się w napływające z głośników komunikaty, raz za razem przerywane trzaskami. Wcześniej amerykańscy zwiadowcy ze wsparcia artyleryjskiego podali koordynaty ostrzału. Wojska przeciwnika nie spodziewają się, że masywne działa zostały już skierowane na ich pozycje i tylko jedno słowo dzieli ich od spadającego z nieba ognia.

Żołnierze z uniesionymi czerwonymi chorągiewkami czekają na umówiony znak. W skupieniu wpatrują się w nich dzierżący sznury działonowi. Wokół panuje grobowa cisza, tylko z radia wciąż dobiegają stłumione trzaski. Nagle chorągiewki, niczym ścięte, opadają w dół. Sznury błyskawicznie się naprężają, ciszę wypiera pisk w uszach. Z każdym kolejnym wystrzałem nasilają się wibracje, przedzierają przez podeszwy butów, docierają do płuc, a nawet zębów. Nie zważając na kanonadę, ła-

downiczy sprintem podbiegają do dział, odrzucają rozgrzane łuski, sprawdzają komory i wprowadzają w nie kolejny ponadczterdziestokilogramowy pocisk. Huk wystrzałów niesie się po całej okolicy. Chwilę później, tuż przed linią horyzontu, unoszą się słupy gęstego dymu. Haubicoarmaty metodycznie równają z ziemią umocnienia wroga.

W tym czasie Amerykanie docierają na obrane pozycje, wróg jest w zasięgu ich działek.

Szer. Martinez przeładowuje „pięćdziesiątkę” i na rozkaz sierż. sztab. Clayтона naciska spust. Po chwili krótkie, szarpane serie zlewają się w całość z odgłosami dochodzącymi z lewej i prawej flanki. Kilkanaście strzykerów pruje ogniem. Wokół luf zamontowanych na wieżyczkach browningów tworzą się szare obłoczki, w powietrzu coraz silniejszy jest zapach prochu. „Usmaż tych gnojników, Martinez! Jesteś wojownikiem, więc pokaż im, co potrafisz!”. Sierż. sztab. Clayton przez radiostację za-

M I C H A Ł Z I E L I Ń S K I





pole. W pewnym momencie dostrzega poruszający się jarzący punkt, którego trajektoria lotu przypomina korkociąg. Ten, zataczając kręgi wokół niewidocznej osi, dosięga celu, niknie w rozbłysku ognia. Chwilę później podobny punkt ponownie wiruje w stronę wroga. To płomień wydobywający się z dyszy silników pocisku kierowanego BGM-71 TOW, który szuka następnego celu. Nieregularny lot wynika z korygującego kurs systemu naprowadzającego. Przed jego niszczycielską siłą nie chroni żaden używany na polu bitwy pancerz, łącznie z tym typu Chobham.

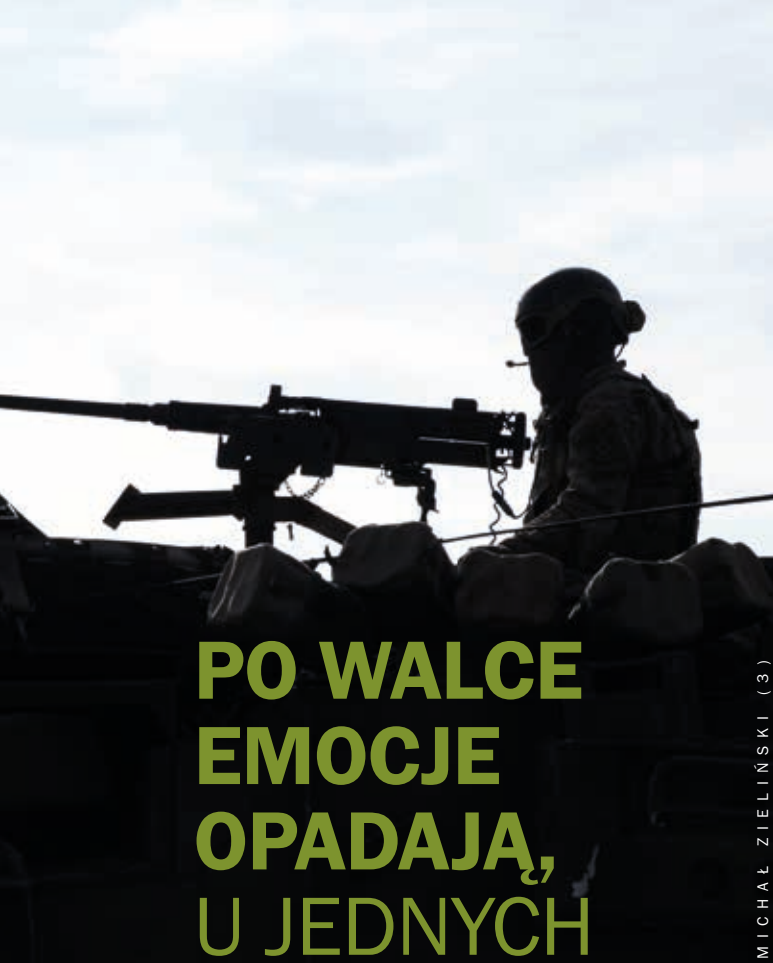
UDERZENIE ZAPIERA DECH

Przyzwyczajeni do tego spektaklu amerykańscy żołnierze kontynuują natarcie. Sierż. Clayton odbezpiecza granat i z całej siły ciska go z lewej burty strykera. Zielony dym z kilkunastu podobnych ładunków unosi się między Amerykanami. Mimo pracy operatorów JTAC, którzy koordynują i naprowadzają latające po kręgu węgierskie gripeny, jest to niezbędna procedura do uzyskania bliskiego wsparcia powietrznego. Po niespełna minucie nad głowami żołnierzy 2 Pułku Kawalerii przelatują dwa myśliwce, które po wypuszczeniu dipoli odbijają,

zataczają ciasny łuk i zrzucają bomby. Nikt, ani przyjaciel, ani przeciwnik, nie może dostrzec zbliżających się do ziemi ładunków. Dopiero głuchoe tąpnięcia i wyrastające raz za razem „grzybki” uświadamiają, że piloci trafili w cel. Eksplozje rozlegają się tuż pod nosem nacierających Amerykanów. Kawalerzystów siedzących we włazach stykerów dosięga fala uderzeniowa. Ich kamizelki taktyczne opierają się niewidocznym, zapierającym dech uderzeniom.

„NEGRETE, WASZA KOLEJ, Z WOZU!”

Żołnierze zrywają się ze swoich miejsc i zanim tylna rampa strykera dotknie ziemi, biegną w kierunku pobliskiego leja po bombie. Jeden z nich niesie długą, ciemnoszarą tubę. Po dotarciu do schronienia zarzuca ją na ramię i obserwuje cel przez niewielki, zamontowany z boku ekran. To javelin, pocisk kierowany typu „strzel i zapomnij”. W chwili gdy wrogi pojazd zostaje namierzony, pocisk wylatuje z tuby. Przez ułamek sekundy można podziwiać masywną głowicę, lotki, czujniki. Kilka metrów dalej uruchamia się silnik rakietowy, pocisk kieruje się pionowo ku górze i niknie z pola widzenia. O swojej obecności daje dopiero znać w tym momencie, w którym przebija wieżyczkę czołgu



PO WALCE EMOCJE OPADAJĄ, U JEDNYCH ADRENALINA I STRACH PRZECHODZĄ W EUFORIE, INNI POPADAJĄ W NOSTALGIĘ

MICHAŁ ZIELIŃSKI (3)



przeciwnika i roznosi go na kawałki. W wyniku eksplozji kilkudziesięciotonowy pojazd unosi się nad ziemię, a wokół lecą jego części. Zaledwie wszystkie zdążą opaść na ziemię, sierż. Negrete oraz jego podwładny wpadają do pojazdu. Zużyty javelin ląduje w specjalnym uchwycie, a załoga jest gotowa do zmiany pozycji.

Stryker w szaleńczym tempie zaczyna pokonywać kolejne nierówności. Podjeżdża i stacza się z każdego wzniesienia niczym kuter miotany przez sztormowe fale. Zarówno dowódca pojazdu, jak i kierowca starają się utrzymać za wszelką cenę równowagę. Ręce zaciskają na elementach pancerza, ale co chwilę któryś z nich

uderza brzuchem lub plecami o wóz. Po kilkudziesięciu sekundach pojazdy docierają do pozycji wroga. Po przeciwniku zostały jedynie czarne, wciąż dymiące połacie wypalanej ziemi. Nieopodal żywym ogniem płonie wrak ciężarówki, kilka metrów dalej można dostrzec wyrwę w umocnieniach.

O tym, że nawet całkowite zwycięstwo jest okupione stratami, przypomina węgierski śmigłowiec Mi-17, który tuż zza linii frontu zabiera rannych i ewakuuje ich do najbliższego punktu medycznego. Wszyscy zdają sobie sprawę, że gdyby nie zgranie żołnierzy i najnowsza technologia, straty byłyby zdecydowanie większe. Po walce emocje opadają, u jednych adrenalina i strach przechodzą w euforię, inni popadają w nostalgię. Sierż. sztab. Clayton rozgląda się wokół z satysfakcją: „Martinez, spójrz, jak się jara. Tyle z nich zostało. Pokazałeś im, Martinez. Pokazałeś im, co potrafisz”.

Epizod jest częścią ćwiczeń „Brave Warrior '16”, ale tak może wyglądać skoordynowane natarcie sił NATO. Nad Balatonem żołnierze 2 Pułku Kawalerii wraz z węgierską 5 Brygadą Piechoty oraz siłami specjalnymi ze Stanów Zjednoczonych, Węgier, Chorwacji i Polski wykonywali zadania dynamiczne i niekonwencjonalne. Gdy wojna pełzająca ulega intensyfikacji i zmienia swoje oblicze, kluczowe jest współdziałanie różnych armii korzystających z odmiennego wyposażenia oraz stosujących inne rozwiązania taktyczne. ■



NIE MOŻEMY CZUĆ SIĘ BEZPIECZNIE

Ze Zbigniewem Lewickim
**o powyborczych scenariuszach, koncepcjach
i obietnicach Donalda Trumpa i Hillary Clinton
rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.**

Oczy całego świata są zwrócone na Stany Zjednoczone. Dlaczego amerykańskie wybory są tak ważne?

Amerykańskie wybory budzą zainteresowanie z dwóch powodów. Po pierwsze, wybieramy przywódcę wolnego świata, bo prezydent USA decyduje o polityce nie tylko własnego państwa, lecz całego Zachodu. Po drugie, Amerykanie potrafią nadać tym wybo-

rom walor atrakcyjności: konwencje, debaty i spotkania składają się na wielkie show pokazywane przez media.

Dwóch kandydatów prezentowało zupełnie inne koncepcje prowadzenia polityki zagranicznej: dość przewidywalna była sekretarz stanu Hillary Clinton, a nieobliczalny – miliarder Donald Trump. Która z nich jest lepsza z punktu widzenia Polski?

Dla Polski z dwóch niedobrych rozwiązań lepsza jest Hillary Clinton. Mówiąc w skrócie: Trump nie wie, gdzie leży Polska, a Clinton nie obchodzi, gdzie jest Polska. Ci, którzy znają kandydatkę na prezydenta, mówią, że nie przepada za naszym krajem. Ona jest nie tyle lepszym kandydatem, ile znacznie bardziej przewidywalnym. Wiemy, czego się spodziewać. Tymczasem Trump podejmuje decyzje spontanicznie i bez uzasadnienia. Uważam, że na finiszu kampanii zrezygnował on z prezydentury. Zdał sobie sprawę, że obowiązki i natura tego urzędu wymagałyby od niego zbyt głębokich zmian w dotychczasowym sposobie życia. Gdyby został prezydentem, musiałby oddać swoje pieniądze w tzw. blind trust, bo nie mógłby prowadzić biznesu. On osiągnął już wszystko, co chciał – zdobył nominację, zaczynając od zera. To wielki sukces.

Co sprawiło, że Donald Trump zdobył tak duże poparcie?

Gdy rozmawiamy o USA, myślimy o Wschodnim Wybrzeżu i takim obrazie amerykańskiej polityki, jaki pojawia się w liberalnych pismach oraz w większości stacji telewizyjnych. Media te pomijają nową sytuację w Ameryce – nie pokazują dużych obszarów nędzy. W małych miejscowościach zamykane są fabryki, które często były jedynym miejscem pracy na tym terenie, a w ramach NAFTA [North American Free Trade Agreement – Północnoamerykański Układ Wolnego Handlu] zostały przeniesione do Meksyku albo nie wytrzymały konkurencji z tanimi produktami chińskimi. Nawet przy dużej mobilności amerykańskiego społeczeństwa jest to problem. Politycy w Waszyngtonie nie dostrzegają tych ludzi. Trump ich dostrzegł. Jako jedyny powiedział: widzę was. Dlatego w jego wystąpieniach przewija się temat miejsc pracy. Jednak Trump niczego konkretnie nie obiecywał. Jego jedyne hasło to: „Sprawię, że Ameryka będzie znowu wielka”.

Jak bardzo Donald Trump mógłby „popsuć” amerykańską politykę? W jakim stopniu prezydenta mogą powstrzymać realia geopolityczne oraz Kongres?

Wbrew pozorom prezydent w USA ma dość ograniczony zakres władzy. Na wszelkie inicjatywy ustawodawcze potrzebuje zgody Kongresu, bo sam nie może zgłaszać ustaw. Trump nie może ot tak sobie zrujnować osiągnięć polityki zagranicznej USA. Nie może rozwiązać traktatów ani umów handlowych. Gdyby chciał jednak toczyć walkę z ich postanowieniami, mógłby to robić na różne sposoby. W Stanach Zjednoczonych to prezydent podejmuje ostateczną decyzję o wydawaniu pieniędzy, nadaje ton polityce i jest widoczny na świe-

cie. Jeśli powie, że NATO go nie obchodzi, może to oznaczać, że nie wyśle wojsk, gdyby Rosja zaatakowała któreś państwo członkowskie sojuszu. Prezydent może inicjować pewne kroki, które mogą się okazać zgubne dla międzynarodowej współpracy.

Trump podważa sojusze, w które są zaangażowane Stany Zjednoczone, z NATO na czele. Mówi, że Ameryki nie stać na rolę żandarma świata, skoro ma 20 bln dolarów długu publicznego.

Trump nie podważa istnienia NATO jako sojuszu, lecz mówi – zresztą nie on pierwszy – że państwa członkowskie muszą ponosić koszty utrzymania sojuszu współmiernie do ich sytuacji gospodarczej. Dziś USA pokrywają większość kosztów, finansując w ten sposób programy socjalne bogatych krajów Europy Zachodniej. Gdyby państwa zachodnioeuropejskie nie zwiększyły finansowania, a Stany Zjednoczone ogłosiły, że już nie chcą ponosić tak znacznej odpowiedzialności finansowej, sojusz zostałby znacznie osłabiony. To jest największe niebezpieczeństwo.

Kandydat republikanów wydaje się bardziej zainteresowany własnym podwórkiem niż światem.

George W. Bush wybrany w 2000 roku mówił, że nie interesuje go polityka zagraniczna. Woodrow Wilson twierdził podobnie. Obaj przeszli do historii jako prezydenci prowadzący nie tylko aktywną politykę zagraniczną, lecz także wojny.

Widoczna jest fascynacja Trumpa Rosją i Putinem. Czy jego wygrana nie byłaby niebezpieczna dla Europy Wschodniej?

Jako nowojorski finansista Trump lubi rozmawiać z potężnymi, a takim partnerem jest Putin. Jest zafascynowany Rosją, jego syn oraz doradcy mają tam pokazać inwestycje. Należy oczekiwać, że ze zrozumieniem będzie podchodził do inicjatyw Putina. Najgorszym scenariuszem, którego nie można wykluczyć, byłby podział wpływów między Rosją a USA, co można określić mianem drugiej Jałty. Europa Wschodnia zostałaby przypisana Rosji. Moskwa starałaby się współpracować z Waszyngtonem, a USA nie tak intensywnie reagowałaby na zachowania Rosji wobec państw Europy Środkowo-wschodniej. Trump mógłby zawrzeć ciche porozumienie z Putinem, że nie będzie podejmował pewnych inicjatyw i nie będzie reagował na niektóre wydarzenia.

Jaki pomysł ma Hillary Clinton na kontakty z Rosją?





Także pani Clinton – gdy spojrzeć z polskiej perspektywy – jest pełna zrozumienia dla Moskwy. Przypomnę reset w stosunkach z tym mocarstwem, co było w dużej mierze jej pomysłem. Rozumie ona jednak geopolityczne aspekty swoich działań oraz skutki podejmowanych decyzji. Trumpowi brakuje zdolności politycznego myślenia i, jak w szachach, przewidywania kolejnych ruchów. Nie oznacza to, że Clinton nie popełnia błędów. Wystarczy przypomnieć amerykańską interwencję w Libii.

Czy dojdzie do wzmocnienia tendencji izolacjonistycznych w USA? Ich zwolennicy twierdzą, że angażowanie się w konflikty poza granicami jest źródłem kłopotów dla Ameryki.

USA nie mogą się wycofać z globalnej polityki, izolacjonizm skończył się wraz z II wojną światową. Możliwe jest natomiast wzmocnienie tendencji unilateralnych, czyli do podejmowania decyzji bez konsultacji z sojusznikami i nieuwzględniania interesów innych.

W których dziedzinach najbardziej zmieni się po wyborach amerykańska polityka zagraniczna?

Zależy kto wygra, odbywające się równolegle z prezydenckimi, wybory do Izby Reprezentantów oraz do jednej trzeciej Senatu. Rokowania są dość rozbieżne. Demokratyczny prezydent może mieć problemy z przeprowadzeniem przez republikański Kongres swoich pomysłów, czego najlepszym przykładem jest prezydent Obama – jego inicjatywy nie spotykają się na Kapitolu ze zrozumieniem.

Jakich zmian spodziewa się Pan w Azji?

Z Azją jest problem natury gospodarczej, o czym dość wyraźnie mówi Trump. Myślę o utrzymywaniu sztucznego kursu juana czy zalewaniu USA tanimi chińskimi produktami, a także o cyberszpiegostwie. Gdyby Trump został prezydentem, mogłoby dojść do przewartościowania w stosunkach z Chinami. Pani Clinton zapewne utrzyma obecną politykę przemykania oczu.

W 2013 roku chiński dziennik „Global Times” przeprowadził w Chinach badania

Dla Polski z dwóch niedobrych rozwiązań lepsza jest Hillary Clinton. Mówiąc w skrócie: Trump nie wie, gdzie leży Polska, a Clinton nie obchodzi, gdzie jest Polska

nastrojów wobec USA. Okazało się, że Hillary Clinton jest w Państwie Środka najbardziej nienawidzonym amerykańskim politykiem.

W kulturze chińskiej, która dopuszcza do polityki tylko mężczyzn, kobieta na tak wysokim stanowisku nie może budzić sympatii. Pani Clinton ma silną osobowość, drażni także sporą część Amerykanów.

Bliski Wschód pozostanie zapewne beczką prochu.

Barack Obama zaniedbał ten obszar, był pierwszym prezydentem, który nie wyznaczył specjalnego wysłannika ds. Bliskiego Wschodu. Ani Clinton, ani Trump nie działają cudów w tym regionie. Dla Bliskiego Wschodu wybór Trumpa na prezydenta jest groźny, ale nie dlatego, że on coś zrobi, lecz dlatego, że może zaostrzyć sytuację niemądrymi wypowiedziami. Pani Clinton natomiast mogłaby wyznaczyć na specjalnego wysłannika ds. Bliskiego Wschodu swojego męża, który świetnie zna i rozumie ten region. Wówczas, dzięki osobistemu zaangażo-

waniu Billa Clintona, może się tam dokonać jakiś postęp. Rozwiązanie problemu bliskowschodniego jest proste: przyczynienie się do podniesienia poziomu życia sąsiadów Izraela. Taki plan Marshalla byłby długofalowym działaniem, a politycy są dziś pragmatykami i nie myślą w perspektywie dekad.

W 2012 roku mówił Pan, że reelekcja Obamy nie jest najlepszym wyborem dla świata. Jak Pan ocenia jego drugą kadencję?

Zdecydowanie źle. Osiem lat temu Obama zaczynał urzędowanie jako orędownik globalnego „resetu” i odejścia od „polityki twardej pałki”. Dziś po tamtej doktrynie nie został nawet ślad. W Europie i USA otaczała go aura cudotwórcy, której towarzyszyły hasła „zmiana”, „możemy”, a nic się nie zmieniło na lepsze. Z powodów finansowych wali się system opieki społecznej. W polityce zagranicznej za sukces uważa się porozumienie z Iranem. To niewiele jak na osiem lat prezydentury.

Obiecał, że zakończy wojnę w Iraku, i tak zrobił.

Ale źle ją zakończył. Zostawił za mało amerykańskich żołnierzy, co spowodowało narodzenie się tzw. Państwa Islamskiego. Zachód zapewne wygra wojnę z Państwem Islamskim, ale wówczas powstanie jakiś nowy twór, bo nie zmieni się sytuacja w Iraku. A wojna w Afganistanie się nie zakończyła.

Czy spodziewa się Pan zmiany wydatków w amerykańskim budżecie obronnym?

Budżet obronny USA wynosi 3,6% PKB i nie sądzę, żeby mogło być inaczej. Lobby zbrojeniowe jest tak silne, że nie pozwoli Kongresowi na istotne zmiany. Mogą być przesunięcia. Inwestycje zbrojeniowe w nowoczesne technologie są kilkuletnie i tego nie da się przemodelować z dnia na dzień. Nie ma możliwości dalszej redukcji wojsk amerykańskich stacjonujących w różnych punktach na całym świecie – ona już nastąpiła i USA mogłyby się co najwyżej całkowicie wycofać, na co nie zgodzi się Kongres. Na przykład w Niemczech pozostało obecnie zaledwie około 35 tys. amerykańskich żołnierzy. USA budują dziś bazy logistyczne. Wolą przerzucać żołnierzy tam, gdzie mogą być potrzebni, a nie trzymać ich w pogotowiu. Muszą jednak usprawnić logistykę, co pokazały ostatnie ćwiczenia „Anakonda” w naszym kraju.

Czy obecność amerykańskich żołnierzy w Polsce będzie miała głównie symboliczne znaczenie?

Także wojskowe, bo jednostka będzie miała sprzęt i uzbrojenie. Pojawienie się u nas amerykańskich żołnierzy jest sygnałem dla Rosji, że nie może dyktować NATO swo-

ich warunków. Gdyby Ameryka nie przysłała żołnierzy, mogłoby się stać groźnie. Rezygnacja z tarczy antyrakietowej w Polsce była sygnałem dla Rosji, że jej sprzeciw ma znaczenie. Obecnie Putin stawia niewykonalny warunek, że zgodzi się na utylizację plutonu, jeśli NATO wycofa swoje wojska do stanu sprzed rozszerzenia. To pokazuje, że militarna obecność USA we wschodniej Europie jest dla Moskwy politycznym wyzwaniem.

Czy w obliczu zagrożeń ze Wschodu Polska może czuć się bezpiecznie?

Analitycy zajmujący się Wschodem są przekonani, że dojdzie do interwencji zbrojnej Rosji, która w ten sposób udowodni, że Zachód jest bezsilny. Będzie dużo gadania i na tym się skończy. Gdyby Trump został prezydentem, a Moskwa zdecydowała się wkroczyć np. do Estonii, nie wyobrażam sobie, aby podjął on decyzję o zaangażowaniu amerykańskich wojsk. Uważam, że mamy powody do obaw. Artykuł 5 traktatu waszyngtońskiego, zgodnie z którym atak na jeden kraj stanowi atak na wszystkich członków NATO, nie działa automatycznie. Mówi on o tym, że państwa członkowskie podejmą takie kroki, jakie uznają za właściwe, z działaniami militarnymi włącznie. Ktoś z doradców Trumpa powiedział mi: „Macie problem z Putinem, to go rozwiążcie. Skoro go nie rozwiązujecie, to macie problem z Putinem. To nie jest nasz problem”. Hillary Clinton tak nie powie, ale nie wiadomo, czy tak nie robi. Ona lepiej rozumie, czym długofalowo grozi niespełnienie zobowiązań sojuszniczych.

Musimy sobie wyraźnie powiedzieć: jeśli nadejdzie zagrożenie ze Wschodu, to Zachód nam nie pomoże. Nie wkroczą nagle wojska francuskie, żeby nam pomóc. A czy chcemy, aby pomagały nam wojska niemieckie? Gdy w dyskusji zarzuciłem niedawno analitykowi niemieckiemu, że jego kraj zbyt mało wydaje na obronę, zapytał, czy jestem pewien, że spotkałoby się to w Polsce ze zrozumieniem. Nie możemy czuć się bezpiecznie, co oczywiście nie oznacza, że nastąpi kataklizm. Z drugiej strony, katastrofa rzadko przychodzi zapowiadana. Na przykład w 1933 czy 1934 roku Europejczycy też czuli się bezpiecznie.

To pesymistyczna konkluzja.

Realistyczna. Trzeba być przygotowanym, że może dojść do konfliktu. ■

Prof. ZBIGNIEW H. LEWICKI jest politologiem, amerykanistą, profesorem Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Wydaje wielotomową „Historię cywilizacji amerykańskiej”; ostatnio opublikował „Igrzyska demokracji” – o amerykańskiej kulturze wyborów.

TOMASZ OTŁOWSKI

Beneficjenci anarchii

Pięć lat po obaleniu dyktatury Kaddafiego i zaprowadzeniu „demokracji” Libia jest jednym z najbardziej zdestabilizowanych państw Afryki.

Tylko koszmar syryjski po prawie sześciu latach od wybuchu serii rewolt i wojen domowych na Bliskim Wschodzie przykuwa na stałe uwagę możliwych tego świata, chociaż krew leje się codziennie także w innych miejscach regionu. Wobec zaabsorbowania wydarzeniami w Syrii nikną sprawy dziejące się w innych częściach regionu bliskowschodniego, równie ważne dla przyszłości świata. Na tym tle wyróżnia się jedynie sytuacja w Libii. Wynika to z faktu, że ten północnoafrykański kraj – a raczej to, co z niego zostało po upadku w 2011 roku reżimu Muammara Kaddafiego i trwającej niemal nieprzerwanie od tamtego czasu wojnie domowej – jest największym w całym Maghrebie ośrodkiem przemytu nielegalnych migrantów do Europy. Ponadto Libia stanowi dziś główne północnoafrykańskie centrum aktywności dżihadystów, zwłaszcza zamorskich prowincji Państwa Islamskiego (IS).

TYPY SPOD CIEMNEJ GWIAZDY

Pięć lat po obaleniu dyktatury Kaddafiego i zaprowadzeniu „demokracji” Libia jest jednym z najbardziej zdestabilizowanych państw Afryki (obok m.in. Sudanu Południowego, Mali czy Somalii). Mimo formalnych uzgodnień pokojowych, podjętych przed niemal rokiem pod auspicjami ONZ, wciąż jest podzielona na dwa wrogie obozy polityczne z odrębnymi rządami, rezydującymi w Tobruku i Trypolisie. Kraj jest targany też wieloma konfliktami etnicznymi, plemiennymi i wyznaniowymi, które – brutalnie przez lata tłumione za czasów Libijskiej Dżamahiriji Ludowej – po 2011 roku odżyły ze zdwojoną siłą. Tuż po zwycięstwie rewolucji Libia faktycznie przekształ-



ciła się w typowe państwo upadłe. Brak skutecznej władzy centralnej szybko zrodził anarchię. Tę sytuację wykorzystują zarówno dżihadyści z Al-Kaidy i IS, jak i różnego typu organizacje oraz struktury przestępcze, dla których najważniejszym źródłem dochodów stopniowo staje się przemyt nielegalnych migrantów do Europy. Zresztą często aktywność tych grup, zwłaszcza parających się przemytem żywego towaru, ściśle przenika się z działalnością struktur dżihadystycznych. Wszystko to tworzy skomplikowaną sieć powiązań różnego typu ludzi spod ciemnej gwiazdy. W takich realiach władzę ma ten, kto dysponuje większą „armią”, a jedynym prawem jest przemoc. Taka sytuacja jest groźna dla całej Afryki Północnej i Subsaharyjskiej.

Rosnący napływ imigrantów z Afryki Północnej do Włoch czy Hiszpanii sprawił, że w końcu Zachód na po-



Zachodniej demokracji nie da się odgórnie zadekretować w obcym kulturowo środowisku, a przypadek Libii jest tylko tego kolejnym potwierdzeniem. Na zdjęciu scena uliczna w libijskim mieście Zawia, o które w 2011 roku toczyły się ciężkie walki między rebeliantami a siłami reżimu Muammara Kaddafiego.

ne uregulowanie sytuacji w Libii – które dawałoby jakieś nadzieje na ukrócenie procederu przemytniczego – wydają się wciąż odległe. Niewiele, jak na razie, zmienia tu fakt powstania w Libii, pod egidą ONZ, tzw. rządu porozumienia narodowego, kierowanego przez premiera Fajiza as-Sarradża. Rozmowy pokojowe z udziałem tego gabinetu, cieszącego się pełnym poparciem społeczności międzynarodowej, nie doprowadziły do tej pory do sukcesu. Na wschodzie kraju, w Tobruku, wciąż urzęduje, nieuznawany już przez większość świata, rząd z parlamentem wyłonionym dwa lata temu w wolnych i demokratycznych, jak na standardy kraju w stanie wojny, wyborach powszechnych. Państwo jest podzielone niemal równo na pół między oba rywalizujące ośrodki polityczne, a na tej sytuacji korzystają nie tylko islamiści z IS czy z Al-Kaidy, lecz także wiele lokalnych etnicznych milicji i ugrupowań, głównie wywodzących się z Tuaregów i Berberów.

Pozycję polityczną obu libijskich rządów umacnia to, że dysponują one w terenie realną, i to niemałą, siłą militarną. Gabinet z Tobruku cieszy się poparciem silnej (około 40 tys. ludzi) i dobrze wyszkolonej libijskiej armii narodowej, dowodzonej przez charyzmatycznego i wpływowego gen. Khalifa Haftara. Z kolei rząd „jedności narodowej” uzyskał poparcie państw zachodnich – nie tylko w postaci sprzętu, broni i amunicji, lecz także bezpośredniej pomocy sił specjalnych z USA, Francji i Włoch.

Narastające w ostatnich miesiącach zaangażowanie mocarstw i państw ościennych może zresztą okazać się dla Libii kolejnym elementem poważnie komplikującym sytuację wewnętrzną. Rosnące zainteresowanie przebiegiem wydarzeń w tym kraju, podobnie jak w Syrii czy Jemenie, grozi umiędzynarodowieniem przedłużającego się konfliktu. A jeśli tak się stanie, perspektywy uregulowania kwestii libijskiej znacznie się skurczą i ryzyko rozłania się wojny na cały – i tak mało stabilny – region Afryki Północnej znacznie wzrośnie.

Jak na razie stan głębokiego politycznego kryzysu w Libii potęguje też rola, jaką kraj ten ponownie zaczął odgrywać w regionie, czyli głównego punktu przerzutu emigrantów do Europy. W tym kontekście zagrożenia wynikające z panującego w kraju chaosu polegają przede wszystkim na masowym napływie nielegalnych imigrantów, którzy właśnie przez Libię szturmują miękkie podbrzusze Europy, czyli jej południowe kraje położone w basenie Morza Śródziemnego. W przeciwieństwie do Syrii, która →

ważnie zainteresował się tym, co dzieje się w Libii. I nic dziwnego, skoro same tylko Włochy w ciągu dziewięciu miesięcy 2016 roku przyjęły aż 132 tys. imigrantów głównie z Libii (dane z końca września). Dla porównania – w całym 2015 roku w ten sposób do Włoch dotarło ponad 150 tys. osób (według oficjalnych informacji władz włoskich). Kwestia ta nabiera zatem dla Rzymu fundamentalnego znaczenia w sensie politycznym, społecznym i ekonomicznym, zwłaszcza w obliczu wyraźnie narastającego paraliżu decyzyjnego w ramach Unii Europejskiej co do dalszego kierunku działań wobec kryzysu uchodźczego.

DEMOKRACJA PO LIBIJSKU

Perspektywy, nie tylko zresztą dla Włoch, są zaś więcej niż pesymistyczne. Szanse na ostateczne i trwałe politycz-

LIBIA JEST SWOISTYM PUNKTEM TRANZYTOWYM DLA SETEK TYSIĘCY LUDZI, POCHODZĄCYCH GŁÓWNIE Z AFRYKI SUBSAHARYJSKIEJ I WSCHODNIEJ

jest największym „eksporterem” uchodźców i migrantów w regionie bliskowschodnim – Libia jest jednak wyłącznie swoistym punktem tranzytowym dla setek tysięcy ludzi, pochodzących głównie z Afryki Subsaharyjskiej i Wschodniej. Co ciekawe, sami obywatele Libii prawie w ogóle nie emigrują do Europy, są jednak bez wątpienia największymi beneficjentami procederu przemytu ludzi. W tę aktywność są bowiem zaangażowane bez mała wszystkie strony libijskiej wojny domowej, w tym również formacje podporządkowane obu zwalczającym się rządóm. Niestety, wiele wskazuje na to, że utrzymywanie stanu anarchii w kraju jest na rękę poszczególnym ugrupowaniom i ośrodkom władzy, bo taka sytuacja pozwala na kontynuowanie intratnego przemytu nie tylko ludzi, lecz także narkotyków, papierosów czy broni do Europy. Według części źródeł, ten „biznes” może przynosić nawet 10% PKB Libii.

Reakcje Zachodu na szybko rosnące zagrożenia i wyzwania z terytorium tego państwa są jednak mocno spóźnione i też ograniczone, a tym samym – mało skuteczne. Jednoznaczne i bezwarunkowe udzielenie przez USA i Europę poparcia politycznego rządowi porozumienia narodowego, który jednak nie ma mandatu z powszechnych, wolnych i demokratycznych wyborów, tak jak jego rywal z Tobruku, od razu ustawiło Zachód w roli już nie arbitra czy rozjemcy w sporach libijskich, lecz jednej ze stron. I to tej niekoniecznie odpowiadającej standardom politycznym głoszonym wszem i wobec przez państwa zachodnie.

PRZECIĄĆ WEZŁ GORDYJSKI

W takich realiach, niestety, pozostaje już zatem wyłącznie podążanie za tokiem wydarzeń i bierne reagowanie na bieg spraw w Libii (a szerzej – w całym Maghrebie, Sahelu i Afryce Subsaharyjskiej, czego przykładem może być choćby polityka Zachodu wobec sytuacji w Mali). Niewiele w tej kwestii zmieniają też postanowienia niedawnego szczytu NATO w Warszawie odnoszące się do zwalczania zagrożeń dla sojuszu na jego południowej flance. Choć przedstawiane jako przełomowe, w istocie nie ma jednak zbyt dużych szans na to, by w jakikolwiek sposób poprawiły pogarszającą się sytuację dotyczącą bezpieczeństwa w całym regionie Mare Nostrum.

Sojusznicy zdecydowali m.in. o tym, że w Tunezji zostanie utworzone centrum wywiadowcze NATO, którego celem ma być ogólnie sformułowane przeciwdziałanie siłom ekstremistycznym. To oczywiście próba wzmocnienia współpracy z partnerami z Maghrebu w dziedzinie zwalczania terroryzmu i przeniesienia jej na szczebel nатовski. Dotychczas bowiem aktywność tego typu była

podejmowana na południowej flance głównie na poziomie narodowym (Francja, Włochy, Hiszpania). Ta inicjatywa ma formalnie kluczowe znaczenie w przeciwdziałaniu zagrożeniom, które niesie niestabilność wielu państw Afryki Północnej i regionu Sahelu, minie jednak wiele lat, zanim

zostanie przekuta w konkretne działania.

Kolejna ze znaczących decyzji warszawskiego szczytu NATO, odnoszących się do kwestii bezpieczeństwa południowej flanki sojuszu, dotyczy już bezpośrednio zagrożeń wywoływanych m.in. przez anarchię w Libii. Zapowiedź wsparcia ze strony sojuszu dla misji wojskowej Unii Europejskiej o kryptonimie „Sophia” i powołanie nowej operacji morskiej „Sea Guardian” – choć przedstawiane jako ważne działania natury ściśle wojskowej – to w istocie jednak bardziej deklaracje polityczne niż konkretne zapowiedzi militarne. Siły i środki wielu państw NATO, w większości będących przecież równocześnie członkami Unii Europejskiej, są już wszakże zaangażowane w tę pierwszą operację. Tym samym ewentualna rola sojuszu w jej wzmocnieniu będzie zapewne polegać albo na udostępnieniu kolejnych morskich zasobów militarnych, albo – co chyba wydaje się bardziej realne i rozsądniejsze – na wsparciu w dziedzinie wywiadu oraz operacyjnego rozpoznania. „Sophia” wzbudza jednak wiele kontrowersji przez niezwykle niską efektywność. W ciągu roku działania nie przyczyniła się do realizacji pokładanych w niej nadziei, zamieniając się w zwykłą, choć kosztowną akcję humanitarną: siły i środki morskie państw zachodnich, zamiast skupiać się na walce z przemytnikami i realnej ochronie granic morskich południa UE, zajmują się głównie ratowaniem imigrantów z tonących na pełnym morzu łodzi płynących ku Europie.

Zachód, po ponad pięciu latach trwania konfliktu w Libii, wciąż nie ma pomysłu na to, jak podejść do kwestii libijskiej, o jej rozwiązaniu już nawet nie wspominając. Mści się tu nie tylko pochopne i nieprzemyślane zaangażowanie militarne kilku kluczowych państw europejskich po stronie libijskiej „rewolucji demokratycznej” wiosną 2011 roku. Przyczyną problemów Zachodu w kontekście Libii jest też strategia oparta na fałszywym założeniu, że w regionach i krajach należących do kręgu cywilizacji islamu da się łatwo przeszczepić rozwiązania ustrojowe, prawno-administracyjne, polityczne i społeczno-ekonomiczne wypracowane (przez wieki!) na Zachodzie. Niestety, zachodniej demokracji i jej realiów nie da się odgórnie zadekretować w obcym kulturowo środowisku, a przypadek Libii jest tylko tego kolejnym potwierdzeniem. ■



VI BOŻONARODZENIOWA PACZKA DLA BOHATERA

WALCZYLI DLA NAS, ZAWALCZMY DLA NICH !

Zbiórka żywności i artykułów chemicznych dla kombatantów

11 LISTOPADA - 17 GRUDNIA 2016

facebook.com/PaczkaDlaBohatera

SZCZECIN, WARSZAWA, GDAŃSK, KRAKÓW, POZNAN, GNIEZNO, BYDGOSZCZ, RADOM, CZAPLINEK, SANOK
DARŁOWO, KOSZALIN, SŁUPSK, ZAMOŚĆ, PISZ, MIĘDZYRZECZ, SIEDLCE, POŁKOWICE, JĘDRZEJÓW
ZIELONA GÓRA, SULECHÓW, ŁOCHÓW, LONDYN, TELFORD, NOTTINGHAM, ESSEN, HUDDERSFIELD WEST YORKSHIRE



AGENCJA
MIENIA WOJSKOWEGO



RAFAŁ CIASTOŃ

Próby siły

Już po raz piąty północnokoreański reżim przeprowadził test nuklearny. Ten, w przeciwieństwie do poprzednich, świadczy o znaczącym postępie w tej dziedzinie.

Rok 2016 na Półwyspie Koreańskim upływa pod znakiem najrozmaitszych testów autorstwa Pjongjangu. W lutym dokonano drugiego udanego wyniesienia na orbitę satelity rodziny Kwangmyongsong (pierwsze miało miejsce w grudniu 2012 roku), co jednoznacznie interpretowano jako próbę wystrzelenia pocisku międzykontynentalnego. Między kwietniem a czerwcem sześciokrotnie sprawdzano pocisk balistyczny pośredniego zasięgu Musudan, między zaś kwietniem a sierpniem – trzykrotnie, przeznaczony dla okrętów podwodnych, pocisk KN-11. W styczniu i we wrześniu przeprowadzono dwa testy jądrowe, przy czym pierwszy z nich został ogłoszony jako test ładunku wodorowego. Kolejna próba nuklearna może być przygotowywana. Wyraźnie widać, że programy balistyczne i jądrowe Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej odnotowują znaczące przyspieszenie. Z czego może ono wynikać, przede wszystkim jednak, czym skutkować?

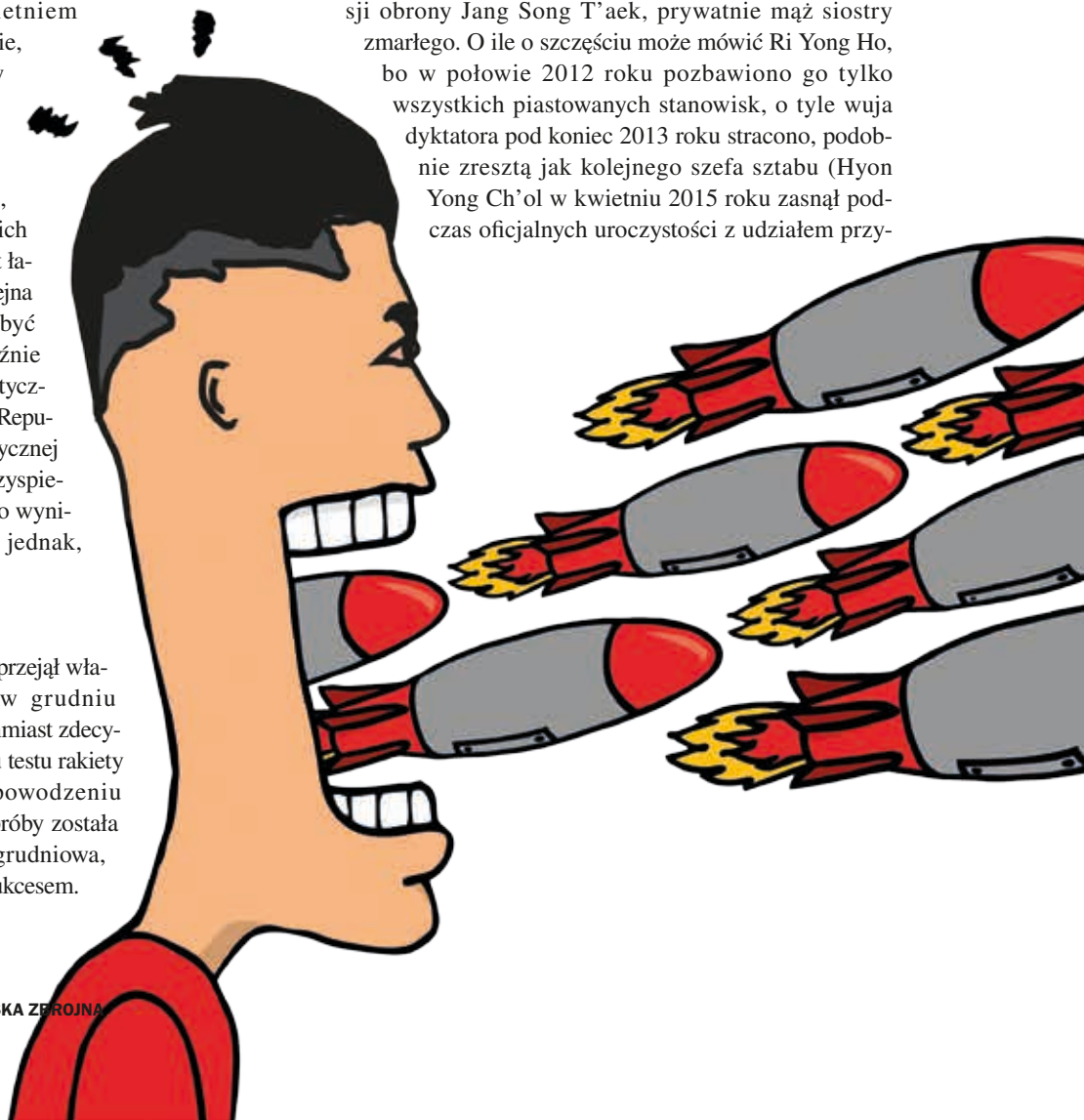
PK/DZIAŁ GRAFICZNY, CURVABEZIER/FOTOLIA,

MOCNE WEJŚCIE

Kim Dzong Un, który przejął władzę po śmierci ojca w grudniu 2011 roku, niemal natychmiast zdecydował o przeprowadzeniu testu rakiety nośnej Unha. Po niepowodzeniu pierwszej, kwietniowej próby została przygotowana kolejna, grudniowa, tym razem zakończona sukcesem.

W lutym 2013 roku przeprowadzono także test nuklearny. Wydaje się, że trzeci w dynastii Kimów uznał, iż zapewni mu to mocne wejście w rolę przywódcy. Podobnie jak natychmiastowe czystki personalne – młody dyktator szybko bowiem rozprawił się z prominentnymi postaciami reżimu.

Na pogrzebie Kim Dzong Ila zachodnie media spekulowały o swoistym triumwiracie, jaki mieli tworzyć Kim Dzong Un, szef sztabu generalnego marszałek Ri Yong Ho oraz wiceprzewodniczący narodowej komisji obrony Jang Song T'aek, prywatnie mąż siostry zmarłego. O ile o szczęściu może mówić Ri Yong Ho, bo w połowie 2012 roku pozbawiono go tylko wszystkich piastowanych stanowisk, o tyle wuj dyktatora pod koniec 2013 roku stracono, podobnie zresztą jak kolejnego szefa sztabu (Hyon Yong Ch'ol w kwietniu 2015 roku zasnął podczas oficjalnych uroczystości z udziałem przy-



wódcy). Nie do końca znany jest los jego następcy – w lutym 2016 roku media donosiły o egzekucji Ri Yong-gila, jednak kilka miesięcy później podobno ktoś go widział i powoływano się na niego w komunikacie Koreańskiej Centralnej Agencji Prasowej. Czystki dosięgły także wielu mniej prominentnych przedstawicieli aparatu partyjnego i armii, m.in. wicepremiera i ministrów (do połowy 2015 roku stracono około 70 oficjeli).

Równocześnie co jakiś czas Pjongjang odpalał pociski balistyczne rodziny Scud i Rodong, prezentował IRBM Musudan i ICBM KN-08, a od 2014 roku przeprowadzał także testy SLBM KN-11. Przede wszystkim jednak kontynuował prace nad raketami nośnymi, pociskami międzykontynentalnymi i bronią jądrową. Zapewne nie testowano ich z dwóch powodów. Po pierwsze (odnosi się to szczególnie do rakiet Unha), musiała istnieć obawa, że jedna udana próba nie świadczyłaby o postępie, a jedynie o łacie szczęścia. Po drugie zaś, nie świadczyłby o nim także kolejny udany test o tym samym charakterze czy też, w wypadku ładunku nuklearnego, tej samej mocy.

ODPOWIEDŹ SEULU

Po kilku latach przyszedł zatem czas na kolejne próby najbardziej newralgicznych dla reżimu systemów i rodzajów uzbrojenia. Lutowe wy-

DZIAŁAŃ PROWOKACYJNYCH PJONGJANGU NIE UDA SIĘ ZASTOPOWAĆ ZA POMOCĄ SANKCJI GOSPODARCZYCH

ryzacji ładunku, a być może także niewielkiemu zwiększeniu jego mocy.

Wrześniowa próba była natomiast najsilniejsza z dotychczasowych. Choć moc ładunku nie została jednoznacznie określona, a wskazania wahają się od około 10 do ponad 20 kt, to widać wyraźnie, że Północ w ostatnich miesiącach dokonała znaczących postępów w dziedzinie nuklearnej. Co więcej, zapewnienia o miniaturyzacji pocisku również brzmią bardziej wiarygodnie niż dotychczas, a to oznacza, że nuklearny koszmar północnokoreański wkrótce może stać się faktem. Nawet jeśli nie będą to głowice pocisków międzykontynentalnych, co teraz jest mało prawdopodobne, to sytuacja bezpieczeństwa w regionie dramatycznie się zmieni.

Prowokacyjnych działań Pjongjangu nie uda się zastopować za pomocą sankcji gospodarczych. Coraz wyraźniej widać bowiem, że nie są one adekwatnym środkiem odwetu. Pożądanego efektu nie wywołują również amerykańsko-południowokoreańskie manewry. Można się zatem spodziewać, że podejmowane w odpowiedzi kolejne kroki mogą mieć wymiar strictly militarny. Jeden został już ogłoszony – chodzi o decyzję dotyczącą rozmieszczenia w 2017 roku na terytorium Republiki Korei baterii amerykańskich antyrakiet systemu THAAD.

Zgoda na THAAD-y nie była łatwa ani dla rządzącej Partii Sae-nuri, ani dla samej prezydent Park Guen-hye. Na takie posunięcie nie zgadzała się nie tylko opozycja, lecz także część mieszkańców, zwłaszcza w Seongju, czyli w rejonie planowanego umiejscowienia systemu (obawy dotyczące promieniowania wywołanego przez wchodzący w skład baterii radar AN/TPY-2). Bardziej istotne są jednak reperkusje międzynarodowe, a tu najbardziej słyszalny jest sprzeciw Chin. AN/TPY-2 może bowiem pracować w dwóch trybach – jako radar wykrywania i naprowadzania w baterii oraz jako wysunięty sensor systemu Missile Defense. O ile w pierwszym trybie jego zasięg wynosi około 800 km, o tyle w drugim najprawdopodobniej 2 tys. km, a to oznacza, że obejmuje on znaczącą część ChRL, od Harbinu na północy, po rejon Cieśniny Tajwańskiej na południu. Rekonfiguracja radaru zajmuje jedynie kilka godzin, więc Chińczycy obawiają się, że północnokoreańskie rakiety to jedynie listek figowy, ➔

niesienie satelity na orbitę przeszło bez większego echa, bo uwaga agencji informacyjnych wciąż była skupiona na wcześniejszym teście jądrowym i spekulacjach, co może oznaczać używany w tym kontekście termin „wodorowy”.

Najwyraźniej dla Korei Północnej nie jest on bowiem tożsamy z terminem „termonuklearny”. Niewielka moc ładunku nasuwa jednak przypuszczenia, że użyty wówczas izotop wodoru prawdopodobnie nie służył wywołaniu reakcji syntezy tego pierwiastka, a w konsekwencji eksplozji termojądrowej, lecz jedynie miniatu-



który ma maskować faktyczny cel umieszczenia systemu na Półwyspie Koreańskim. W tamtejszych mediach pojawiają się sugestie, że Pekin w ramach odwetu powinien złagodzić przynajmniej część sankcji wobec KRL-D. Istnieje także ryzyko pogorszenia relacji gospodarczych z Koreą Południową. Zatem THAAD stanowi problem w relacjach nie tylko chińsko-południowokoreańskich, lecz przede wszystkim chińsko-amerykańskich. I wiele wskazuje na to, że w perspektywie najbliższych miesięcy może to być druga, po Morzu Południowochińskim, główna oś sporu w regionie.

POCISKI NA FALI

W odpowiedzi na kolejne testy Pjongjangu, a także nieustanne zapewnienia o możliwości zmiany Seulu w morze ognia, Korea Południowa ujawniła plan reagowania w wypadku pozyskania wiarygodnych informacji o przygotowaniach Północy do przeprowadzenia ataku nuklearnego. Zakłada on m.in. fizyczną eliminację komunistycznych przywódców przez południowokoreańskie wojska specjalne oraz atak wyprzedzający z użyciem pocisków balistycznych rodziny Hyunmoo, m.in. na północnokoreańską stolicę, która, według anonimowych źródeł ministerstwa obrony cytowanych przez agencję Yonhap, miałaby zostać „wymazana z map”. Tego rodzaju retoryka nie była dotychczas na porządku dziennym, co wydaje się świadczyć o tym, że Seul traktuje nuklearne zagrożenie coraz bardziej realne.

Kolejnym sukcesem KRL-D był sierpniowy start SLBM KN-11. O ile podczas wcześniejszych prób pocisk przelatował od kilkuset metrów do około 30 km, o tyle tym razem miejsce startu dzieliło od miejsca lądowania niemal 500 km, a kąt, pod jakim został wystrzelony, pozwala sądzić, że ten dystans mógłby zostać jeszcze wydłużony. Wprawdzie Północ nie ma jeszcze okrętów podwodnych zdolnych do przenoszenia tych pocisków, bo testowa jednostka jest wyposażona jedynie w jedną wyrzutnię i, według ocen zachodnich ekspertów, może pozostawać w zanurzeniu tylko kilka godzin, to mimo wszystko poziom zagrożenia wzrasta również w tej dziedzinie.

Według japońskiego dziennika „Tokyo Shimbun” Kim Dzong Un miał nakazać zbudowanie do roku 2018 jednostki o wyporności 2 tys. t, przenoszącej dwa lub trzy pociski balistyczne, serwis 38 North podał natomiast, że w stoczni w Sinpo rozpoczęto już budowę okrętu podwodnego większego niż doświadczalny typu Gorae. Na reakcję południowokoreańskich polityków nie trzeba było długo czekać – 21 parlamentarzystów Partii Saenuri wezwało rząd do rozpoczęcia budowy nuklearnych uderzeniowych okrętów podwodnych (SSN), bo w ich ocenie tylko takie jednostki w przyszłości będą mogły efektyw-

nie monitorować zagrożenie, jakie stanowią okręty północnokoreańskie. Ministerstwo obrony wprawdzie szybko zapewniło, że taka opcja nie jest brana pod uwagę, należy się jednak spodziewać, że ta kwestia będzie wracać za każdym razem, gdy pojawią się kolejne doniesienia na temat postępów Pjongjangu w tej dziedzinie.

Dla Seulu decyzja o wprowadzeniu jednostek tej klasy musiałaby się wiązać z uzyskaniem przynajmniej milczącej zgody Waszyngtonu. Oznaczałaby także nieporównywalnie większy sprzeciw ze strony Chin niż w kwestii THAAD. Co więcej, w takiej sytuacji prawdopodobnie na podobny krok zdecydowałoby się Tokio. Nic zatem dziwnego, że z rezerwą podchodzi się do tej decyzji. Czy jednak nic się nie zmienia, gdy gotowość operacyjną uzyskają nawet prymitywne, uzbrojone w pociski balistyczne, okręty Północy?

Na razie pytanie to pozostaje otwarte, ale warto pamiętać, że w latach 2028–2030 liczba amerykańskich SSN zmniejszy się z 52 sztuk do 41–42, by do uznawanego za optymalny poziomu 48 jednostek wrócić w roku 2037 i, po wycofaniu kolejnego okrętu w następnym roku, osiągnąć poziom 49 dopiero w 2042 roku. Jeśli jednak Seul zacznie się obawiać, że amerykańskie SSN nie zawsze będą dostępne w tym regionie, to pokusa pozyskania własnych zdolności w tej dziedzinie może wzrosnąć.

NIEPOKOJĄCE PERSPEKTYWY

W ciągu najbliższych kilku-, kilkunastu miesięcy Pjongjang będzie kontynuował testy przynajmniej dwóch typów pocisków balistycznych, tj. musudana i KN-11. Możliwe bowiem, że przełom przybliżający termin uzyskania przez nie statusu gotowości operacyjnej, nawet jeśli nie ma okrętu nosiciela, już nastąpił. Nie byłoby zapewne wielkim zaskoczeniem, gdyby ten cel został osiągnięty w perspektywie dwóch, trzech lat.

Ogłoszony w sierpniu plan wysłania misji załogowej na Księżyc (!) oznacza także, że nieuniknione są kolejne starty raket nośnych, choć w tym wypadku dynamika prac będzie zapewne mniejsza. Niestety, tego samego nie można powiedzieć o programie nuklearnym, gdyż doniesienia o przygotowaniach kolejnej próby są bardzo wiarygodne, nawet jeśli nie zostanie ona przeprowadzona tak szybko po poprzedniej, jak miało to miejsce z ostatnią.

Znaczący wpływ na dalszy rozwój sytuacji może też mieć stanowisko Chin. Nie chodzi tu jednak o przecenianą chyba często zdolność Pekinu do hamowania poczynąń Północy, „enfant terrible” regionu, lecz o reakcję na rozmieszczenie baterii THAAD. Jeśli faktycznie nastąpi jakiegokolwiek złagodzenie choćby części sankcji, reżim postrzeka to jako sukces swej polityki, który uczci kolejnymi próbami... ■

PATRONAT POLSKI ZBROJNEJ



TRIADA BIEGOWA
ZABIEGAJ O PAMIĘĆ



28. BIEG
NIEPODLEGŁOŚCI



11.11.2016
Warszawa
godz. 11:11
10 km

www.aktywnawarszawa.waw.pl

ORGANIZATOR: PARTNER STRATEGICZNY: SPONSOR TECHNICZNY: PARTNER MEDYCZNY: SPONSOR GŁÓWNY: OFICJALNA WODA: SPONSOR: PATRON HONOROWY:



PARTNERZY:



VETËVENDOSJE

ROBERT SENDEK

Wojna o pastwiska

Kosowo i Czarnogóra stoją na krawędzi wojny. Tak przynajmniej twierdzą radykalni politycy kosowscy, którzy nie chcą dopuścić do ratyfikacji w parlamencie umowy granicznej z Czarnogórą.

Ostatnio w regionalnej prasie często pojawiały się wzmianki o groźbie wybuchu wojny między Kosowem i Czarnogórą. Takie ostrzeżenia pod koniec sierpnia padały ze strony przedstawicieli Albańskiej Armii Narodowej (AAN), parawojkowego ugrupowania działającego w Kosowie, Macedonii i południowej Serbii. W ich wypowiedziach znalazły się także pogrożki pod adresem tych deputowanych, którzy odważyliby się głosować w parlamencie za przyjęciem granicy ustalonej przez międzynarodową komisję. Dość szybko taką wojenną retorykę podchwycili politycy opozycyjnej wobec kosowskiego rządu nacjonalistycznej partii Vetëvendosje (Samostanowienie). Albin Kurti, jej założyciel, a obecnie deputowany w kosowskim parlamencie, w połowie września zagroził, że spór graniczny z Czarnogórą w ciągu pięciu najbliższych lat może doprowadzić do wojny.

PRZYJACIELE NA WOJENNEJ ŚCIEŻCE

Zarówno Czarnogóra, jak i Kosowo należą do najmłodszych państw w Europie; pierwsze z nich ogłosiło niepodległość w 2006 roku, a drugie – zaledwie dwa lata później. Czarnogóra ma wiele wspólnego z sąsiednią Serbią – historię, język, tradycje (wystarczy przypomnieć, że do narodowości serbskiej przyznaje się w spisach powszechnych niemal jedna trzecia mieszkańców tego kraju). Mimo sympatii do Serbów, Czarnogóra prowadzi jednak

własną, bardzo pragmatyczną politykę zagraniczną, ukierunkowaną przede wszystkim na realizowanie konkretnych planów, w tym priorytetowych, takich jak członkostwo w Unii Europejskiej i NATO. Z tego właśnie powodu uznała państwowość Kosowa wprowadzić z pewnym opóźnieniem, ale jednak szybko, bo już osiem miesięcy po proklamacji przez ten kraj niepodległości. W sąsiedniej Serbii odebrano to niemal jak akt zdrady ze strony najbliższego sojusznika.

Kontakty kosowsko-czarnogórskie właściwie od początku były nie najgorsze. Na wspólnych spotkaniach politycy obu stron chętnie i często sięgali po wielkie słowa o przyjaźni narodów Czarnogóry i Kosowa czy wspólnej wizji przyszłości w związku z ewentualnym członkostwem w NATO i UE. W styczniu 2015 roku, podczas wizyty w Podgoricy, wicepremier Kosowa Hashim Thaçi pozwolił sobie nawet na stwierdzenie, że wzajemne stosunki kosowsko-czarnogórskie są tak dobre, iż mogą służyć w regionie jako wzór.

Wśród spraw, którymi politycy obu krajów zajęli się niemal od razu, znalazła się także kwestia uregulowania przebiegu granicy czarnogórsko-kosowskiej. W tym celu już od 2009 roku odbywały się dwustronne konsultacje, a trzy lata później obie strony powołały specjalne komisje, które miały się zająć jej wyznaczeniem. Te prace prowadzono w porozumieniu z konsultantami z Unii Europejskiej oraz NATO i według natowskich map. Efektem było



wykreślenie linii granicznej, którą akceptowali członkowie komisji obu stron.

Formalnym zakończeniem tego etapu prac było podpisanie 26 sierpnia 2015 roku międzyrządowego porozumienia, ale do jego wejścia w życie była potrzebna ratyfikacja przez parlamenty obydwu zainteresowanych państw. I o ile ten czarnogórski przegłosował przyjęcie umowy już w grudniu 2015 roku, o tyle kosowski, mimo wyznaczania kolejnych terminów głosowania, nie zrobił tego do dzisiaj. Powodem jest wyjątkowo mocny i, jak się okazuje, bardzo skuteczny sprzeciw opozycji parlamentarnej. Partia Vetëvendosje, mająca w liczącym 120 miejsc parlamencie zaledwie 17 posłów, w podgrzewaniu sporu wyczuła szansę dla siebie.

GAZ W PARLAMENCIE

W republice parlamentarnej, a za taką chce uchodzić Kosowo, różnice poglądów powinny znaleźć wyraz w debacie przeprowadzanej w zgromadzeniu narodowym. Tymczasem partia Vetëvendosje specjalizuje się w blokowaniu prac parlamentu oraz w działalności jawnie antysystemowej. Sposoby, po jakie sięgają kosowscy przeciwnicy demarkacji granicy z Czarnogórą, by zablokować debatę i niewygodne dla siebie głosowania w parlamencie,



ALBIN KURTI, założyciel partii Vetëvendosje zagroził, że spór graniczny z Czarnogórą może doprowadzić do wojny w ciągu najbliższych pięciu lat.

są tyleż proste, co skuteczne, a przy tym wydają się bardzo atrakcyjne dla mediów. Niewykluczone zresztą, że to główny cel tej partii: robić możliwie wiele szumu wokół siebie po to, by podważać porządek w istniejącym układzie sił i zdobywać punkty u potencjalnych wyborców.

W proteście przeciwko podpisaniu w Wiedniu umowy o granicy z Czarnogórą grupa posłów z partii Vetëvendosje rozpyliła w kosowskim parlamencie gaz łzawiący, argumentując, że umowa ta jest równoznaczna z pozbyciem się przez Kosowo kawałka terytorium. Międzynarodowa komisja, powołana przez ówczesną prezydent Arifete Jahjagę, nie potwierdziła zarzutów opozycji i stwierdziła, że proces demarkacji granicy przebiegł prawidłowo. Takiej opinii członkowie Vetëvendosje nie przyjęli jednak do wiadomości. Dla działaczy tej partii balansowanie na granicy prawa bądź nawet jej przekraczanie to swoisty znak rozpoznawczy. ➔



ARMENED NIMANI / EUROPEAN UNION

Unia Europejska obiecuje liberalizację wizową dla obywateli Kosowa w zamian za zawarcie umowy granicznej z Czarnogórą. Na zdjęciu Federica Mogherini, wysoki przedstawiciel Unii do spraw zagranicznych i polityki bezpieczeństwa wita się z premierem Isa Mustafą w kosowskim parlamencie.

Sięgali oni po gaz niemal przy każdej możliwej okazji, blokując w ten sposób debatę także nad innym ważnym dla przyszłości Kosowa problemem, czyli kwestię autonomii dla mieszkających w nim Serbów.

Kontrowersyjna partia podejmuje także bardziej spektakularne inicjatywy. Gdy w czerwcu parlament Kosowa przyjął projekt rezolucji w sprawie demarkacji granicy, grupa deputowanych opozycyjnych weszła na teren Czarnogóry i w świetle kamer ustawiła flagę Kosowa oraz tablice graniczne. Rząd czarnogórski wysłał do Prisztiny noty protestacyjne i usunął tablice, a wkrótce nakazał wojsku pilnować newralgicznego obszaru, zachowując jednak spokój, by nie doprowadzić do eskalacji konfliktu.

Prowokacje zaczęły się jednak powtarzać. Na początku sierpnia budynek parlamentu kosowskiego został ostrzelany z granatnika, a kilka dni później na balkon przewodniczącego Państwowej Komisji Demarkacyjnej, Murata Mehy, ktoś podrzucił granat. Z kolei pod koniec miesiąca niedaleko domu Mentora Shali, szefa RTK, publicznego nadawcy telewizyjnego w Kosowie, wybuchła bomba. Niewiele pomaga także zachęta ze strony Unii Europejskiej, która w zamian za zawarcie umowy granicznej z Czarnogórą obiecuje liberalizację wizową dla obywateli Kosowa.

O CO TAK NAPRAWDĘ CHODZI?

Niestety, arytmetyka parlamentarna nie sprzyja rozwiązaniu problemu: aby przyjąć dokument, większość rządowa potrzebuje dwóch trzecich głosów, czyli 80 w parlamencie liczącym 120 miejsc. Ponieważ rząd tworzy koalicja różnych partii, wcale nie jest łatwo uzyskać potrzebną liczbę zwolenników. Premier Isa Mustafa musi się przy tym nieźle nagłowić, bo mniejsze partie, od których zależy wynik głosowania, wykorzystują swe głosy jako kartę przetargową w zakulisowych rokowaniach. Wyznaczone na 1 września głosowanie w sprawie porozumienia zostało odłożone właśnie z tego powodu: Mustafa nie zebrał wystarczającej liczby głosów, by ratyfikację przepchnąć

przez parlament. Gdy istniała Jugosławia, wewnętrzne granice poszczególnych republik lub prowincji autonomicznych (takich jak Kosowo czy Wojwodina), nawet jeśli były wytyczone, to nie miały większego znaczenia. Mieszkańcy sąsiednich republik bez żadnego problemu mogli korzystać ze swych łąk, pól czy pastwisk po drugiej stronie granicy, istniejącej jedynie na mapie. Kłopoty zaczęły się pojawiać w momencie, gdy z rozpadającej się Jugosławii powstawały kolejne państwa. Trzeba było ustawić posterunki graniczne, ustalać przynależność państwową poszczególnych wiosek, szczytów górskich czy strumieni.

Sama granica między Kosowem a Czarnogórą nie jest długa, liczy bowiem zaledwie 79 km. Problem polega na tym, że przebiega ona w terenie trudnym: górzystym i leśnym. Przedmiotem sporu nie jest też cała granica, lecz zwłaszcza jeden jej odcinek, w okolicach miejscowości Čakor. Zdaniem przeciwników umowy z Czarnogórą, obszar ten powinien znaleźć się po stronie kosowskiej, ponieważ mają się tam znajdować lasy i pastwiska mieszkańców przygranicznych kosowskich wiosek. Ratyfikacja porozumienia oznaczałaby – według członków Samostanowienia – że rząd Kosowa daje Czarnogórcom w prezencie prawie 8200 ha ziemi.

Wszystko wskazuje na to, że strategia przyjęta przez Vetëvendosje jest skuteczna: rząd Isy Mustafy mimo buńczucznych zapowiedzi nie jest na razie w stanie przeprowadzić w parlamencie ratyfikacji umowy z Czarnogórą. Jest też druga strona medalu, która mocno obciąża nacjonalistów z Vetëvendosje: kosowskie społeczeństwo jest wewnętrznie podzielone jak nigdy wcześniej. Być może podnosi to notowania partii, ale to, co dobre dla partii walczącej o poprawienie notowań, niekoniecznie musi być dobre dla całego kraju. Groźenie wojną jest formą nacisku na rząd, niemniej jednak tak nieodpowiedzialne słowa z pewnością nie pomagają w rozwiązaniu konfliktu ani nie służą spokojnemu rozwojowi kraju, który i bez tego zmaga się z ogromnymi problemami. ■

MARCIN
RZEPKA

Mosul: powrót historii



Geografia przez wieki determinowała jego historię. Krzyżujące się w regionie szlaki handlowe określały pozycję miasta, wpływając przy tym na jego rozwój kulturowy i społeczny. Jeszcze w okresie osmańskim było ono jednym z lepiej poznanych przez Europejczyków miast bliskowschodnich, a po I wojnie światowej, ze względu na znajdujące się w rejonie złoża ropy naftowej, stało się przedmiotem rywalizacji między Francją a Wielką Brytanią. Taka sytuacja przedłużała natomiast jego nieokreślony status. Ten zaś zwiększał zainteresowanie innych podmiotów w regionie, m.in. republikańskiej od 1923 roku Turcji. Burhan Kōroğlu, turecki naukowiec, przywołuje dziś historyczną rolę Turcji w regionie, wskazując na czterowiekowe panowanie Osmanów w mieście. Chętnie słuchają go politycy tureccy, ale w Bagdadzie wzbudza on raczej konsternację. Historia ma znaczenie. Pozwala zrozumieć sieć powiązań regionalnych oraz globalnych, w które uwikłany jest dziś Mosul.

Gdy w 2014 roku Abu Bakr al-Baghdadi ogłosił miasto centrum kalifatu, ośrodkiem władzy Państwa Islamskiego, miał świadomość zarówno uwarunkowań historycznych, jak i potencjału ekonomicznego tego regionu. Zatem odbicie Mosulu w pierwszej kolejności będzie oznaczać rozpad struktur administracyjno-rządowych dżihadystów w Iraku, następnie możliwość pobudzenia gospodarki wyniszczonego latami wojny kraju. Dla rządu centralnego w Bagdadzie jest to sprawa kluczowa.

Mosul ma ogromne znaczenie dla Rządu Regionalnego Kurdystanu (KRG). Kurdowie prognozują, że faktycznie odbicie miasta przyczyni się do ożywienia gospodarczego w kraju, a to będzie miało przełożenie na sytuację w Kurdystanie. Z punktu widzenia Erbilu niezwykle istotna jest również demografia. Zajęte przez Państwo Islamskie miasto z wieloetnicznego i wielokulturowego zmieniło się w niemal homogeniczne. Działania dżihadystów doprowadziły do migracji ponad miliona mieszkańców, w tym chrześcijan i jazydów. Znaczna ich część znalazła schronienie w Kurdystanie.

Operacja przeciwko Państwu Islamskiemu ukazuje również tarcia na irackiej scenie politycznej, zwłaszcza w kontekście działań podjętych przez byłego premiera Nuri al-Malikiego, by wrócić do polityki. Nie szczędzi on krytycznych słów pod adresem rządu, piętnując współpracę między premierem Hajdarem al-Abadim a prezydentem KRG Masudem Barzanim, widoczną m.in. w działaniach na rzecz wyzwolenia Mosulu. To miasto wyznacza zatem nowe cele w polityce wewnętrznej kraju. Obecnie jednak al-Abadi kładzie nacisk na międzynarodowy aspekt walki z terroryzmem, wskazując raczej na znaczenie globalne podjętych działań. Trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że to właśnie Mosul w wymiarze lokalnym będzie miał kluczowe znaczenie dla przyszłości Iraku. ■



MARCIN RZEPKA jest orientalistą, slawistą, pracownikiem Instytutu Historii Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie.

HISTORIA

/ XX WIEK



Do oddziałów
licznie ściągał
młodociani
ochotnicy
wywodzący się ze
wszystkich grup
społecznych. Do
wojska garnęły się
też dziewczęta.

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE



JAKUB NAWROCKI

ZACZEŁO SIĘ OD REWOLWERU

**Niektóre akcje w pierwszym okresie walk o Lwów
w 1918 roku mogą się wydawać wręcz samobójcze.**



Pod koniec października 1918 roku w Europie Środkowej była specyficzna sytuacja; niegdyś potężne cesarstwo austro-węgierskie chyliło się ku upadkowi, a narody będące pod panowaniem Habsburgów coraz głośniej domagały się niepodległości. Na terenach Galicji natomiast wyraźniejsza stawała się rywalizacja polsko-ukraińska. Najważniejszym punktem spornym był Lwów.

KOŚĆ NIEZGODY

Chociaż w samym mieście Polacy stanowili zdecydowaną większość, władze sprzyjały stronie ukraińskiej. W drugiej połowie października 1918 roku pułki austro-węgierskie, w większości złożone z Polaków, zostały wysłane z miasta w rejon Karpat lub Galicji Wschodniej, a w zamian ściągano formacje składające się z Ukraińców oraz jednostki strzelców siczowych. Nawet 17 polskich żandarmów, którzy pełnili funkcję policji miejskiej, skierowano w inny teren, pozostawiając we Lwowie tylko tych narodowości ukraińskiej.

Polskie organizacje konspiracyjne i paramilitarne przeczuwały, że wraz z upadkiem monarchii rozpocznie się walka o miasto. W obliczu parutysięcznej siły wroga skupionej w aglomeracji strona polska mogła wystawić najwyżej 800 ludzi mających przygotowanie militarne. Byli oni zrzeszeni w kilku organizacjach, z czego trzy najsilniejsze – Polska Organizacja Wojskowa, Polskie Kadry Wojskowe i Polski Korpus Posiłkowy – mogły wystawić realne siły zbrojne. Niestety, każda z nich miała własną koncepcję wyzwolenia Lwowa.

31 października 1918 roku o godzinie 18.00 z inicjatywy por. Ludwika de Laveauxa, dowódcy lwowskiego okręgu POW, odbyło się spotkanie przedstawicieli trzech największych organizacji. Z informacji wywiadowczych

zdobytych przez Polską Organizację Wojskową wynikało, że Ukraińcy mieli wkrótce przeprowadzić zamach stanu i przejąć władzę w mieście. Niestety, młody oficer nie zdołał przekonać zebranych o potrzebie pilnej koncentracji i utworzenia jednego wspólnego dowództwa. Rozmowy przełożono na następny dzień. Mimo niepowodzenia por. de Laveaux jeszcze tego samego dnia zarządził jednak ulokowanie Komendy POW w Polskim Domu Akademickim, potocznie zwanym Łozińcem, oraz wydał rozkazy mobilizacji i koncentracji podległych sobie lwowskich oddziałów.

WYRWANI Z CHAOSU

Ukraińcy w nocy z 31 października na 1 listopada przeprowadzili we Lwowie zamach stanu. Żołnierze pod dowództwem atamana Dmytra Witowskiego zaczęli zajmować główne obiekty w mieście – gmach poczty, koszary wojskowe, komendę główną policji, magistrat miejski, cytadelę i dworce kolejowe. Rankiem mieszkańcy mogli zobaczyć na ulicach miasta plakaty informujące o powołaniu tymczasowych władz przez Ukraiński Komitet Wojskowy.

Polacy byli w szoku i z niedowierzaniem patrzyli na rozstawione na ulicach posterunki i patrole ukraińskich żołnierzy. Na początku istniały jedynie dwa zorganizowane ośrodki oporu – w Domu Technika Politechniki Lwowskiej oraz w Szkole im. Henryka Sienkiewicza.

Od pierwszych godzin walk we Lwowie w szeregi oddziałów polskich wstępowała młodzież. Gros poborowych stanowiła brać studencka i uczniowska. Pomyślnym zbiegiem okoliczności 31 października 1918 roku w mieście odbywał się ogólnoakademicki zjazd młodzieży polskiej ze wszystkich trzech zaborów. Wielu studentów należało do organizacji paramilitarnych albo służyło



Samochód pancerny „Józef Piłsudski” na jednej z ulic Lwowa

POLSKIM POMYSŁEM BYŁO ZBUDOWANIE SAMOCHODU PANCERNEGO

w armiach zaborczych. 1 listopada ci, którzy przebywali w mieście wydali odezwę wzywającą młodzież Lwowa do broni. Do uczniowskich oddziałów licznie ściągał młodociani ochotnicy wywodzący się ze wszystkich grup społecznych. Do wojska garnęły się też dziewczęta.

W Domu Technika znajdowało się kilkunastu studentów, w większości związanych z konspiracją, oraz grupa byłych legionistów i podoficerów z byłej armii austro-węgierskiej. Ich dowódcą został student, pchor. Ludwik Wasilewski. W Szkole im. Henryka Sienkiewicza natomiast Polska Organizacja Wojskowa dzień wcześniej zaczęła tworzyć zręby oddziału kadrowego. Tu walkę podjęły 34 osoby, w tym czterech oficerów. Obroną dowodził kpt. Zdzisław Trzeźniowski „Tatar”. Mieli oni zaledwie kilka sztuk broni palnej, dlatego dowódca z samego rana wysłał 12 studentów do pobliskich koszar policji, by zdobyli broń. Cała grupa uderzeniowa była wyposażona w zaledwie jeden rewolwer. Z impetem wdarła się do budynku, gdzie zaczęła obezwładniać zdezorietowanych żandarmów. Pewien ukraiński wachmistrz usiłował się bronić i zaczął strzelać do bezbronnych studentów. Roman Jarosz, który był uzbrojony, jednym strzałem położył policjanta. Załoga, widząc determinację Polaków, skapitulowała. W ten sposób powstańcy opanowali budynek i zdobyli 20 karabinów wraz z zapasem amunicji.

Kapitan „Tatar” dwie godziny po pierwszej udanej akcji postanowił iść za ciosem i dokonać kolejnego wypadu w celu zdobycia broni. Zdecydował się uderzyć na znajdujący się daleko za pozycjami Polaków Dworzec Czerniowiecki. Udała się tam już lepiej uzbrojona grupa uderzeniowa kierowana przez ppor. Edwarda Świsłelnickiego. Tak tę akcję zapamiętał jej dowódca:

„Kryjąc się poza wagony dotarliśmy do miejsca wyładowywania broni. Nagły strzał spowodował popłoch wśród Ukraińców. Wskoczyliśmy z ukrycia, doładowaliśmy na stojące auto kilka skrzyń z nabojami i granatami ręcznymi, a uczestnik patrolu, Eugeniusz Bernacki, który był szoferem wojskowym, puścił motor w ruch i w szybkim tempie opuściliśmy główną bramą teren dworca”. Skradzionym wozem bez przeszkód wrócili do szkoły. Zdobyta broń szybko się przydała, bo już o godzinie 10.00 wojska ukraińskie przypuściły szturm na tę polską redutę. Obrońcy jednak odparli atak.

W podobny sposób broń zdobywała załoga Domu Technika. Uderzyła m.in. na piwnice politechniki, gdzie Austriacy urządzili skład broni. Po sterroryzowaniu wartowników polscy studenci zdobyli 50 karabinów z amunicją, które wkrótce wykorzystano do obrony polskiej reduty.

Zgodnie z ustaleniami z poprzedniego dnia przywódcy polskich organizacji spotkali się, aby określić kierunek wspólnych działań. Tym razem, w obliczu zajęcia całego Lwowa przez ukraińskich żołnierzy, szybko powołano Naczelną Komendę Obrony Lwowa z kpt. Czesławem Mączyńskim na czele. W pierwszych dniach walk polskie dowództwo było jednak iluzoryczne. Komendant występował wówczas pod pseudonimem „Czyński”. Poruszał się na ulicach po cywilnemu i do 4 listopada tak naprawdę nie miał żadnej władzy nad tworzącymi się w mieście ośrodkami oporu, które prowadziły samodzielną walkę partyzancką.

Drugiego dnia walk Polacy dowiedzieli się z informacji wywiadowczych, że na Dworcu Głównym stoją składy kolejowe z bronią, a Ukraińcy do pilnowania





LEGENDA BATIARÓW

OGROMNE WSPARCIE WALCZĄCYM POLAKOM DAŁY
DZIECI ULICY, ZWANE POTOCZNIE BATIARAMI.

Doskonale znały wszystkie zakamarki miasta, więc podkładały się pod stanowiska wojsk ukraińskich i zabierały im broń. Z cenną zdobyczą przedostawały się do polskich pozycji i oddawały łup, udzielały bezcennych informacji wywiadowczych, a następnie wracały do miejsc opanowanych przez Ukraińców.

Batiarzy stali się zmorą żołnierzy atamana Witowskiego, którzy

musieli bardzo się pilnować i nawet na chwilę nie mogli pozostawiać broni bez straży. Wielu z tych młodych Lwowiaków postanowiło przystąpić do walk w obronie polskiego miasta. Jeden z żołnierzy zapamiętał piękną, a zarazem tragiczną scenę, gdy „po zaciętej strzelaninie podchodzi do starszego żołnierza taki 14-letni »ochotnik« i pokazuje mu wyższy od siebie samego, rozgrzany od palby

karabin, prosząc uprzejmie »Nie mogę załadować zamku, niech mi towarzysz pomoże«. Znanym batiarą był Jaś Kukawski, o którym żołnierze mówili, że jego karabin jest większy od niego. Chłopiec poległ w obronie Lwowa, nie doczekawszy swoich dziesiątych urodzin. On, jak i wielu mu podobnych walczących w pierwszych dniach listopada 1918 roku, dał początek legendzie Lwowskich Orląt. ■

tego obiektu wyznaczyli tylko 50 żołnierzy. Na dodatek od chwili zamachu ruch pociągów został wstrzymany, więc na peronach i w poczekalniach koczowały setki osób. Polacy wykorzystali ten chaos, wmieszcza się w tłum i szybko opanowali dworzec. Zdobyli kilka tysięcy wyprodukowanych w Austrii karabinów Mannlicher i setki skrzyń z nabojami. Łup ten pozwolił uzbroić tworzące się polskie oddziały.

POMYSŁOWOŚĆ LWOWSKA

Mimo zaskoczenia i paraliżu na szczeblu dowódczym, już 2 listopada w Szkole im. Henryka Sienkiewicza powstał załazek kawalerii, w większości złożony z młodych chłopców, którzy mieli własne konie. Ci niedoświadczeni w walce i nieobcy z wojskiem młodzieńcy w pierwszej połowie listopada 1918 roku dokonywali ryzykownych zwiadów poza granicami miasta, na terenie opanowanym przez wojska ukraińskie, dostarczając informacji o ruchach wojsk. Wyrastające jak grzyby po deszczu lotne oddziały polskiej młodzieży dały początek również rodzajom wojsk powstańczych. 5 listopada grupa młodocianych ochotników zorganizowała wypad do opuszczonych warsztatów artyleryjskich. Na miejscu znajdowało się sześć armat i dwie haubice. Sprzęt był mocno wysłużony, ale dzięki determinacji młodzieży został pod ostrzałem przetoczony na pozycje polskie. W ten sposób stworzono zręby lwowskiej artylerii. Tego samego dnia grupa polskich pilotów, która znajdowała się

w czasie we Lwowie, postanowiła zająć lotnisko, gdzie stały sześciocyldrowe, wymagające naprawy samoloty typu Brandenburg. Przy pomocy profesorów oraz studentów politechniki pierwsze trzy maszyny zostały szybko uruchomione i wzbiły się w powietrze nad Lwowem. Młodzi lotnicy pod dowództwem por. Stefana Bastyrę kilkakrotnie wykonali loty do Przemyśla, Krakowa, a nawet do Warszawy, dostarczając informacji o sytuacji w mieście i prosząc o wsparcie. Mało kto wie, że były to pierwsze akcje powietrzne w historii odrodzonej Polski.

Starcia miejskie podsunęły polskim żołnierzom pomysł zbudowania na bazie ciężarówki samochodu pancernego, który wykorzystano w bojach o Wały Hetmańskie, a lwowscy inżynierowie, studenci i robotnicy kolejowi zbudowali nawet pociąg pancerny Lwowianin. W bardzo krótkim czasie oprócz oddziałów bojowych powstały liczne służby i warsztaty wspierające walczących. Działy warsztaty lotnicze, techniczne i samochodowe. Powstała służba artyleryjska, elektrotechniczna, telefoniczna, sanitarna, pirotechniczna, a nawet pracownia graficzna, gdzie wykonywano mapy dla wojska. Dziś można śmiało stwierdzić, że gdyby nie zaangażowanie i determinacja całej polskiej ludności, w szczególności uczniów i studentów, którzy razem ze swoimi nauczycielami i profesorami ramię w ramię walczyli i tworzyli obronę, Lwów mógł upaść, zanim dotarła do niego odsiecz. 22 listopada 1918 roku oddziały ppłk. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza oswobodziły miasto. ■

NAUKA GENERAŁA

Z Januszem Brochwicz Lewińskim

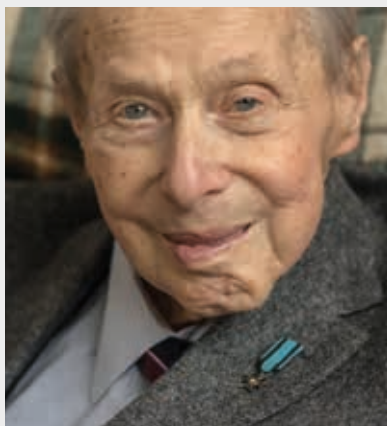
**o historii prawdziwej, rodzinnych tradycjach
i wzorcach potrzebnych młodym
rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.**

Jaki wpływ na Pana życiowe wybory miała rodzina?

Przez kilka generacji w naszej rodzinie było wielu generałów i pułkowników, posłów do Sejmu, senatorów, a w dawnych wiekach – także kardynałów, biskupów, przybocznych rycerzy królowej Jadwigi. Moi przodkowie bili się pod Grunwaldem i walczyli pod Wiedniem. 30 sierpnia 1939 roku ja także poszedłem na wojnę. Byłem na wakacjach w majątku dziadków koło Wołkowyska na Grodzieńszczyźnie, gdy otrzymałem rozkaz powrotu do stacjonującego w Grodnie 76 Pułku Piechoty. Zostałem przydzielony do niego po maturze, gdy przed wyjazdem na studia do Szwajcarii wstąpiłem do wojska, bo tak nakazywała rodzinna tradycja. Włożyłem mundur w szkole podchorążych w sierpniu 1938 i nosiłem go przez rok – do września 1939 roku.

Co to znaczy, że „tak nakazywała tradycja”?

W dwudziestoleciu międzywojennym rodziny szlacheckie i arystokratyczne piełęgnowały tradycje, z pokolenia na pokolenie przekazywały pamięć o przodkach, którzy walczyli i ginęli za ojczyznę. Wpajały dzieciom wartości, którym pozostawali wierni. Wyrosłem w takiej rodzinie. Mój ojciec Stanisław był wykładowcą na Uniwersytecie Jagiellońskim, a także oficerem rezerwy.



MICHAŁ NIWICZ

O czym opowiadali Panu rodzice?

W naszym domu w salonie wisiały portrety pradziadków, rycerzy z XIII i XIV wieku. Ojciec wskazywał na te obrazy i mówił, że mam być taki jak oni. Tchórze nie byli w naszej rodzinie akceptowani. Ojciec był legionistą, współtworzył polską administrację na ziemiach pozaborowych. Taki duch panował w naszym domu – Polska ma być wolna i silna. Jako dziecko bawiłem się ołowianymi żołnierzkami, miałem konia na biegunach, na

którym jeździłem po całym pokoju. Gdy miałem osiem lat, dostałem ułański mundur oraz szabelkę wyciętą z drewna. Zachowało się zdjęcie: kilkuletni chłopiec dumnie trzyma szabelkę. Wakacje spędzałem w Wołkowysku u dziadków. Miałem tam swego konia Jasia, na którym jeździłem na oklep, a gdy spowaźniałem, dostałem własne siodło i mogłem się nauczyć prawdziwej sztuki jeździeckiej. Pamiętam, że jako kilkuletni chłopak stawałem na baczność na ulicy i wyczekiwałem na przechodzących oficerów, żeby im salutować.

Jaki wpływ na Pana wychowanie miała szkoła?

Przed 1939 rokiem szkoły wychowywały uczniów w duchu patriotycznym. Uczyły, że ważne są „Bóg, honor, ojczyzna”. Patriotyzm był pisany wielką literą. ➔



MICHAŁ NIWIOZ

Pierwszą szablę Janusz Brochwicz Lewiński dostał w wieku ośmiu lat. Była wycięta z drewna. Na zdjęciu natomiast prezentuje szablę, którą prezydent Andrzej Duda podarował mu na 95. urodziny.

Uważam, że to dzięki wychowaniu odebranemu w II Rzeczypospolitej na Kresach przetrwały polskie zwyczaje. Powstało ponad sto szkół imienia marszałka Józefa Piłsudskiego, są obchodzone polskie święta, organizowane uroczystości upamiętniające ważne wydarzenia historyczne.

W okresie międzywojennym w szkołach działało także wiele organizacji społecznych.

W II Rzeczypospolitej działało około 50 tys. różnych organizacji, które były skupione wokół jednej idei: oto mamy wolny kraj, więc naszym zadaniem jest jego obrona. Moje pokolenie przegrało II wojnę, rozproszyliśmy się na emigracji. Cała wojenna emigracja była nastawiona na przygotowanie kadr dla kraju. Na Wyspach Brytyjskich po 1945 roku zostało 360 tys. polskich żołnierzy i rodzin wojskowych. Działało wiele emigracyjnych stowarzyszeń, które zajmowały się przygotowaniem młodej kadry dla wolnej Polski. Wielu nie doczekało.

Czego nauczył Pana harcerstwo?

Wstąpiłem do tej organizacji jako dziesięcioletni chłopak. Byłem młodzikiem, ćwikiem, harcerzem orlim, harcerzem Rzeczypospolitej i harcistrzem. Działalem aktywnie w tej organizacji do wybuchu II wojny, za co otrzymałem harcerski krzyż zasługi. Harcerstwo uczyło miłości do kraju oraz religii. Nie tylko chodziliśmy do

kościół, musieliśmy także być dobrymi i dobrze wychowanymi ludźmi. Miłość do kościoła szła w parze z patriotyzmem. Pamiętam, jak najlepsi harcerze zostali zaproszeni do Belwederu, aby złożyć marszałkowi Piłsudskiemu życzenia urodzinowe. Znalazłem się w tej delegacji, co było dla mnie, 13-letniego chłopaka, wielkim przeżyciem. Gdy wręczyłem Marszałkowi bukiet, spojrzał na mnie i tego lustrującego spojrzenia nie zapomniałem do dziś. W ostatnich latach mojej gimnazjalnej edukacji byłem rycerzem Matki Boskiej. Pod klapą na mundurku nosiłem srebrną odznakę, na której znajdował się wizerunek Matki Bożej, a na odwrocie nazwa stowarzyszenia: Sodalitas Marianus. Zwyczaj nakazywał ukrywać ten medal pod spodem, by czynić coś dobrego dla godnego życia, a nie na pokaz. Nie każdy mógł tutaj należeć, tylko ten, kto był religijny, dawał pewność dobrego zachowania, działalności filantropijnej, w której braliśmy udział, co musiał potwierdzić ksiądz prefekt gimnazjalny albo miejscowy proboszcz. To było wielkie wyróżnienie, gdy było się w sodalicy.

Jaki wpływ na kształtowanie postaw obywatelskich uczniów mieli nauczyciele?

Ważnym elementem wychowania był stosunek nauczycieli do uczniów, ich osobisty przykład postępowania oraz prezentowane wzorce. Moi nauczyciele byli świetnie wykształconymi profesorami, wielu z nich było oficerami rezerwy. W dwóch ostatnich latach nauki w liceum to oni

prowadzili z nami ćwiczenia z przysposobienia obronnego, na które przyjeżdżali także oficerowie z różnych pułków. Dostaliśmy wojskowe mundury i karabiny, tym razem już prawdziwe. Mieliliśmy nawet dwa maszynowe, aby poznać także tę broń. Nauka stała na wysokim poziomie. W Wołkowysku, gdzie zdawałem maturę, stacjonował 3 Pułk Strzelców Konnych. Służył w nim mjr Henryk Dobrzański, znany później jako „Hubal”. Jednostka była silnie zżyta z miastem. Pułk także prowadził pracę wychowawczą z młodzieżą. Panowała atmosfera dbania o niepodległość.

Kto był dla Pana autorytetem?

Było kilka takich osób. Nauczyciel historii. Kapitan rezerwy, który był naszym dowódcą na zajęciach przysposobienia obronnego, dwa razy w tygodniu wkładał mundur i prowadził z nami ćwiczenia. Stryj Zbigniew, dowódca 19 Pułku Ułanów Wołyńskich, w którym służył m.in. późniejszy komendant główny Armii Krajowej i dowódca powstania warszawskiego, gen. Tadeusz Bór-Komorowski. Lubilem opowieści stryja o bitwie pod Monte Cassino, gdzie był dowódcą służby transportowej w II Korpusie Polskim gen. Władysława Andersa. Po wojnie stryj Zbigniew, podobnie jak mój ojciec oraz drugi ze stryjów, Antoni Bolesław Brochwicz-Lewiński, generał brygady i szef Sztabu Naczelnego Wodza, zostali na emigracji.

Pana pokolenie uczyło się polskiej historii, bo po 1918 roku ten przedmiot wrócił do szkół.

Uczyliśmy się historii prawdziwej. Dziadek, pułkownik rezerwy, opowiadał mi o wojnie 1920 roku, w której stracił rękę. Historia była moim ulubionym przedmiotem, szczególnie dzieje starożytne, bitwa pod Wiedniem, powstanie styczniowe, Księstwo Warszawskie. Ojciec namawiał mnie, abym studiował ten przedmiot, wybuchła jednak wojna.

Wychowankowie II RP w skrajnie trudnych warunkach okupacji stworzyli struktury państwa obejmujące swym zasięgiem terytorium przedwojennej Polski. To oni przynieśli do organizacji Polskiego Państwa Podziemnego etos służby ojczyźnie i narodowi – takie słowa prezydent Andrzej Duda skierował do uczestników uroczystości, które odbyły się pod pomnikiem Polskiego Państwa Podziemnego. To także o Panu.

Walczyliśmy przeciwko Niemcom, ale zdarzało się, że też przeciwko innym okupantom. W partyzantce spotykało się różnych wrogów: Ukraińców, rosyjskich skoczaków, których zrzucono na nasze tereny wcześniej, niż przyszła tu Armia Czerwona. Brałem udział w konspiracji ZWZ-AK od lutego 1940 roku. W marcu 1944 roku zostałem włączony w skład harcerskiego Batalionu „Parasol”

do zadań specjalnych Kedywu AK. Dzięki wychowaniu i zdobytej przed wojną wiedzy przez cztery miesiące poprzedzające wybuch powstania warszawskiego prowadziłem zajęcia z młodzieżą z przygotowania bojowego w ramach tajnej Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty „Agricola”. Marzyliśmy o wolnym kraju, w którym żywa byłaby tradycja Piłsudskiego i biłby dzwon Zygmunta.

W konkursie literackim ogłoszonym przez „Polskę Zbrojną” jedną z głównych nagród dostał młody oficer, który napisał pracę o Panu. Był Pan zaskoczony, że może być wzorcem dla młodych?

Tacy ludzie, jak ten młody komandor, to przyszłość polskiego wojska. Wierzę, że będą oni służyć krajowi tak jak ja, a nie zmieniać poglądy zależnie od tego, jak wieje wiatr. Muszę przyznać, że gdy po 58 latach emigracji wróciłem w 2002 roku do kraju, byłem trochę zaskoczony zainteresowaniem, jakie budziłem wśród młodych ludzi. Odbywałem wiele spotkań, zapraszały mnie szkoły i drużyny harcerskie oraz młodzież wojskowa. Młodzi potrzebują wzorców, na których mogą się oprzeć. Od opowiadań na papierze woła żywego człowieka, który pokaże, że można żyć, będąc oddanym Polsce i nie patrząc na własne korzyści. Trudno dziś o takie autorytety.

Często odwiedzali Pana także młodzi żołnierze wojsk specjalnych.

Zauważyłem, jak bardzo pielęgnują oni wojskowe tradycje. Kiedyś 5 sierpnia, w rocznicę obrony pałacyku Michła na Woli, odwiedzili mnie komandos i oraz ich ówczesny dowódca płk Wiesław Kukuła. Widziałem w nich ten sam zapał do walki i szacunek do munduru, który mi także towarzyszył w młodości. Widzę w nich godnych następców żołnierzy wolnej Polski, żołnierzy mojego pokolenia. Kiedyś przyprowadzili na spotkanie dwóch amerykańskich komandosów, którzy byli pod wrażeniem, że ich polscy koledzy mają takich patronów, dla których przez całe życie najważniejsza była Polska. Gdy byłem na spotkaniu z żołnierzami GROM-u, przy pożegnaniu dziękowali mi, że mogli się czegoś nauczyć. Pomyślałem: czego oni mogli się nauczyć od starego generała? ■

Gen. bryg. w st. spocz. JANUSZ BROCHWICZ LEWIŃSKI, ps. „Gryf” (ur. 17 września 1920 roku. w Wołkowysku) – żołnierz Batalionu AK „Parasol”. Po zakończeniu II wojny światowej przebywał na emigracji w Wielkiej Brytanii. Wstąpił do armii brytyjskiej (III Pułk Królewski Huzarów), służył m.in. w gwardii przybocznej Jego Królewskiej Mości Jerzego VI. Działał również w Palestynie i Sudanie jako agent wywiadu. W 2002 roku powrócił do Polski.

Oficerowie sztabowi rosyjskiego Frontu Południowo-Zachodniego od pierwszych dni września 1914 roku nie mogli spokojnie pracować nad planami kolejnych działań bojowych trwającej od sierpnia wojny. Co dnia nad budynki sztabu w Żółkwi niedaleko Lwowa nadlatywał nieprzyjacielski samolot rozpoznawczy – austriacki Albatros B.II z obserwatorem baronem por. Friedrichem von Rosenthałem i pilotem kpr. Franzem Maliną z 11 Kompanii Lotniczej (Fik 11). Dowództwo frontu postanowiło zastosować radykalne środki wobec uprzykrzającego mu pracę „aeroplanu”. Rozkaz przepędzenia lub zniszczenia intruza otrzymał dowódca 11 Oddziału Lotniczego, sztabskapitan Piotr Nikołajewicz Niestierow. Był on nie byle kim w pionierskich czasach lotnictwa. 9 września 1913 roku jako pierwszy na świecie wykonał pętlę samolotem Nieuport, a rok później, 24 maja, dokonał rekordowego przelotu na trasie Kijów – Petersburg. Do feralnego 8 września sztabskapitan Niestierow miał już za sobą 20 lotów bojowych, w tym podczas ofensywy, która zakończyła się zdobyciem przez Rosjan stolicy Galicji.

Na początku wielkiej wojny piloci latali na ogół samolotami bez uzbrojenia pokładowego, a jedynie z bronią osobistą. Tak też było w przypadku maszyny Niestierowa. Na spotkanie austriackich obserwatorów wyleciał nieuzbrojonym małym jednopłatowcem Morane-Saulnier G. Bez broni as podniebnej akrobacji staranował albatrosa. Prawdopodobnie zamierzał uderzyć w górny płat nieprzyjacielskiego samolotu podwoziem, lecz w rzeczywistości zahaczył go śmigłem. Na skutek zderzenia obydwie maszyny rozbiły się około 10 km od Żółkwi. Żaden z lotników nie przeżył starcia. Była to nie tylko pierwsza walka powietrzna w historii, lecz także pierwszy lotniczy taran. Drugim pilotem, który w samobójczym ataku rozbił nieprzyjacielski samolot, był także Rosjanin: 1 kwietnia 1915 roku rotmistrz Aleksander Kozakow, po wystrzeleniu amunicji, śmigłem swego morane’a zniszczył usterzenie austriackiego brandenburga. Miejsce trzecie na tym śmiertelnym podium należy do Hiszpana – asa republikańskiego lotnictwa sierż. Feliksa Alejandra Urtubi Ercilliego, który podczas walki powietrznej w obronie Madrytu 13 września 1936 roku, gdy zabrakło mu amunicji, uderzył swym nieuportem-52 we włoskiego fiata Cr-32. W eksplozji zginęli obaj piloci.

UDERZ I PRZEŻYJ!

Pierwszym pilotem, który nie tylko przeżył atak taranem, lecz także zdołał wylądować uszkodzoną maszyną na macierzystym lotnisku, był lejtant Anton Gubienko. Wyczynu tego dokonał nad chińskim Uchan w starciu z japońskim lotnictwem. Gubienko należał do kontyn-

gentu sowieckich ochotników, którzy od stycznia 1938 roku wspomagali chiński Kuomintang w walce z Japończykami. Czterdziestoma nowoczesnymi jak na owe czasy myśliwcami Polikarpow I-16, nazywanymi popularnie „iszaczki” (osiołki), dowodził weteran walk powietrznych w wojnie domowej w Hiszpanii i bohater Związku Sowieckiego mjr Paweł Wasiljewicz Ryczagow. 31 maja 1938 roku Rosjanie udaremniłi kolejny japoński nalot na Uchan, niszcząc 14 cesarskich maszyn. Lejtant Gubienko wdał się w czasie tej walki w pojedynek z jednym z myśliwców osłony. Mimo że wystrzelał całą amunicję, to nie trafił zwinnego przeciwnika, jednak na tyle osłabił ducha bojowego „samuraja”, że ten zaczął uciekać. Rosjanin nie odpuścił i tak później wspominał: „Przymierzyłem się do niego, chcąc już walić go śmigłem po ogonie, ale przypomniałem sobie, że powinienem odpiąć pasy, żebym mógł się uratować skokiem ze spadochronem. Odpiąłem te pasy, rąbnąłem, silnik zakrzusił się, więc zacząłem szykować się do skoku. Słucham, silnik pracuje normalnie, no i przy-

**Mimo że taran lotniczy stał się
znakiem rozpoznawczym japońskich
kamikadze, to nie oni pierwsi
zastosowali ten ryzykowny manewr
w starciu z nieprzyjacielem.**

ROSYJSKA RULETKA W POWIETRZU

PIOTR KORCZYŃSKI



leciałem”. Za staranowanie japońskiego samolotu oraz zestrzelenie jeszcze siedmiu nieprzyjacielskich maszyn lejt-nant Anton Gubienko otrzymał tytuł bohatera Związku Sowieckiego.

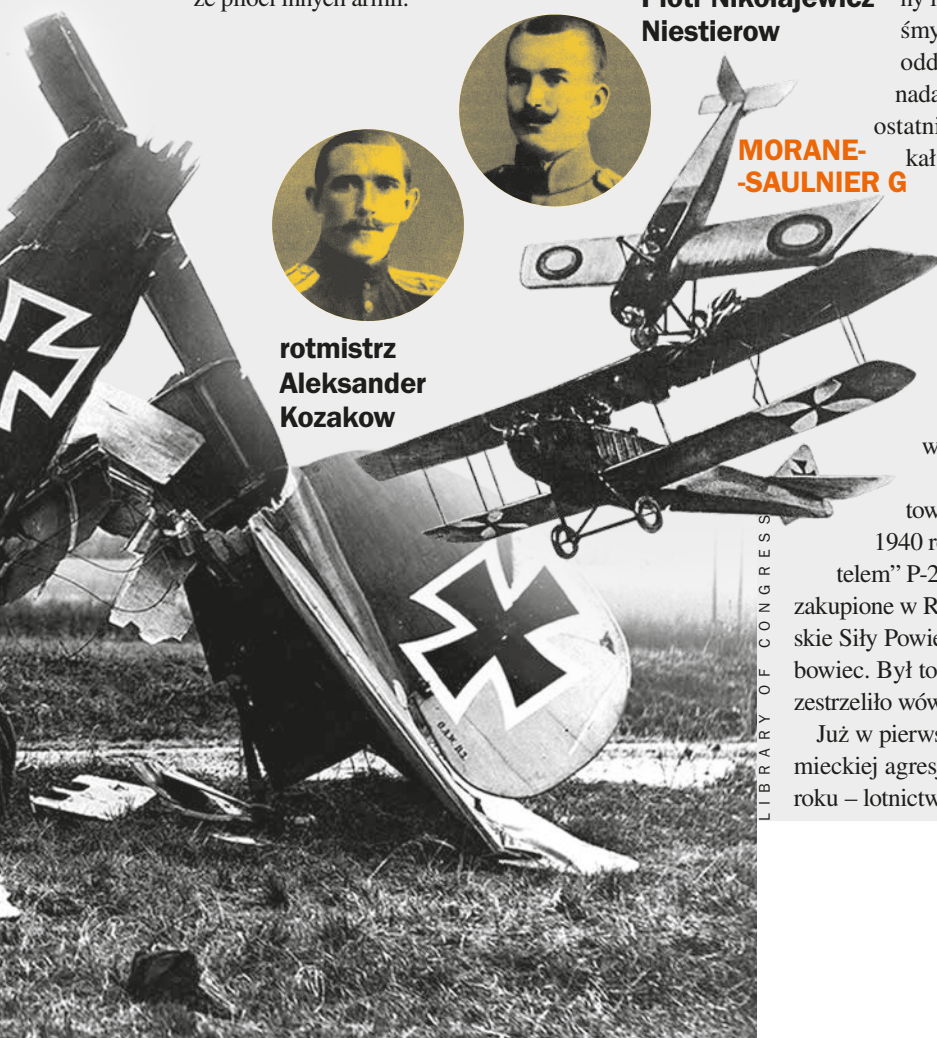
Jako piąty w dziejach lotnictwa atak taranem przeprowadził kpt. Witalij Skobarychin podczas zwycięskich walk z Japończykami nad Chałchyn-Goł. 20 lipca 1939 roku dowodził on eskadrą osłaniającą atak własnych czołgów. Nagle dziesiątka sowieckich „iszczaków” została na wysokości 3500 m zaatakowana przez grupę japońskich samolotów Nakajima Ki-27, które niespodziewanie wyskoczyły zza chmur. Kapitan, zasłaniając własnym samolotem maszynę młodego pilota, który po raz pierwszy brał udział w walce powietrznej, uderzył śmigłem i skrzydłem w kadłub japońskiego myśliwca, ten zaś rozpadł się na strzępy. Siła zderzenia była tak wielka, że sowiecki pilot stracił przytomność, a jego „iszak” zaczął bezwładnie spadać. Dopiero na wysokości kilkuset metrów Skobarychin ocknął się, opanował maszynę, wyrównał lot i dotarł szczęśliwie do bazy.

W czasie II wojny światowej, przy natężeniu walk powietrznych, przypadkowe i celowe ataki taranem można liczyć już w dziesiątki. I choć palma pierwszeństwa wciąż należała w nich do lotników rosyjskich, na listę „taranów” wpisali się także piloci innych armii.

**sztabskapitan
Piotr Nikolajewicz
Niestierow**

**rotmistrz
Aleksander
Kozakow**

**MORANE-
SAULNIER G**



TARANEM GO!

W niektórych opracowaniach i wspomnieniach autorzy wymieniają ppłk. Leopolda Pamulę jako pierwszego lotnika, który w II wojnie światowej przeprowadził udany atak taranem i po zniszczeniu niemieckiego bombowca He-111 wyskoczył z uszkodzonego P-11c ze spadochronem. W rzeczywistości zastępca dowódcy Brygady Pościgowej, jak sam napisał w swej relacji, 1 września 1939 roku w rejonie Łomianek koło Warszawy zestrzelił jednego messerschmitta Bf-109. W tym momencie inny, Me-109, trafił w zbiornik z benzyną maszyny Pamuły, doszło do eksplozji, ale polski pilot zdołał wyskoczyć i bezpiecznie wylądował na ziemi.

Mimo tego dementi pierwszy powietrzny taran w II wojnie światowej należy jednak do polskiego pilota. 5 września 1940 roku był dla sierż. Stanisława Karubina i jego kolegów z Dywizjonu 303 kolejnym dniem walk w obronie brytyjskiego nieba. Oddajmy mu głos: „W radiu usłyszałem: »100 bandit« [...]. W tym momencie zauważyłem wyprawę bombową z osłoną messerschmittów. Wyskoczyłem do przodu, dając znak dowódcy. Zwiąaliśmy się w walkę. Zaatakowałem Me-109 dwoma krótkimi seriami. Pałąc się, poszedł w dół. Prysnałem

do góry i zostałem tu zaatakowany przez Me-109, lecz przejechały się po nim hurricany i kopnąc poszedł w dół. Ja za nim. Zeszliśmy do lotu koszącego [...]. Doszedłem go oddając kilka serii. Messerschmitt uciekał nadal. Zdenerwowało mnie to i oddałem serię ostatnich pocisków. Szkop jednak wciąż uciekał. Poniosło mnie przez to bardziej i postanowiłem go wykończyć. [...] Doszedłem go bardzo blisko i żyłką przejechałem się po nim [...]. W tej chwili rąbnął w ziemię i prysnął dym wraz z grudkami ziemi”. Zwycięski pilot kończy swą relację słowami: „I bez pocisku szwab został wykończony”. Sierż. Karubin bez problemów wrócił po walce na lotnisko w Northolt.

Drugi taran powietrzny w II wojnie światowej także miał „polski motyw”. 2 listopada 1940 roku por. Marinos Mitralaxis swym „peze-telem” P-24 F – maszyny te zostały latem 1938 roku zakupione w Rzeczypospolitej przez Królewskie Helleńskie Siły Powietrzne – staranował śmigłem włoski bombowiec. Był to dzień triumfu greckiego lotnictwa, które zestrzeliło wówczas dziesięć włoskich maszyn.

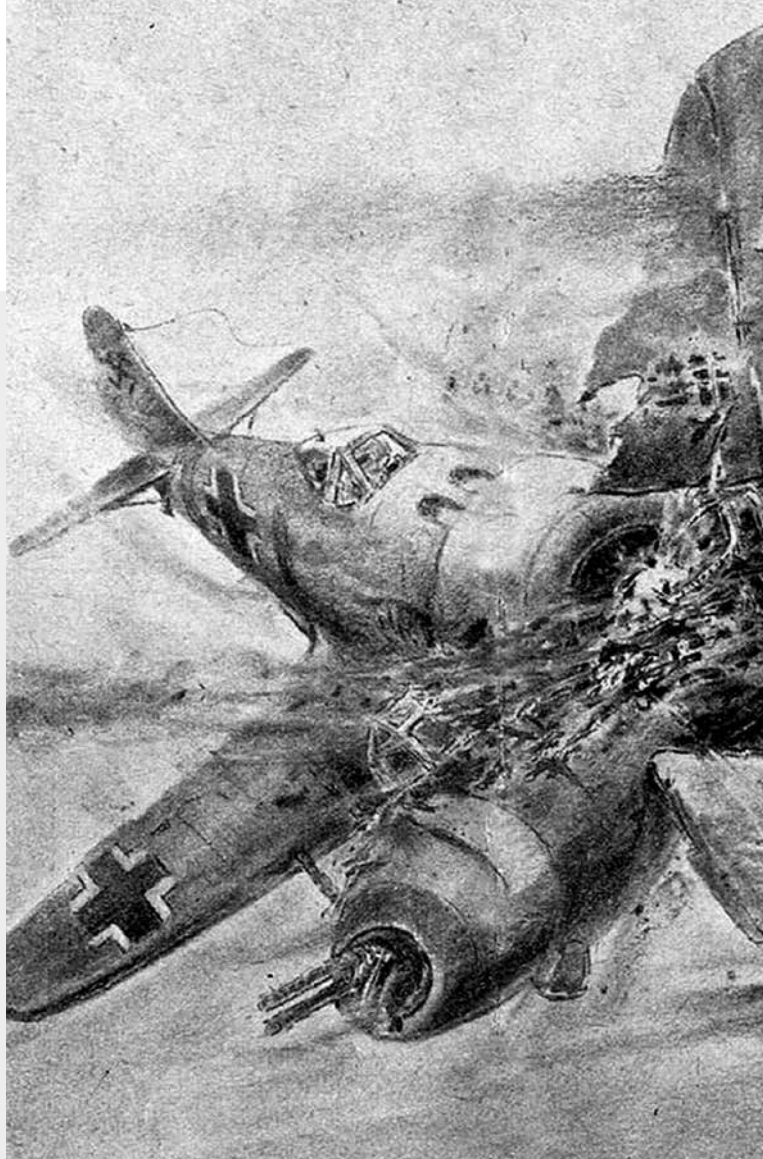
Już w pierwszych dniach operacji „Barbarossa” – niemieckiej agresji na Związek Sowiecki w czerwcu 1941 roku – lotnictwo wojskowe tego kraju poniosło ogromne



straty. Wiele samolotów nie zdążyło wzbić się nawet w powietrze – zostały zniszczone na lotniskach polowych. Ci, którzy zdołali stanąć do nierównej walki, znacznie ustępowali nieprzyjacielowi wyszkoleniem i doświadczeniem bojowym. Czystki stalinowskie lat trzydziestych nie ominęły również lotnictwa i wielu weteranów z wojny hiszpańskiej czy walk z Japończykami nad chińską granicą zostało rozstrzelanych. Nie lepiej było ze sprzętem. Popularne „iszaczki”, nazywane przez Niemców „Rata” (szczur), były już przestarzałe, a przeobrażanie eskadr w nowe typy jaków czy migów rozpoczęło się zbyt późno – piloci ni rzadko dopiero w ogniu walki poznawali nowe maszyny. W takiej sytuacji ataki taranem zaczęły się mnożyć na niespotykaną wcześniej skalę, a przerażone rozmiarami klęski dowództwo sowieckie wręcz namawiało do nich swych pilotów i nagłaśniało je propagandowo jako przejaw „niezwykłego bohaterstwa sowieckich ludzi”.

ATAK W STYLU KLASYCZNYM

Sowiecka historiografia zanotowała listę nazwisk lotników Armii Czerwonej, którzy w obliczu przeważających sił wroga zdecydowali się na brawurowy atak taranem: Charytonow, Butielin, Iwanow, Kokoriew, Moklak, Safonow, Zdorowcew i wielu innych mieli zniszczyć w ten sposób dziesiątki niemieckich bombowców i myśliwców. Już pierwszego dnia wojny – 22 czerwca – sowieccy lotnicy zameldowali o przeprowadzeniu 16 taranów lotniczych. Niektórym udawało się przeżyć brawurowy atak i na zdezelowanych maszynach powrócić na macierzyste lotnisko. Jednym z nich był lejttnant Dymitr Zajcew z 2 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego, broniącego przestrzeni powietrznej nad Kijowem. Dwóm kluczom myśliwskim 2 Pułku udało się w pierwszym dniu wojny rozproszyć szyki niemieckiej wyprawy bombowej na stolicę Ukrainy. W trakcie walki Zajcew zauważył, że jeden z bombowców, wyłamawszy się z rozluźnionego szyku, uparcie leci w kierunku Kijowa. Gdy lejttnant wystrzelał całą amunicję w stronę junkersa, dogonił go, nieznacznie zmniejszył prędkość i zawisł tarczą śmigła swego „iszaka” tuż nad statecznikiem pionowym z hitlerowskim hakenkreuzem. W tym momencie: „gorący strumień powietrza przemieszany ze spalinami wdarł się do kabiny myśliwca wraz z przeraźliwym zgrzytem duralowych blach dartych na strzepy śmigłem »jastrząbka«”. Zajcew, oderwawszy się od nieprzyjaciela, zdążył jeszcze zobaczyć, jak ten wali się w nurty Dniepru. Mimo pogiętych łopat śmigła jego I-16 doleciał szczęśliwie do lotniska w Wasilkowie. Był to jeden z „klasycznych” taranów lotniczych, które – jak wyżej napisano – zdarzały się na froncie wschodnim dość często.



„Jag rammar”, rycina Helmutha Ellgaarda z „Berliner Illustrirte Zeitung”, 1944 rok

Do końca 1943 roku piloci Luftwaffe nie sądzili, że niedługo sami będą stosować te desperackie metody, by zniwelować rosnącą przewagę lotnictwa alianckiego. We wrześniu tegoż roku po raz pierwszy dowództwo niemieckie rozpatrywało plan powołania dywizjonów przechwytyjących, przeznaczonych do atakowania z niewielkiej odległości i w razie konieczności taranujących samoloty wroga. Po długiej dyskusji, pod koniec roku przyjęto do realizacji wariant mjr. Hansa von Kornatskiego, który zaproponował stworzenie Sturmstaffeln (dywizjonów szturmowych), wyposażonych w mocno opancerzone samoloty przechwytyjące o nazwie Rammjägers (tarany). Pierwsza jednostka tego typu powstała na przełomie marca i kwietnia 1944 roku. Oddano do jej dyspozycji zmodyfikowane focke-wulfy Fw 190A-6, wyposażone w dodatkowe opancerzenie i cztery działka kalibru 20 mm, oraz kilka Fw 190A-8/R7 z opancerzonymi krawędziami skrzydeł, ułatwiającymi atak taranujący. Początkowo bliskie ataki „szturmujące” okazały się tak skuteczne, że na ogół taranowanie było niepotrzebne.



mjr Hajo
Herrmann



por. Werner
Gerth



FOCKE-WULF
190

POCZĄTKOWO WSZYSCY PIŁOCI STURM- STAFFELN BYLI OCHOTNIKA- MI, ALE Z CZASEM ZACZĘTO SKŁADAĆ PROPOZYCJĘ SŁUŻBY W TYCH DYWIZJONACH PILOTOM MAJĄCYM NA KONCIE KARY DYSCYPLINARNE

Do jednej z większych akcji Sturmstaffeln doszło 2 listopada 1944 roku. W tym dniu nad Niemcami pojawiło się blisko tysiąc ciężkich bombowców amerykańskiej 8 Armii Lotniczej, eskortowanych przez 600 myśliwców P-51 Mustang i P-38 Lightning. Luftwaffe wysłało przeciw nim prawie 500 samolotów przechwytyjących, w tym 61 Fw 190 z dwóch Sturmstaffeln. Według danych niemieckich, rammjägerzy

zestrzelili 30 z 80 zniszczonych bombowców nieprzyjaciela. Doszło wtedy do jednego ataku taranowego – por. Werner Gerth, po staranowaniu maszyny wroga, zginął, gdyż nie otworzył mu się spadochron.

Początkowo wszyscy piloci Sturmstaffeln byli ochotnikami, ale z czasem zaczęto składać propozycję służby w tych dywizjonach pilotom mającym na koncie kary dyscyplinarne. Za ich darowanie lotnicy musieli przyrzec zniszczenie przynajmniej jednego bombowca w każdej z misji, nie wyłączając w razie konieczności taranowania. Niedotrzymanie przyrzeczenia groziło oskarżeniem o tchórzostwo. Wiosną 1945 roku, gdy zaczęło brakować zarówno samolotów, jak i wyszkolonych pilotów, dywizjony szturmowe coraz częściej stosowały taktykę taranowania. Minister propagandy Joseph Goebbels zapisał w swoim pamiętniku pod datą 31 marca 1945 roku: „Rammjägerzy mają prowadzić teraz ataki samobójcze [...]. Oczekujemy 90% strat, [...] ale przewidujemy ogromne sukcesy”.

Sprawdzeniem tych słów został dzień 7 kwietnia 1945 roku, gdy przy akompaniamencie niemieckich marszów wojskowych emitowanych przez radio 120 samolotów Fw 190 i Bf-109G Rammkom-

mando Elbe mjr. Hajo Herrmanna

ruszyło przeciwko tysiącu superfortec i 800 eskortujących ich myśliwców, lecących nad północne Niemcy. W czasie trwającego 45 minut szaleńczego ataku taranowego rammjägerów zniszczonych zostało osiem nieprzyjacielskich bombow-

ców. Koszty tej akcji były ogromne: jedynie 15 rammjägerów powróciło do swych baz w Stendal i Gardelegen; 28 pilotom udało się wyskoczyć ze spadochronami, a 77 zginęło lub zaginęło. Następnego dnia Goebbels zanotował: „Nasi samobójczy piloci nie odnieśli dzisiaj tak bardzo oczekiwanego sukcesu”. Na szczęście nie musieli już ponawiać kolejnych prób.

Taran lotniczy stosowali także japońscy kamikadze, którzy w samobójczych atakach mieli przebijać swymi samolotami pokłady okrętów przeciwnika, a ponadto zderzać się w powietrzu z ich bombowcami, zwłaszcza z amerykańskimi superfortecami niszczącymi w dywanowych nalotach Tokio i inne miasta Kraju Kwitnącej Wiśni. Jednak, podobnie jak w wypadku niemieckiego sojusznika, efekty wobec mierzącej przewagi ogniowej przeciwnika były mizerne i nie mogły odwrócić zbliżającej się definitywnej klęski Japończyków. ■

95
LAT

ANNA DĄBROWSKA

Koszarowe troski

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Żołnierzowi należy stworzyć takie warunki życia, aby mógł godnie spełniać stawiane mu wymagania.

Bez troski o byt codzienny pełnić sumiennie obowiązki swojego zawodu wyłącznie mu się poświęcając – tak głosi artykuł 48 pragmatyki oficerskiej, niestety codzienne życie często zaprzecza temu przepisowi”, przypomniano w „Polsce Zbrojnej” w 1936 roku.

Jak argumentowano na łamach gazety, służbie wojskowej oficer powinien oddawać się całą duszą i doskonalić nieustannie w swym fachu. „Dlatego należy mu stworzyć takie warunki życia, aby mógł godnie spełniać stawiane mu wymagania”.

ŻONA CZY ORDYNANS

Jednym z problemów, z jakimi borykali się wojskowi, był projekt zlikwidowania instytucji ordynansów. W zamian oficerowie mieli otrzymywać dodatek pieniężny na zatrudnienie służącego. Zdaniem dziennika, na nowych przepisach najbardziej ucierpiałoby kawalerowie.

„Muszą mieć oni, tak jak żonaci, posprzątany pokój, napalone w piecu i wodę do mycia. Z chwilą zabrania ordynansów musiałby oficer sam robić to wszystko, co jest wykluczone ze względu na jego autorytet, lub zatrudnić chłopca do pomocy. Materialnie nie będzie mógł sobie jednak pozwolić na ten zbytek”.

Z kolei mjr Władysław Kawalec argumentował, że ordynans jest koniecznością, aby nie zaprzętać oficerowi głowy troskami życia codziennego, gdyż nawet czas poza służbą musi on poświęcać sprawom swojego zawodu.

Problem braku ordynansa mógł rozwiązać ożenek, ale wybór odpowiedniej żony też nie był łatwy. Zdaniem mjr. Wacława Pawłowskiego, nie może być to lala, która chce wyjść za mąż, aby swobodniej móc używać życia. Przyszła żona oficera powinna być zdrowa i silna, aby sama, bez służby, mogła sobie dać radę w domu, mieć własny fach, który by choć częściowo zabezpieczał los rodziny. „Ważna jest jeszcze ideowość, aby żona rozu-

ORDYNANS JEST KONIECZNOŚCIĄ, ABY NIE ZAPRZĄTAĆ OFICEROWI GŁOWY TROSKAMI O SPRAWY ŻYCIA CODZIENNEGO

miała, jak wielkie znaczenie dla całego narodu ma praca w wojsku”.

Jednak jedną z największych bolączek, zwłaszcza dla korpusu oficerskiego, była sprawa mieszkaniowa. Jak podawała w 1921 roku gazeta, brak mieszkań zmusza władze wojskowe do kwaterowania oficerów w lokalach prywatnych. „Jest to przyczyną nieustannego rozdźwięku między wojskiem a społeczeństwem, skupiając niesłusznie całe odium na oficerach i wywołując starania, aby obrzydzić im pobyt w zajmowanych kątach”.

Dopiero trzy lata później Sejm uchwalił nową ustawę o zakwaterowaniu, zgodnie z którą wojsko miało przede wszystkim mieszkać w koszarach lub budynkach wojskowych. W razie ich braku, kwatery miało dostarczyć państwo.

TYLKO WĘDKI I BUDYN

Mimo upływu lat problem mieszkaniowy nie zniknął. W 1978 roku na łamach gazety czytamy: „Wiadomo, że im lepsze mamy warunki wypoczynku domowego, tym lepsze jest nasze samopoczucie i większa zdolność do służby i pracy. Nic więc dziwnego, że problemy mieszkaniowe w wojsku są przedmiotem szczególnego zainteresowania kierownictwa resortu, dowódców i kwatermistrzów okręgów wojskowych”.

Jak informowano w dzienniku, w ostatnich latach zasoby mieszkaniowe w wojsku znacznie się zwiększyły, nadal jednak sporo osób i rodzin czekało na swoje cztery kąty. „Dlatego wciąż dużą rolę odgrywają internaty garnizonowe. Mieszkają w nich żołnierze zawodowi, którzy czekają na pierwsze mieszkania albo na nowe lokum po przeniesieniu służbowym. Kwaterują tu także ci, którzy uczestniczą w kursach i praktykach szkoleniowych”. Zapewniano, że od 1973 roku intensywnie jest modernizowana baza internatowa w Warszawie – zlikwidowano już wszystkie internaty z ogrzewaniem piecowym, przebudowano też pokoje cztero- i pięcioosobowe na mniejsze.

Kwatery nie były jednak jedynym powodem do narzekań w wojskowym środowisku. „Nasze kasyno przyrządza posiłki na ogół niesmaczne i wydaje je w niedomytych naczyniach. Ponadto nie ma szklanek, a zamiast nich musimy używać słoików po musztardzie. W całym kasynie, obsługującym dwa oddziały, są tylko dwa noże – akurat po jednym na oddział. Nie ma także jadłospisu, a w bufecie prócz papierosów i cukierków nic nie można dostać”, donosił w 1954 roku por. Zenon Wiśniewski.

Z kolei trzy lata później por. Tadeusz Piątek skarżył się na kantinę w szkole oficerskiej. „W kantinie tej

nigdy nie można zaopatrzyć się w najbardziej potrzebne towary. Nie ma wędliny, pieczywa, wyrobów cukierniczych, atramentu, ołówków, piór, papeterii, notesów, odznak dla podchorążych

i wielu innych niezbędnych artykułów. Za to kupić tu można wędki, chociaż w promieniu 20 km nie ma gdzie łowić ryb, kilka metrów nieprzydatnej nikomu tkaniny i budyni”.

Jak donosił oficer, kierowniczka kantyny próbuje na własną rękę, za pomocą przygodnych środków lokomocji, zaopatrywać podległą jej placówkę. „Niewiele to jednak pomaga, a zabiera sporo czasu i powoduje każdorazowo zamykanie kantyny”.

TATUSIOWIE NA URLOPIE

W 1999 roku wojskowi z Wędrzyna narzekali na brak szkoły w mieście. „Od wielu lat dzieci kadry muszą dojeżdżać do szkoły w pobliskim Sulęcinie, co powoduje stratę czasu i sporo niedogodności”. W „Polsce Zbrojnej” informowano jednak, że jest nadzieja na poprawę sytuacji. „Wojsko przekazało jeden z nieużywanych budynków na nową szkołę w Wędrzynie, a gmina zobowiązała się wyasygnować środki na adaptację pomieszczeń”.

Pojawiało się też wiele zmian w prawie regulujących życie wojskowych. W 2012 roku zgodnie z nowymi przepisami na terenie obiektów resortu obrony i jednostek jemu podległych wprowadzono zakaz palenia.

„Palarnie mogą powstać tylko w miejscach oznaczonych, zaopatrzonych w wentylację lub system filtracyjny. Nie mogą się znajdować w izbach żołnierskich, pomieszczeniach, w których są pełnione całodobowe służby lub dyżury bojowe, w salach wykładowych, świetlicach, obiektach sportowych, przychodniach, na placach apelowych i ćwiczeń”, wyliczano w „Polsce Zbrojnej”.

Rok później Paulina Glińska pisała z kolei, że żołnierze, tak jak ich koledzy w cywilu czy innych służbach, będą mogli skorzystać z urlopu ojcowskiego. Teraz bowiem „w ciągu roku od narodzin dziecka większość ojców może iść na dwutygodniowy płatny urlop. Takie prawo przysługuje np. policjantom, strażakom, ale nie wojskowym”, dodawała.

Sytuacja miała się zmienić dzięki odpowiedniemu zapisowi, który znalazł się w projekcie ustawy pragmatycznej. „Takie rozwiązanie z pewnością spełniłoby oczekiwania żołnierzy, którzy także chcą spędzić czas ze swoim nowo narodzonym dzieckiem”.

W NUMERZE LISTOPADOWYM „MÓWIĄ WIEKI”

Temat miesiąca:

Sąsiedztwo bliskie i dalekie Polska i NRD 1949–1990

A w środku m.in.:

- ✎ Wymuszona przyjaźń.
Stosunki Polska–NRD
- ✎ Między przyjaźnią nakazaną
a normalnością.
Kontakty obywateli PRL i NRD
- ✎ Za naszą i waszą wolność? Pomnik
Polskiego Żołnierza i Niemieckiego
Antyfaszysty w Berlinie
- ✎ *We want Miles!*
Festiwale jazzowe w PRL i NRD
- ✎ Sportowe potyczki Polska–NRD
- ✎ Nic śmiesznego? Polska i NRD
we wzajemnej karykaturze



Szanowni Prenumeratorzy „Mówią wieki”

Gorąco zachęcamy – prenumerujcie „Mówią wieki”
Nowa niższa cena (także dla szkół) to jedynie 45 zł za sześć numerów!

Od lipca pismo ma objętość minimum 80 stron
i jest również dostępne w wersji elektronicznej (e-Kiosk).

ZAMÓWIENIA I KONTAKT

Prenumeratę w wydaniu tradycyjnym można zamówić drogą elektroniczną,
wysyłając maila na adres: prenumeratamw@gmail.com
lub dokonując wpłaty według podanego wyżej cennika na konto:

11 1240 1037 1111 0010 5184 4720
(w tytule przelewu proszę wpisać: prenumerata Mówią wieki)

Prenumeratę elektroniczną można zamówić na stronach: egazety.pl, ekiosk.pl, nexto.pl

WŁODZIMIERZ
KALETA

Siła w mundurze



Kiedy siostrzeniec chor. rez. Ryszarda Sołtysa, magister historii, poinformował go, że został przyjęty na roczny kurs oficerski, żołnierz uściśnął mu dłoń i nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Przypomniały mu się wtedy popularne slogany, którymi zachęcano do włożenia munduru w czasach, kiedy on rozpoczynał zawodową służbę wojskową jako podoficer.

Wielu wówczas twierdziło, że mężczyzna, który nie był wojsku, jest „wybrakowany”, a armia to dla młodych ludzi najlepszy sprawdzian charakteru i możliwości. Prawdziwa szkoła życia. Tyle że w latach społecznych przemian hasła te uznano za peerelowski relik. Kiedy jednak chorąży wraca wspomnieniami do czasów zawodowej służby, bo wciąż jest żołnierzem, tyle że Narodowych Sił Rezerwowych, to dochodzi do wniosku, że nie wszystko, co się wówczas mówiło o wojsku, to były puste słowa, propagandowe hasła. Jest bowiem coś w umundurowanej zbiorowości, co – choć trudno to zdefiniować – nadaje służbie szczególny charakter. Czasami ma się wrażenie, że ludzie w mundurach dysponują niezwykłymi mocami.

O tym, że siła woli pozwala w ekstremalnych sytuacjach dokonywać rzeczy niemal niemożliwych, przekonał się już jako chorąży, kiedy żołnierze z jego jednostki wracali z jednego z letnich poligonów. Kilkadziesiąt kilometrów przed miejscowością, w której służyli, ich pociąg się wykołubił. A tak naprawdę to trzy wagony, na szczęście ze sprzętem, a nie z ludźmi. W tym jednak, w którym stała kuchnia, krzatali się kucharze. Jeden z nich został przyciśnięty przez wagon. Żołnierze pobiegli go ratować. Dołączył do nich lekarz jednostki, mężczyzna niezbyt imponującej postury. Chwycił gruby pałak, który służył do holowania kuchni, podłożył pod krawędź wagonu i... wygiął go w wielkie „L” niczym mocarny August II Sas łamiący w rękach podkowy. Żołnierze na chwilę oniemieli ze zdziwienia. Było ich coraz więcej do pomocy i szybko udało się podnieść wagon na tyle, by wyciągnąć spod niego kucharza. Poszkodowany odjechał do szpitala jedną z karetek, które pojawiły się na miejscu katastrofy. Okazało się, że uratowany oprócz siniaków nie miał żadnych złamań.

O wyczynie lekarza długo mówiła cała jednostka. Chorąży zdaje sobie sprawę z tego, że w podobnej sytuacji również niejeden cywil mógłby się wykazać niesamowitą siłą, a mundur to nie strój Supermana. Wie jednak, że w wojsku ludzie często spotykają się z ekstremalnymi zdarzeniami, które stanowią dla nich pewnego rodzaju sprawdzian i kształtują ich charaktery.



Ppłk w st. spocz. WŁODZIMIERZ KALETA służył
w 7 Łużyckiej Dywizji Desantowej.

Już w połowie lat trzydziestych XX wieku w Niemczech gen. Erich von Manstein zaproponował utworzenie mobilnych dział piechoty i przeciwpancernych, czyli artylerii szturmowej (Sturmartillerie). Ich zadaniem miało być bezpośrednie wsparcie ogniowe atakujących wrogie pozycje piechurów. W 1937 roku powstał pierwszy prototyp takiego działu Sd.Kfz 142 z armatą kalibru 75 mm. Już wtedy uznano, że samobieżne działa powinny mieć łączność radiową. Niemniej jednak produkcji tych pojazdów nie rozpoczęto przed wybuchem II wojny światowej. Niemcy szybko wyciągnęli wnioski ze swej pierwszej kampanii w Polsce. Podczas walk we wrześniu 1939 roku sprawdziła się koncepcja wojny błyskawicznej, blitzkriegu, ale niemieccy wojskowi dostrzegli pewne jej niedoskonałości. Jedną z nich był brak samobieżnych dział w jednostkach zmotoryzowanej piechoty, współdziałających z czołgami.

KOŁA NA GAŚNIENICACH

Tuż po zakończeniu działań wojennych w Polsce, w Niemczech skonstruowano prototyp działu samobieżnego. Na pozbawionym wieży podwoziu lekkiego czołgu Panzer I Ausf. B zamontowano sprawdzone działko piechoty sIG 33 kalibru 150 mm. Rozwiązanie to było prowizoryczne, bo działko było osadzone razem z kołami, dodano tylko osłonę dla obsługi. Konstrukcja nie zachwyciła wojskowych, choćby ze względu na wysokość – 3,35 m. Grubość opancerzenia wahała się od 6 do 13 mm, co chroniło tylko przed ostrzałem

z broni strzeleckiej i niewielkimi odłamkami. Jako że brakowało miejsca na amunicję, był potrzebny dodatkowo wóz amunicyjny.

Pomimo krytycznych uwag, ze względu na planowane na wiosnę uderzenie na Europę Zachodnią, Niemcy zdecydowali się na początku 1940 roku na zlecenie firmie Alkett wyprodukowania niewielkiej partii 38 dział o oznaczeniu: 15 cm sIG 33 (Sf) auf Panzerkampfwagen I Ausf. B. Pojazd ten czasami bywa też określany jako Sturmpanzer I Bison.

Z 36 dział sformowano sześć samodzielnych kompanii ciężkich dział piechoty, Schwere Infanteriegeschütz-Kompanie, o numerach 701–706, które przydzielono dywizjom pancernym. Walczyły one we Francji w maju–czerwcu 1940 roku. W następnym roku 704 Kompania z 5 Dywizji Pancernej brała udział w walkach na Bałkanach. Od 22 czerwca 1941 roku dział Sturmpanzer I używano na froncie wschodnim, gdzie wiele z nich utracono. Ostatnie informacje o nich pochodzą z połowy 1943 roku i dotyczą wspomnianej 704 Kompanii.

W 1941 roku Niemcy dokonali przebudowy na działko szturmowe tuzina czołgów Panzer II. Na tych wozach również zamontowano działko piechoty sIG 33. W porównaniu z poprzednikiem, pojazd oznaczony jako 15 cm sIG 33 auf Fahrgestell Panzerkampfwagen II (Sf) lub Sturmpanzer II Bison był znacznie niższy (tylko 1,9 m). Z tych, które na początku 1942 roku wysłano do Afryki Północnej, sformowano 707 i 708 Kompanię. Według dostępnych informacji, ostatnie działa tego typu utra-

TADEUSZ WRÓBEL

SZTURMOWE DZIAŁA HITLERA

Niemcy jako pierwsi zaczęli używać samobieżnej artylerii do wsparcia działań szturmowych piechoty.



cono w końcu 1942 roku, podczas odwrotu sił niemiecko-włoskich w Libii po przegranej bitwie o El-Alamein. Innym działem szturmowym, które powstało w wyniku połączenia podwozia przestarzałego czołgu z działem piechoty, było Sturmpanzer 38(t), znane też jako Panzerhaubitze Grille. W tym wypadku Niemcy postanowili wykorzystać nowe podwozia przejętej przez nich czeskiej konstrukcji Lehty Tank vz. 38 (w Niemczech oznaczany jako Panzer 38(t) Ausf. H). W porównaniu z wcześniejszymi przeróbkami miał on lepsze opancerzenie – 50 mm przodu kadłuba i 30 mm przedziału z działem, podobnie jak w Sturmpanzer I i II odkrytego od góry. On także był on stosunkowo wysoki – 2,47 m. Oprócz dział produkowano też pojazdy, z których pierwszych 200 powstało od lutego do czerwca 1943 roku w zakładzie BMW w Pradze, a w listopadzie – dziesięć następnych. Od grudnia 1943 roku do końca wojny wyprodukowano jeszcze 179 egzemplarzy dział Grille na podwoziu czołgu Panzer 38(t) Ausf. M. Pojazdy otrzymały też karabiny maszynowe MG34 kalibru 7,92 mm do samoobrony. Jako że pojazd Grille zabierał zaledwie 15 pocisków, opracowano dla niego, także na podwoziu panzeru 38(t), wóz amunicyjny. Sturmpanzer 38(t) były zorganizowane w kompanie po sześć wozów, które przydzielano do pułków grenadierów pancernych.

PODSTAWOWA KONSTRUKCJA

Już w 1940 roku w Niemczech rozpoczęto produkcję samobież-

nego działa, nad którym prace trwały od połowy lat trzydziestych Sturmgeschütz III (StuG III) oparto na podwoziu średniego czołgu Panzer III, na którym osadzono pancerny kadłub z krótkolufową haubicą StuK 37 L/24 kalibru 75 mm. Ze względu na małą prędkość wystrzeliwanych pocisków działo to było przeznaczone do zwalczania nieopancerzonych pojazdów i umocnień polowych, np. stanowisk karabinów maszynowych. Sturmgeschütz III zorganizowano w bataliony (Sturmgeschütz-Abteilungen).

Wyboru głównego uzbrojenia dokonywano w czasach, gdy czołgi używane w armiach europejskich miały w większości bardzo słabe opancerzenie. Po wybuchu wojny ze Związkiem Sowieckim Niemcy z konsternacją zauważyli, że Armia Czerwona oprócz masy przestarzałych wozów T-26 czy BT-3 ma silnie opancerzone i uzbrojone czołgi średnie T-34 i ciężkie KW-1. Dlatego produkowane od wiosny StuG III były uzbrojone w długolufową armatę StuK 40 L/43, a jesienią dostały StuK 40 L/48, która miała jeszcze lepsze parametry, gdy chodziło o przebijalność pancerza. W efekcie działa szturmowe ewoluowały w kierunku niszczycieli czołgów czy też dział wielofunkcyjnych. Jednak ich nowe armaty były mniej skuteczne w zwalczaniu piechoty i fortyfikacji niż krótkolufowa haubica. Próba poprawy sytuacji było montowanie na części wozów innego uzbrojenia. W końcu 1941 roku niewielką liczbę dział szturmowych uzbrojono w sIG 33. Oznaczono je jako Sturm-Infanteriegeschütz 33B (StuIG 33 B). Z kolei część wozów StuG Ausf. F przekształcono w haubice szturmowe – Sturmhaubitze 42 (StuH 42).

Inną zmianą, wprowadzoną na podstawie doświadczeń z frontu wschodniego, było dozbrojenie →

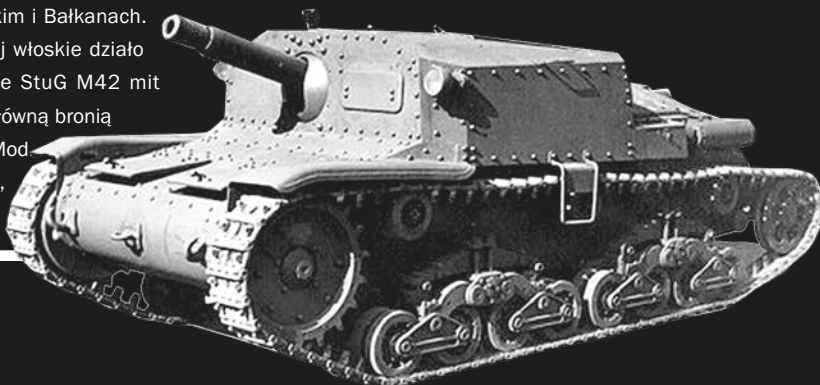
TOMASZ SZULEJKO



CENNA ZDOBYCZ

Po zawarciu przez Włochy rozejmu z aliantami armia niemiecka przejęła 131 dział szturmowych Semovente da 75/18 i zamówiła jeszcze 55. Pojazdy te rozdzielono pomiędzy kilkanaście dywizji walczących na froncie włoskim i Bałkanach. W służbie niemieckiej włoskie działo otrzymało oznaczenie StuG M42 mit 75/18 850 (i). Jego główną bronią była haubica 75/18 Mod. 34 kalibru 75 mm, z zapasem 44 poci-

sków. Niemcy używali też przejętych dział szturmowych Semovente 75/34, którym nadali oznaczenie StuG M42 mit 75/34 851 (i). Te pojazdy były uzbrojone w armaty 75/34 Mod. S.F. z zapasem 46 nabo- ■



w końcu 1942 roku działa szturmowego w karabin maszynowy MG34 kalibru 7,92 mm (od lata 1944 roku broń na dachu była sterowana z wnętrza pojazdu). Zamontowany na stropie kadłuba, służył załodze do obrony przed piechotą wroga. Ostatnie modele dostały też MG34 sprzężony z armatą. Najbardziej popularną wersją był wóz StuG III Ausf. G – od grudnia 1942 roku wyprodukowano ich ponad osiem tys. egzemplarzy. Do tego od marca 1943 roku powstało jeszcze około 1300 haubic StuH 42 i tylko 24 sztuki dział StuIG 33 B.

CZOŁGI SZTURMOWE

Począwszy od 1944 roku, do służby w niemieckich siłach zbrojnych zaczęły wchodzić nowe działa szturmowe, Sturmgeschütz IV. Była to nieco zmodyfikowana zabudowa ze Sturmgeschütz III umieszczona na podwoziu średniego czołgu Panzer IV. Jego główną bronią stanowiła armata StuK 40 L/48 z zapasem 63 nabo- W grudniu 1943 roku konstrukcję zaproponowaną przez firmę Alkett zaaprobował Hitler. Do wojny powstało ich nieco ponad 1100. Ograniczona ich liczba spowodowała, że Sturmgeschütz IV był tylko uzupełnieniem dla Sturmgeschütz III, które pozostawało podstawowym działem szturmowym wojsk Trzeciej Rzeszy.

Niemcy opracowali też na podwoziu czołgu Panzer IV samobieżną haubicę przeznaczoną do wsparcia piechoty podczas walk na obszarach zurbanizowanych. Wóz Sturmpanzer 43 lub noszący oznaczenie Sd.Kfz. 166 uzbrojono w haubicę StuH 43 I/12 kalibru 150 mm, do której w pojeździe mieściło się 38 pocisków plus ładun-

ki miotające. Produkcja rozpoczęła się w kwietniu 1943 roku w Sankt Valentin w Austrii. Do lutego 1945 roku wyprodukowano ich około 300. Sturmpanzer 43 przydzielono do trzech batalionów i dwóch kompanii dział samobieżnych. Co ciekawe, jednostek tych nie podporządkowano, jak inne, artylerii, lecz wojskom pancernym. Sturmpanzer 43 zadebiutował na polu walki w lipcu 1943 roku podczas bitwy pod Kurskiem.

Najpotężniejszym czołgiem szturmowym armii niemieckiej był Sturmpanzer VI, nazywany szturmowym tygrysem. Masa pojazdu wynosiła 65 t. Niemcy początkowo planowali uzbroić go w haubicę kalibru 210 mm, ale ponieważ była niedostępna, jako alternatywne rozwiązanie wybrano moździerz raketowy StuM RW61 L/5,4 kalibru 380 mm. Broń ta powstała w wyniku zmodyfikowania wyrzutni bomb głębinowych używanej przez Kriegsmarine. Masa naboju wynosiła około 350 kg (według innych źródeł 376 kg), a pojazd zabierał ich 14.

W latach 1943–1945 powstały jeden prototyp i 18 seryjnych „szturmowych tygrysów”. Pojazdy te rozdzielono pomiędzy trzy kompanie moździerzy szturmowych, noszące numery 1000, 1001 i 1002. Szturmowych tygrysów użyto przeciwko powstańcom warszawskim, wykorzystywano je także na froncie zachodnim, m.in. podczas ofensywy w Ardenach.

Niemcy zbudowali kilkanaście tysięcy dział szturmowych różnych typów, ale nie byli w stanie wygrać rywalizacji z przemysłem Stanów Zjednoczonych i Związku Sowieckiego, który miał, podobnie jak w przypadku czołgów, większe zdolności produkcyjne. ■

KRZYSZTOF
KUBIAK

Z lądu przeciw okrętom



Historia wojen morskich pokazuje, że w bataliach ery artyleryjskiej, w których wojska lądowe były zmuszone zmagać się z okrętami, a nie dysponowały solidnymi umocnieniami nadbrzeżnymi, flota zwykle brała górę. Oczywiście, zdarzały się wyjątki, jak choćby w roku 1795, gdy 23 stycznia francuski 8 Pułk Huzarów, szarżując po lodzie, zdobył zamrzniętą w wodach zatoki Zuiderzee, między portem Den Helder a wyspą Texel, holenderską eskadrę złożoną z 14 okrętów uzbrojonych w ponad 850 dział. Był to jednak wynik szczególnego zbiegu okoliczności, który nie zmienia faktu, że wojska polowe w konfrontacji z flotą najczęściej poddawały tyły. Sytuacje odmienne zasługują zatem na szczególną uwagę.

Tak zdarzyło się, na przykład, podczas drugiej wojny o Szlezwik w roku 1864, gdy koalicja prusko-austriacka zaatakowała Danię. Kiedy sojusznicy wkroczyli na Półwysep Jutlandzki, Duńczycy cofnęli się na umocnione pozycje skrzydłowe położone nad Bałtykiem – Fredericia oraz Dybbøl (niem. Düppel). W rejonie drugiej z nich rozegrała się decydująca bitwa owej wojny. Wojska pruskie dotarły pod Dybbøl 17 marca 1864 roku. Następnego dnia rozpoczęło się regularne oblężenie. Prusacy nie rwali się do szturm, ruszył on dopiero 18 kwietnia. Początkowo Duńczycy usiłowali wspierać obrońców ogniem monitora wieżowego „Rolf Krake”. Jednostka miała bardzo silne opancerzenie burtowe, ale pokład był chroniony zaledwie symbolicznie. Po pierwszym zaskoczeniu Prusacy ostrzelali go więc ogniem haubic. Pociski, spadające pod dużym kątem, przebiły pokład i eksplodowały we wnętrzu kadłuba. Okręt wycofał się, a Duńczycy stracili swój największy atut – dwie mobilne 68-funtowe armaty rażące nadbrzeżne pozycje wroga – i ostatecznie przegrali bitwę, tracąc niemal 5 tys. żołnierzy. Po klęsce skandynawska monarchia nie zdołała się już podnieść.

Z kolei podczas wojny falklandzkiej, 3 kwietnia 1982 roku, straty niepowodujące tak dalekosiężnych konsekwencji, ale równie bolesne, zadali brytyjscy marines siłom argentyńskim atakującym Grytviken w Georgii Południowej. Obrońcy, których było zaledwie 22, mimo znaczącej przewagi przeciwnika (60 żołnierzy, fregata, transportowiec antarktyczny) nie tylko zestrzelili dwa jego śmigłowce, lecz także zmusili do odwrotu dysponujący pełną swobodą manewru okręt. Doszło do tego, gdy fregata ARA „Guerrico” weszła do Zatoki Grytviken, by rozstrzygnąć starcie ogniem swej stumilimetrowej armaty. Brytyjczycy odczekali, aż okręt zbliży się na odległość 550 m do ich zamaskowanych pozycji i otworzyli ogień z granatnika Carl Gustaw. Pocisk trafił w dziobową część okrętu, tuż ponad linią wodną, zabijając jednego marynarza i raniąc kilku innych. Eksplozja przerwała również tor kablowy zasilający armatę. Argentyńczycy usiłowali wówczas obsadzić 40-milimetrowe armaty przeciwlotnicze, ale marines ostrzelali pokład z karabinu maszynowego, przez co uniemożliwili im ten manewr. Pomost bojowy fregaty znalazł się zaś pod ogniem strzelca wyborowego. W takiej sytuacji okręt rozpoczął odwrót. Zanim „Guerrico” opuścił zatokę, Brytyjczycy trafili go jeszcze trzykrotnie: pociskiem wystrzelonym z granatnika Carl Gustaw – we wspornik pojemnika startowego rakiety przeciwokrętowej Exocet, i dwoma pociskami LAW kalibru 72 mm – w kadłub. Ostatecznie brytyjscy marines skapitulowali, ale ze świadomością, że dotkliwie upokorzyli dumną, acz nieudolną marynarkę argentyńską. ■



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ ROZMOWA



NA MURACH MALOWANE

Z Rafałem Roskowińskim

**o znaczeniu murali w budowaniu tożsamości narodowej
i ich roli jako nowoczesnej formy edukacji patriotycznej
rozmawia Anna Dąbrowska.**

ANNA DĄBROWSKA





W

polских miastach na murach budynków powstaje coraz więcej murali i graffiti nawiązujących do naszej historii. Malarstwo patriotyczne stało się modne?

Zawsze było, tylko uprawiane w innej formie. Wielkie realistyczne malarstwo historyczne cieszyło się ogromną popularnością szczególnie w XIX wieku, i to nie tylko w Polsce, lecz także na całym świecie. Chętnie malowano wojny, bitwy i wodzów. O polskich dziejach opowiadali pędzlem Aleksander i Maksymilian Gierymscy, Józef Brandt, Józef Chełmoński, Jan Matejko czy Kossakowie – Wojciech, Juliusz i Jerzy. Możliwe, że bez ich obrazów nasza świadomość narodowa byłaby mniejsza.

Skąd u Pana zainteresowanie tematami historycznymi?

Pochodzę z artystycznej rodziny. Dzięki ojcu – malarzowi dorastałem w tradycji XIX-wiecznego malarstwa, poznając wielkich polskich mistrzów. Moja dzisiejsza twórczość

jest próbą powrotu do tych wspaniałych tradycji i inspiracji obrazami z tamtego okresu. Chcę pokazywać, że malarstwo historyczne cały czas jest modne, tym bardziej że nie mamy powodu, aby wstydić się naszych dziejów. Potwierdza to zresztą mural, nad którym pracuję na osiedlu Piaski w Legionowie. Na murze Narodowego Centrum Kryptologii powstaje opowieść o największych, najsłynniejszych, zwycięskich lub heroicznych polskich bitwach.

Powstanie najdłuższy historyczny mural w Polsce...

To prawda. Obrazy zapełnią mur długości ponad 750 m, biegnący wzdłuż torów kolejowych. Wydaje się, że to duża powierzchnia, ale muszą się na niej zmieścić 54 batalie wybrane razem z Ministerstwem Obrony Narodowej – od bitwy pod Cedynią w 972 roku po starcia, w których brali udział polscy żołnierze w Afganistanie. Na taką rozbudowaną opowieść 750 m to niewielka przestrzeń. Dlatego przedstawiam bitwy w symbolicznej formie, prezentując sceny z potyczek, elementy uzbrojenia czy wodzów. Dla zachowania czytelności obrazu stosuję komiksową kreskę i tylko cztery kolory: czarny, biały, czerwony i szary.



ANNA DĄBROWSKA

Moja twórczość jest próbą powrotu do wspaniałych tradycji XIX-wiecznego malarstwa i inspiracji obrazami z tamtego okresu. Chcę pokazywać, że malarstwo historyczne cały czas jest modne, tym bardziej że nie mamy powodu, aby wstydzić się naszych dziejów

Dlaczego wybrał Pan taką formę wyrazu artystycznego, jak murale, do przedstawiania historii?

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku, kiedy kończyłem studia, malarstwo tradycyjne nie było modne. Wówczas najlepszą formą dotarcia do szerszego grona odbiorców okazało się malowanie w przestrzeni publicznej. Tutaj widownia jest zawsze, codziennie moją twórczość oglądają setki osób. Mural staje się coraz bardziej znaczącą formą sztuki, tym bardziej że żyjemy w świecie obrazów. To one przemawiają do nas z billboardów, reklam, komiksów czy murali, to one kształtują naszą rzeczywistość. Dlatego, malując murale historyczne, mogą budować naszą dumę i tożsamość narodową, przypominać, o co walczyli nasi przodkowie. Trzeba pamiętać o historii, bo bez niej nie można tworzyć przyszłości kraju i narodu.

Mural może być zatem nowoczesną formą edukacji patriotycznej?

Zdecydowanie tak. Ktoś, kto na co dzień nie interesuje się historią czy malarstwem, nie pójdzie do muzeum, aby obejrzeć „Bitwę pod Grunwaldem” Matejki czy batalistyczne obrazy Kossaków, ale mural zobaczy po drodze do pracy czy szkoły. Nie powie mu on wszystkiego o danym wydarzeniu, ale jest szansa, że zainspiruje do samodzielnego szukania w dokumentach i książkach informacji na jego temat. Może taki obraz kogoś zaintryguje na tyle, że będzie chciał się dowiedzieć czegoś więcej o namalowanym wydarzeniu – co to była za bitwa, kto i dlaczego w niej walczył, kto zwyciężył. Nawet jeśli będzie to tylko jeden na tysiąc przechodniów, to też sukces. Przede wszystkim mam nadzieję, że moje grafiki ➔



WIZYTÓWKA



RAFAŁ ROSKOWIŃSKI

Jest malarzem, autorem grafik, komiksów, obrazów i murali. Uważany za pioniera i legendę polskiego muralu. Jest absolwentem Wydziału Malarstwa i Grafiki Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku oraz twórcą Gdańskiej Szkoły Muralu, w której naucza technik jego projektowania i wykonywania. Na murach Gdańska, Warszawy, Lublina czy Bukaresztu stworzył kilkadziesiąt malowideł wielkoformatowych. Wiele z tych prac poświęcił tematyce patriotycznej i historycznej, m.in. mural upamiętniający Bitwę Warszawską pod Radzyminem, murale o tematyce powstańczej w Muzeum Powstania Warszawskiego oraz na murze stadionu Polonii Warszawa czy portret gen. Augusta Fieldorfa „Nila” na murze więzienia na Mokotowie. Współtworzył też mural poświęcony pamięci rotmistrza Witolda Pileckiego na warszawskim Ursynowie.

zainteresują dzieci i młodzież, zachęcą ich do poznawania historii, zmuszą do refleksji. W ten sposób będzie można uzupełnić braki w edukacji lub wiedzę typowo szkolną. Może oglądający legionowski mural dowiedzą się czegoś więcej o bitwie pod Oliwą, rozegranej między flotą polską i szwedzką, oraz o admirałe Arendcie Dickmannie, Holendrze dowodzącym polskimi siłami? Albo o bitwie pod Chocimiem i roli w tym starciu Kozaków pod dowództwem Piotra Konaszewicza-Sahajdacznego?

Na legionowskim muralu pokazuje Pan kilkaset lat naszej historii. Ma Pan swój ulubiony okres?

Bardzo lubię czasy Rzeczypospolitej Obojga Narodów, kiedy byliśmy krajem wielonarodowym, wielokulturowym, rozwijającym się gospodarczo, militarnie i technicznie. Fascynuje mnie także okres II Rzeczypospolitej. Wtedy nasi przodkowie po 123 latach niewoli odziedziczyli kraj w kompletnej ruinie i w ciągu kilku lat, dzięki ciężkiej pracy i ogromnemu zapałowi, potrafili go odbudować.

W jednym z wywiadów powiedział Pan, że w malowaniu murali ważne jest dążenie do wycucia nastrojów oraz zapotrzebowania społecznego i próba odpowiedzi na nie. Jak Pan to rozumie?

Malując w przestrzeni publicznej, nie można ignorować miejsca, w którym powstaje mural. Dlatego w Legionowie fragment obrazu będzie nawiązywał do historii miasta. Pokażę gen. Bolesława Roję, który na cześć czynu legionowego nadał koszarom w Jabłonnie nazwę Legionowo, walki w Legionowie w sierpniu 1944 roku oraz tutejsze budynki. Z kolei kiedy tworzyłem mural w niebezpiecznej dzielnicy Tatary w Lublinie, musiałem najpierw pokazać mieszkańcom projekt do zaakceptowania. Na szczęście uznali, że obraz nawiązujący do godła Rzeczypospolitej z 1569 roku, w którym została zawarta unia lubelska między Polską i Litwą i powstała Rzeczpospolita Obojga Narodów, to dobry pomysł. W ten sposób, dostosowując mural do mieszkańców i miejsca, gdzie powstanie, wiem, że gotowy obraz wtopi się w pejzaż miasta i dzielnicy, a mieszkańcy będą się z nim utożsamiali. ■



Śladami polskiego zwycięstwa

Rezerwiści przejechali szlakiem bitwy nad Niemnem.

Delegacja Związku Oficerów Rezerwy RP im. Marszałka Józefa Piłsudskiego z Warszawy 20–23 września 2016 roku odbyła podróż szlakiem bitwy niemeńskiej. Celem wyprawy było upamiętnienie największego, obok Bitwy Warszawskiej, zwycięstwa Polaków w wojnie polsko-bolszewickiej. Rezerwiści odwiedzili m.in. symboliczną mogiłę poległych 96 lat temu polskich żołnierzy w Berżnikach i polskie gimna-

zjum w Turgielach na Litwie, a także zobaczyli pomnik Józefa Piłsudskiego w Sokółce. W Wilnie rezerwiści wspólnie z polskim ambasadorem Jarosławem Czubińskim i konsulem generalnym Stanisławem Cygnarowskim złożyli wieńce na cmentarzu wojskowym. Wyprawa została zorganizowana dzięki pomocy Ministerstwa Obrony Narodowej w ramach akcji „Pomoc Polakom na Litwie”. AD ■

Obowiązkowe kamasze

Władze Szwecji mogą przywrócić zniesiony w 2010 roku powszechny obowiązek służby wojskowej. Takie rozwiązanie zasugerowali autorzy raportu opracowanego na zlecenie rządu. Według tego dokumentu, prowadzona obecnie ochotnicza rekrutacja nie pozwala na pozyskanie potrzebnej armii liczby żołnierzy. Likwidując pobór, władze zakładały, że rocznie do wojska będzie wstępować około 4 tys. żołnierzy, ochotników jest jednak tylko 2,5 tys.

Powszechny pobór miałby się rozpocząć w lipcu 2017 roku. Zostaną nim objęci Szwedzi urodzeni po 1999 roku. W myśl zasady równości płci obowiązującej w tym kraju, karty powołania dostaną zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Liczba osób, które zostaną powołane do dziewięciomiesięcznej służby, będzie zależała od ilości ochotników. Jednocześnie w raporcie eksperci proponują podwyższenie płac w wojsku oraz uzależnienie ich wysokości od wysłużonych lat. Z kolei młodzi żołnierze mogliby liczyć na pomoc w spłacaniu rat studenckich kredytów stypendialnych. AD ■

Zabytek zza oceanu

Muzeum w Poznaniu wzbogaci się o nowy eksponat.

Udało się zdobyć pojazd, który podczas II wojny światowej służył żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Do Muzeum Broni Pancernej w Poznaniu, oddziału Muzeum Wojska Polskiego,

trafił samochód pancerzy Dingo używany przez 15 Pułk Ułanów Poznańskich II Korpusu Polskiego. Po wojnie pojazd znalazł się w USA, a jego ostatnim właścicielem był John Gradomski z Michigan.

Wóz jest w dobrym stanie i, jak mówi ppłk Tomasz Ogrodniczek, szef poznańskiego muzeum, można do niego wsiąść, uruchomić go i odjechać. Dingo to brytyjski dwuosobowy samochód uzbrojony

w ręczny karabin maszynowy i pokryty pancerzem o grubości od 5 do 30 mm. Wyprodukowano blisko 6700 takich pojazdów. Korzystały z nich brytyjskie, polskie i kanadyjskie wojska pancerne i rozpoznawcze. Kilka sztuk dingo znajduje się w polskich zbiorach, ale ten będzie pierwszym w naszym kraju autentycznym egzemplarzem wykorzystywanym przez polskie jednostki na Zachodzie. ŁZ ■

ANNA DĄBROWSKA

Wielonarodowa nekropolia

Na toruńskim wzgórzu znajdziemy
13 miejsc pamięci.



16 stycznia 1920 roku 18 Pułk Ułanów Pomorskich, nazywany jeszcze wówczas 4 Pułkiem Ułanów Nadwiślańskich, wyruszył z Poznania do Inowrocławia. Rozpoczął działania bojowe związane z objęciem Pomorza, przyznanego Polsce ustaleniami traktatu wersalskiego. Pułk stanowił straż przednią grupy bojowej, której zadaniem było zajęcie Torunia.

Następnego dnia około 7.00 rano w okolicy wsi Lipie w pobliżu Gniewkowa doszło do walk z Grenzschutzem. Podczas potyczki z Niemcami zginął pierwszy żołnierz pułku, powstaniec wielkopolski plut. Gerard Pająkowski. Pogrzeb ułana, zorganizowany kilka dni później w przejętym przez Polaków Toruniu, stał się wielką manifestacją polskości.

„Cichy ten bohater i młody Pomorzanin walczył w ówczesnym pułku toruńskim, poległ w potyczce z »Grenczucem« pod Gniewkowem. Wola Pomorza stawia się hardo przeciw bezczelności niemieckiej oraz tym wewnętrznym próbom, które w postaci obłudnej czy jawnej uprawiają tutaj swój interes osobisty i partyjny na szkodę ludności pomorskiej”, pisano w „Słowie Pomorskim” w 1927 roku w siódmą rocznicę śmierci ułana.

Jak opisywano w dzienniku, w rocznicę tę na cmentarzu wojskowym w Toruniu zgromadziły się tłumy. Na zakończenie uroczystości zebrani odśpiewali „Rotę”. „Pieśń skupiła się około wiecznego przybytku młodego bohatera i świeżo złożony mu wieniec płomienną aureolą unio-

sła ku niebu: jak myśl powstańcza, wyzwolenicza zwycięża ponad grób”.

PRUSKI RODOWÓD

Do dziś mogiła plutonowego znajduje się na Cmentarzu Garnizonowym w Toruniu, nazywanym teraz Cmentarzem Komunalnym nr 1. Historia nekropolii sięga 1816 roku. Wówczas to miejsce pochówku przeznaczono dla żołnierzy armii pruskiej garnizonu Twierdzy Toruń. Wybrano je między murami miejskimi a stawem Kaszownik, na półhektarowym terenie przejętym od Christiana Elsnera. Były właściciel otrzymał za ziemię odszkodowanie, jednak ciągle roszczenia co do niej spowodowały, że w 1839 roku nekropolia została zlikwidowana, a działka przekazana właścicielowi. W tym samym roku w centrum miasta wytyczono nowe miejsce pochówku żołnierzy stacjonujących w Toruniu.

W latach 1920–1939 Cmentarz Garnizonowy należał do Parafii Rzymskokatolickiej Kościoła Garnizonowego pw. św. Katarzyny Aleksandryjskiej. Po zakończeniu wojny władze miasta postanowiły nekropolię przeznaczyć dla zasłużonych mieszkańców Torunia. Przemianowano wówczas cmentarz na komunalny. Pochowano tutaj m.in. Hugona Morycińskiego, znanego reżysera i dyrektora Teatru im. Wilama Horzycy, oraz Witolda Łukaszewicza, profesora nauk historycznych i rektora Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Przez lata kształt i granice nekropolii zmieniały się kilkakrotnie ze względu na pro-



**Pogrzeb
plut. Gerarda
Pająkowskiego
stał się wielką
manifestacją
polskości**



ANNA DĄBROWSKA (2)

wadzone wokół prace urbanistyczne. Po 1928 roku poszerzono ją o obszar przylegający od zachodu. Ostatnią ważną zmianę przeszła w latach siedemdziesiątych XX wieku. Z powodu przebudowy ulicy Przy Kaszowniku zlikwidowano południową część ze starą kaplicą, po której pozostał tylko fragment fundamentów.

Mimo XIX-wiecznego rodowodu na cmentarzu zachowało się niewiele obiektów pochodzących z pierwszych lat jego istnienia. Nagrobki z tamtego okresu nie przetrwały do naszych czasów, a dwa najstarsze pochodzą z 1861 oraz 1870 roku (grób sierżanta Augusta Ferdinanda Perganckiego).

W centralnym punkcie nekropolii, na skrzyżowaniu głównych alei, stoi duży żeliwny krzyż z wizerunkiem Jezusa w cierniowej koronie. Ufundował go w 1843 roku król pruski Fryderyk Wilhelm IV. Nie zachowały się natomiast mogiły jeńców francuskich, którzy w latach siedemdziesiątych XIX wieku budowali i modernizowali forty Twierdzy Toruń.

BOHATEROWIE WOJEN

Teren cmentarza, liczący dziś blisko 2 ha, jest podzielony na kilkanaście nieregularnych kwater. Znajdziemy tutaj aż 13 miejsc pamięci. Jednym z nich jest kwatera żołnierzy niemieckich poległych podczas I wojny światowej. Umieszczono tutaj głaz z upamiętniającym zmarłych napisem w języku niemieckim.

Niedaleko znajduje się tzw. pole grzebalne polskich żołnierzy, którzy zginęli w walce z bolszewikami w czasie I wojny. Wyznaczają je rzędy betonowych krzyży, na których są tabliczki z nazwiskiem, stopniem i jednostką wojskową poległego. Sporo jest też nagrobków z okresu międzywojennego. Na cmentarzu chowano zmarłych żołnierzy

i ich rodziny. Spoczęli tu także wojskowi, którzy zginęli podczas służby – w wypadkach lotniczych i na poligonach. W Toruniu stacjonowało w tym czasie kilka jednostek, m.in. 4 Pułk Lotniczy, 1 Batalion Balonowy i Centrum Wyszczolenia Artylerii. Podczas szkolenia nietrudno było o tragiczne zdarzenie na poligonie artyleryjskim czy w trakcie lotów.

Pogrzebano tu także Polaków poległych w 1939 roku – 43 cywilów oraz 56 żołnierzy. Osobno spoczęło 22 lotników, którzy zginęli 1 września 1939 roku w czasie niemieckiego nalotu na lotnisko 4 Pułku Lotniczego. Bombardowanie rozpoczęło się rano. W pierwszym nalocie niemieckie samoloty zniszczyły budynek dowództwa pułku, komendę bazy i hangar. Po południu nieprzyjaciel zbombardował samoloty i blok koszarowy. Zabitych pochowano w rowach przeciwdławkowych. Dopiero po wojnie ich szczątki ekshumowano i przeniesiono do wspólnej mogiły.

W toruńskiej nekropolii złożono także szczątki żołnierzy radzieckich poległych podczas II wojny. Jest pięć zbiorowych mogił, w największej spoczywa 630 czerwonoarmistów. W sumie pochowano tutaj 1756 obywateli ZSRR. Miejsce ostatniego spoczynku znalazło tu również 52 żołnierzy ludowego Wojska Polskiego poległych w czasie zdobywania Torunia.

Cmentarz, stanowiący własność miasta, jest nieczynny od 1978 roku. Trzynastę lat później został wpisany do rejestru zabytków. Dziś jest starannie utrzymany, a pomniki i mogiły są sukcesywnie konserwowane. Niestety, upływ czasu spowodował, że część tablic i napisów stała się całkowicie nieczytelna. O upamiętnienie poległych dbają pracownicy toruńskiego Muzeum Historyczno-Wojskowego, nekropolię często odwiedzają też uczniowie miejscowych szkół. ■

Panu ppłk. Henrykowi Sławkowskiemu

wyrazy szczerego współczucia
i głębokiego żalu z powodu śmierci

Matki Marianny

składają dowódca, dowództwo, kadra
i pracownicy resortu obrony narodowej
22 Ośrodka Dowodzenia i Naprowadzania
w Bydgoszczy.

Wyrazy głębokiego współczucia oraz żalu

ppłk. Zbigniewowi Kubickiemu

z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, kadra
oraz pracownicy resortu obrony narodowej
Centrum Operacji Lądowych
– Dowództwa Komponentu Lądowego
w Krakowie.

Panu kmr. ppor. Hubertowi Mrozowi

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Teścia

składają starszy oficer narodowy oraz koledzy
z Allied Maritime Command Northwood, UK.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje

mjr. Andrzejowi Rogalskiemu,

szefowi służby zdrowia,
dowódcy Zespołu Zabezpieczenia Medycznego,
z powodu śmierci

Teścia

składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy wojska
4 Brodnickiego Pułku Chemicznego
im. Ignacego Mościckiego.

Panu bosm. Arturowi Kolator

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają komendant, żołnierze oraz pracownicy
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Pan płk w st. spocz. Julian Kazimierz Szumiel

(1924-2016)

Kawaler Orderu Wojennego Virtuti Militari
oraz Krzyża Walecznych,
odznaczony Złotym, Srebrnym i Brązowym medalem
„Zasłużonym na Polu Chwały” oraz Złotym,
Srebrnym i Brązowym Krzyżem Zasługi.
Z głębokim żalem żegnamy uczestnika walk
o niepodległość Polski podczas II wojny światowej,
odznaczonego za wybitne czyny wojenne,
niezawodnego sapera, świetnego oficera, wybitnego
dowódcę, wieloletniego żołnierza 2 Pułku
Kolejowego w Inowrocławiu.

Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie i Bliskim

składają komendant, żołnierze i pracownicy
Wojskowej Komendy Uzupełnień w Inowrocławiu.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje

Panu Waldemarowi Krusińskiemu

z powodu śmierci

Brata

składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Biura Infrastruktury Specjalnej.

Panu Dariuszowi Spodarowi,

kierownikowi zespołu kontroli,

oraz Rodzinie

wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składają szef, żołnierze i pracownicy Wojskowej
Inspekcji Gospodarki Energetycznej.

**Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227**

**Panu pułkownikowi Zdzisławowi Krawcowi
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**
najszczerze wyrazy współczucia, wsparcia
i otuchy w trudnych chwilach z powodu śmierci
Matki
składają szef, koledzy oficerowie
oraz pracownicy wojska
Rejonowego Zarządu Infrastruktury w Lublinie.

Wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje
st. chor. sztab. Arkadiuszowi Olszewskiemu
z powodu śmierci
Ojca
składają koledzy żołnierze i pracownicy wojska
kompanii radiotechnicznej.

Pani redaktor Ewie Kostce
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Ojca – mjr. w st. spocz. Józefa Kostki
składają kierownictwo oraz koleżanki i koledzy
z wydawnictwa Akademii Sztuki Wojennej
w Warszawie.

**Panu Romanowi Jędrak
oraz Jego Rodzinie i Bliskim**
wyrazy głębokiego współczucia i szczerze
kondolencje z powodu śmierci
Matki
składają dowódca, żołnierze i pracownicy resortu
obrony narodowej 24 Polowej Technicznej Bazy
Wojsk Łączności.

Panu ppłk. Zbigniewowi Łukasiewiczowi,
szefowi sztabu 10 BLog w Opolu,
oraz Jego Rodzinie i Bliskim
wyrazy głębokiego żalu i szczerze kondolencje
z powodu śmierci
Matki
składają żołnierze i pracownicy wojska
11 Batalionu Remontowego z Żagania.

Pani kmdr ppor. Agnieszce Hydzik
wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają komendant, żołnierze oraz pracownicy
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Panu gen. bryg. Maciejowi Jabłońskiemu
wyrazy głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje z powodu śmierci
Ojca
składają inspektor wraz żołnierzami
i pracownikami wojska
Inspektoratu Wojsk Lądowych DG RSZ.

**Panu gen. bryg. Maciejowi Jabłońskiemu
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym**
wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej.

„Śmierć nie jest kresem naszego istnienia.
Żyjemy w naszych dzieciach i następnych
pokoleniach. Albowiem to dalej my, a nasze ciała
to tylko zwiedłe liście na drzewie życia”.
Albert Einstein

**Panu kpt. Piotrowi Sierakowskiemu
oraz Jego Rodzinie**
wyrazy współczucia i szczerze kondolencje z powodu
śmierci
Mamy
składają dowódca, żołnierze i pracownicy resortu
obrony narodowej
Dowództwa 16 Pomorskiej Dywizji
Zmechanizowanej.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia

Panu st. chor. sztab. Tomaszowi Małeckiemu

z powodu śmierci

Ojca

składają żołnierze i pracownicy wojska

Jednostki Wojskowej 2031 w Lipowcu.

Pani Joannie Wizner

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia

z powodu śmierci

Mamy

składają szef finansów IWSP SZ

oraz kadra zawodowa i pracownicy wojska.

Łącząc się w żalobie i smutku po śmierci

Ojca,

żołnierze oraz pracownicy

10 Brygady Kawalerii Pancernej

składają

Panu gen. bryg. Maciejowi Jabłońskiemu

oraz Jego Najbliższym

kondolencje i wyrazy szczerego współczucia.

Panu płk. Krzysztofowi Leśniakowi

oraz Jego Rodzinie i Najbliższym

wyrazy głębokiego żalu i współczucia

z powodu śmierci

Mamy

składają kadra i pracownicy wojska

Szefostwa Eksploatacji Sprzętu Inżynieryjnego

i OPBMR

Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

„Nie żyjemy, aby umierać
ale umieramy, aby żyć wiecznie”.

Michael Buchberger

Panu kapitanowi pilotowi Jackowi Gocał

oraz Rodzinie

wyrazy głębokiego współczucia oraz żalu

z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska

1 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego w Świdwinie.

Panu płk. Andrzejowi Jagielskiemu

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

wyrazy najgłębszego współczucia

i szczerze kondolencje z powodu śmierci

Matki

w imieniu Konwentu Dziekanów

Korpusu Oficerów Zawodowych

oraz Biura Konwentu Dziekanów

składa płk Marian Babuśka.



Pamiętamy

ppłk Hieronim Kupczyk

6 listopada 2003 r., PKW Irak

st. chor. szt. Zbigniew Jaszdejewski

8 listopada 1996 r., UNIFIL Liban

kpt. Władysław Rudnik

7 listopada 1955 r., KNPN Korea

st. sierż. Tomasz Murkowski

11 listopada 2006 r., PKW Irak

st. szer. Adam Jazukiewicz

27 listopada 1994 r.,
UNPROFOR Jugosławia

por. Zygfryd Zieliński

7 listopada 1955 r., KNPN Korea

st. kpr. Wiesław Szkwarek

27 listopada 1994 r.,
UNPROFOR Jugosławia

sierż. Andrzej Filipek

2 listopada 2007 r., PKW Irak

mjr Jakub Zygielski

7 listopada 1955 r., KNPN Korea

Sierż. Łukaszowi Łuciukowi

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają szef i zastępcę szefa
Oddziału Zabezpieczenia Żandarmerii Wojskowej.

Sierż. Łukaszowi Łuciukowi

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają koledzy i koleżanki z Oddziału
Zabezpieczenia Żandarmerii Wojskowej.

**Panu st. chor. sztab. Zbigniewowi Rosińskiemu
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy głębokiego współczucia i szczerego żalu
z powodu śmierci

Matki

składają szef, kadra zawodowa
i pracownicy wojska
Regionu Wsparcia Teleinformatycznego
we Wrocławiu.

Panu Sławomirowi Mostowskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych
oraz żołnierze i pracownicy
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

„Ci, których kochamy nie umierają nigdy, bo
miłość, to nieśmiertelność”.

Emily Dickinson

Naszemu Drogiemu Koledze

**Sławomirowi Mostowskiemu
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym**

słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci

Mamy

składają koleżanki i koledzy
z Zarządu Łączności i Informatyki J6
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Majorowi Mariuszowi Braciszewskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca operacyjny
rodzajów sił zbrojnych
oraz kadra i pracownicy
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

„Ci, których kochamy nie umierają nigdy,
bo miłość, to nieśmiertelność”.

Emily Dickinson

Naszemu Drogiemu Koledze
**majorowi Mariuszowi Braciszewskiemu
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym**

słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci

Mamy

składają koleżanki i koledzy
z Zarządu Operacyjnego J3
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

St. chor. Markowi Łyczkowskiemu

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Siostry

składają dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych
oraz kadra i pracownicy Dowództwa Operacyjnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.

„Śmierć przychodzi bardzo cicho
Niezapowiedziana, nieproszona
Jest zawsze gościem nie na czas”.

Wyrazy współczucia oraz szczerze kondolencje

Rodzinie śp. płk. Szymona Barny,
szefa Wojskowego Ośrodka Geodezji i Teledetekcji
w latach 1988–1997,
składa szef Wojskowego Centrum Geograficznego
wraz z żołnierzami i pracownikami.

KSIĄŻKA

Ucieczka z piekła

Książka Sophie Kasiki powinna nosić tytuł nie „Piekło ISIS”, lecz „Piekło depresji”. Ta choroba bowiem jest jak łańcuch, ciągnący się przez całą historię, do którego ogniw są podczepiane kolejne wydarzenia. Problemy Sophie pojawiły się, gdy zmarła jej matka. Nastoletnia wówczas dziewczyna musiała wyjechać z Kamerunu do Francji, gdzie mieszkała jej siostra, wejść w nieznaną środowisko, nauczyć się funkcjonować w innej rzeczywistości. Sophie nie radziła sobie z nową sytuacją, nie potrafiła nawiązać relacji z rówieśnikami. Z czasem się usamodzielniała, urodziła też syna. Zaczęła pracować w ośrodku dla imigrantów jako pracownik społecz-

ny. W tym czasie przeszła również na islam. W ośrodku Sophie zaprzyjaźniła się z młodymi mężczyznami, z którymi często dyskutowała na tematy związane z wiarą i tradycją religijną. Pewnego dnia jej przyjaciele wyjechali. Okazało się, że przedostali się do Syrii, gdzie dołączyli do bojowników ISIS. Sophie postanowiła do nich pojechać. Spakowała się, zabrała czteroletniego synka i w tajemnicy przed bliskimi przekroczyła syryjską granicę.

Właściwie książkę nie można nic zarzucić. Historia Sophie wciąga, choć jest tylko kliszą wielu podobnych, o których pisano w ostatnich latach. Nie mogłam oprzeć się jednak wrażeniu, że autorka nie jest do końca szczerą ze swoimi czytelnikami. Jej relacja jest w gruncie rzeczy bardzo powściągliwa, pełna przemilczeń, czasem naiwna. To raczej forma terapii, praca domowa zadana przez psychologa, niż rzeczywista potrzeba

podzielenia się swoją historią.

Są jednak dwa wątki, na które szczególnie warto zwrócić uwagę. Pierwszy to fragment, kiedy opowieść Sophie przechodzi w dwugłos jej i męża – to dwie zupełnie różne historie dotyczące tego samego wycinka rzeczywistości. Drugi to przebieg akcji wydostania kobiety z Syrii. Niezależnie od organizacji rządowych, gdzieś w drugim obiegu byli ludzie, którzy, narażając życie, starali się jej pomóc wyrwać się z piekła.

JOANNA ROCHOWICZ

Sophie Kasiki, „Piekło ISIS”, Prószyński i S-ka, 2016



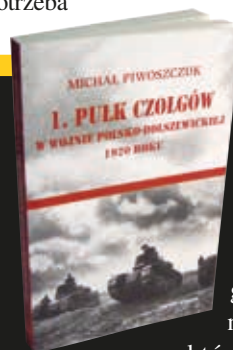
KSIĄŻKA

Pancerna pięść

1 Pułk Czołgów był jedną z najbardziej elitarnych formacji w wojnie polsko-bolszewickiej.

Odradzające się po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku Wojsko Polskie borykało się z wieloma problemami. Tworzone od podstaw jednostki były różnie uzbrojone, umundurowane, a poborowi wydobywający się z armii trzech zaborców nie stanowili zgranych formacji. Młode państwo polskie miało jednak wówczas doskonale wyposażony i przeszkolony oddział o ogromnych walorach bojowych. Był to 1 Pułk Czołgów z Błękitnej Armii.

Książka mjr. Michała Piwoszczuka, weterana 1 Pułku Czołgów, to doskonale opowiedziana historia pierwszej pancernej jednostki Wojska Polskiego. Autor szczegółowo opisuje historię jej powstania, szkolenie, wyposażenie, a w końcu szlak bojowy czołgistów w wojnie polsko-bolszewickiej. Ze świetnych relacji Piwoszczuka wyłania się obraz jednostki elitarniej, walczącej na najtrudniejszych odcinkach frontu i bardzo często decydującej o lo-



sach bitew. Dużą uwagę autor zwraca na postawę i wyszkolenie poszczególnych załóg i żołnierzy formacji,

którzy niejednokrotnie musieli samodzielnie, daleko na tyłach frontu, wywalczyć sobie drogę powrotną do pozycji polskich w zmaganiach z Armią Czerwoną. Jest to lektura obowiązkowa dla wszystkich miłośników broni pancernej i historii oręża polskiego w latach 1919–1920.

JAKUB NAWROCKI

Michał Piwoszczuk, „1 Pułk Czołgów w wojnie polsko-bolszewickiej 1920 roku”, Cztery Strony, 2016

KSIĄŻKA

Anders w zbliżeniu

To nie jest typowa biografia, chociaż jej bohaterem jest wielbiony przez podwładnych charyzmatyczny przywódca. W książce o gen. Władysławie Andersie fakty przeplatają się z fikcją literacką. Dzięki temu znakomicie się ją czyta, ale trzeba mieć świadomość, że być może nie wszystkie elementy tej opowieści są prawdą.

W „Andersie” Maria Nurowska skupia się głównie na relacjach rodzinnych i społecznych generała. Pokazuje, że był bardzo empatyczny. Widać to choćby po opisanej w książce sytuacji – kiedy wódz rozmawiając z małym chłopcem, schyla się, aby dostosować się do wzrostu dziecka. Jednocześnie autorka przybliża skomplikowane relacje generała z jego najbliższymi, którzy przez lata żyli z żalem i poczuciem odrzucenia.

Wprawdzie książka jest subiektywną oceną gen. Andersa, ale jest w niej wiele ciekawych informacji, które rozprawiają się z mitami na jego temat. Maria Nurowska udowadnia m.in., że nie był on antysemitą, tak jak mu zarzucano. Gdy w Palestynie Żydzi masowo opuszczali wojsko i żandarmeria brytyjska zażądała od generała ścigania uciekinierów, odmówił. „Oni zostali u siebie i chcą walczyć o swój własny, wolny kraj”, powiedział. Autorka posiłkuje się ciekawą dokumentacją, a także nagraniami rozmów z członkami rodziny

Andersów, jak również żołnierzami, z którymi generał przemierzył szlak bojowy. ■

IZABELA BORAŃSKA-CHMIELEWSKA

Maria Nurowska, „Anders”, Prószyński i S-ka, 2016



Stanisław Zarychta, „Broń jądrowa w kształtowaniu bezpieczeństwa 1945–2015”, Bellona, 2016

KSIĄŻKA

Niedoceniane zagrożenie

Z chwilą zrzucenia pierwszej bomby atomowej na Hiroszimę 6 sierpnia 1945 roku świat stanął przed groźbą wybuchu kolejnych konfliktów zbrojnych z użyciem tego rodzaju broni. Decyzja o jej wykorzystaniu mogłaby jednak doprowadzić do zniszczenia obu walczących stron i spowodowania niewyobrażalnych strat. By zapobiec takiemu scenariuszowi, mocarstwa mające w swych arsenałach broń nuklearną zdecydowały się na jej niestosowanie. Właśnie o niszczącej potędze broni jądrowej i jej znaczeniu w doktrynach militarnych państw jest książka Stanisława Zarychty. Pozwala ona czytelnikowi zrozumieć, jaki wpływ broń jądrowa miała na sztukę wojenną sił zbrojnych poszczególnych państw. Autor przeprowadza bowiem czytelników przez historię powstania bomby ato-

mowej i pokazuje metody inicjowania niekontrolowanej reakcji łańcuchowej. Przedstawia środki walki, które mogą przenosić broń jądrową. Zwraca też uwagę na znaczenie tego typu broni w początkowym etapie zimnowojennego układu sił na świecie i jej rolę w doktrynie prowadzenia wojny, tak ze strony Stanów Zjednoczonych, jak i ZSRR. Co ciekawe, podaje, gdzie w naszym kraju znajdowały się magazyny broni nuklearnej.

Coraz częściej mówi się, jak realna jest groźba użycia broni jądrowej przez terrorystów. Taka świadomość powinna zatem skłonić kraje dysponujące tego rodzaju orężem do wypracowania strategii działania ponad politycznymi podziałami, tak by zniwelować to zagrożenie. Książka, która ukazała się w cyklu Biblioteki Wiedzy Wojskowej, powinna być przedmiotem analiz nie tylko ludzi w mundurach, lecz wszystkich tych, którzy zajmują się kwestiami międzynarodowego bezpieczeństwa. ■

JAN BRZozowski

KSIĄŻKA

„Żołnierze z Pomorza Zachodniego w Afganistanie”, red. Grzegorz Ciechanowski, Uniwersytet Szczeciński, 2015



ADAM ROIK / COMBAT CAMERA DORSZ



Tysiące kilometrów od domu

Na słowo „Afganistan” ożywają setki obrazów, myśli, odczuć.

W misji stabilizacyjnej w Afganistanie łącznie pełniło służbę 28 tys. polskich żołnierzy i pracowników wojska. Większość uczestników i świadków tamtych wydarzeń wywodziła się z jednostek stacjonujących na terenie Pomorza Zachodniego. I właśnie relacje, wspomnienia oraz wywiady z misjonarzami z jednostek z tego regionu bądź tam urodzonymi, a służącymi w innych rejonach Polski, zostały zebrane i udokumentowane w kolejnej już publikacji z serii W Mundurze na Pomorzu Zachodnim i poza Granicami Kraju. Stanowią cenne źródło informacji, których nie znajdziemy w żadnych oficjalnych dokumentach. Trudu zgromadzenia tego bardzo osobistego materiału, obejmującego lata 2003–2013, podjęli się słuchacze kierunku bezpieczeństwo narodowe w Katedrze Badań nad

Konfliktami i Pokojem Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Szczecińskiego pod kierunkiem Grzegorza Ciechanowskiego, redaktora książki. Żołnierze opowiadają m.in. o tym, jak trafili do wojska, dlaczego zdecydowali się wyjechać na misję, jak wyglądało ich szkolenie, o przyjaźniach, kontaktach z miejscową ludnością, a także o strachu i tęsknocie za bliskimi, o cierpieniu i biedzie Afgańczyków, śmierci kolegów. Tyle losów, wspomnień, refleksji, ilu bohaterów. Pokonujemy z nimi bezdroża tego niespokojnego kraju, poznajemy życie w bazach Bagram, Szarana, Warrior, Giro, Ghazni. Istotną częścią publikacji są liczne fotografie, w większości dotychczas nigdzie niepublikowane. ■

RENATA GROMSKA

KSIĄŻKA

Wyznanie

Był to jeden z najważniejszych momentów w jej życiu – obcy mężczyzna ukradkiem wcisnął jej do ręki skrawek papieru. Ten gest oboje mogli przypłacić śmiercią, a dziś ona nawet nie pamięta treści listu. Pewna jest tylko nagłówka: „Moja kochana córeczko!”. To były jedne z ostatnich słów, które skierował do niej ojciec. Dopiero po latach odpowiedziała mu w formie obszernego listu czy monologu – tak powstała książka „I nie wróciłeś...”.

Marceline Loridan-Ivens, dziennikarka, reżyserka i działaczka polityczna, jest Żydówką polskiego pochodzenia, której rodzina przeniosła się do Francji. W czasie II wojny światowej razem z ojcem aktywnie włączyła się w walkę z Niemcami. Zostali schwytani – on trafił do Auschwitz, ona do Birkenau. Zanim ich rozdzielono, ojciec powiedział jej, że ona przeżyje, bo jest młoda, ale on nie. Ta brutalna przepowiednia wżarła się w świadomość dziewczyny jak „zrobiony kilka tygodni później tatuaż 78750 na skórze lewego przedramienia”.

Książka jest bardzo intymnym wyznaniem ojcu wszystkiego, czego nie zdążyła mu powiedzieć. Pokazuje również, jakich cierpień doświadczała ocaleni, których dotknął syndrom KZ. Marceline w 1945 roku wróciła do domu. Reszta jej rodziny przeżyła wojnę, ale nikt z bliskich nie rozumiał jej. Wszyscy nieustannie powtarzali, że musi zapomnieć o tym, co się stało i wrócić do normalnego życia. Marceline natomiast nieustannie żałowała, że to ona wróciła z obozu, a nie ojciec. I tylko myśl o nim trzymała ją przy życiu: „Żyję, bo chciałeś, żebym żyła”. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Marceline Loridan-Ivens, „I nie wróciłeś...”, Prószyński i S-ka, 2016



KSIAŻKA

Anioły śmierci

**Sprzeniewierzyli się
ideom Hipokratesa.
Zamiast leczyć,
katowali i zabijali.**

Primum non nocere”. Tą zasadą, obowiązującą wszystkich lekarzy, z pewnością nie kierowali się nazistowscy medycy. Swoich pacjentów, a raczej swoje ofiary, przetrzymywali w lodowatej wodzie, zakażali zarazkami malarii, żółtaczki, podtruwali na różne sposoby, sterylizowali bądź pozbawiali fragmentów kości, mięśni czy nerwów. Wszystko to robili w imię nauki, m.in. zasłaniając się potrzebą prowadzenia badań, które miały być wykorzystane przez wojsko.

Słynący z eksperymentów na więźniach obozów koncentracyjnych Josef Mengele, zwany aniołem śmierci, dożył starości w Ameryce Południowej. Wielu medyków, którzy sprzeniewierzyli się ideom Hipokratesa, udało się bowiem uniknąć odpowie-

dzialności za popełnione zbrodnie. Tylko 20 lekarzy i trzech asystentów medycznych z około 350, którzy w czasie II wojny światowej popełniali zbrodnie, stanęło przed sądem w Norymberdze (niektórzy byli też osądzeni w innym trybie). Jednym z nich był Karl Brandt, osobisty lekarz Adolfa Hitlera i „główny architekt programu zmieniającego lekarzy w narzędzia tortur i morderców”.

Dzięki relacji jednego ze świadków poznajemy kulisy tzw. sprawy medycyny, w której sądzono nazistowskich lekarzy. Vivien Spitz, autorka książki „Doktorzy z piekła rodem”, została bowiem w 1946 roku zwerbowana przez Departament Wojny Stanów Zjednoczonych, żeby jako reporterka sądowa wziąć udział w procesach norymberskich. Dwudziestodwuletnia kobieta była merytorycznie doskonale przygotowana do tej pracy, ale zaskoczyło ją to, co zastała na miejscu. Przerażający był już sam widok zrujnowanej Norymbergi, gdzie ludzie żyli w gruzowiskach, a wszędzie unosił się zapach niepochoowanych ofiar wojny. Największe piętno na jej psychice wycisnęło jednak to, co usłyszała i zobaczyła na sali sądowej. Jak stwierdziła po latach, została skażona horrorem świata, o którym pisała dzień pod dniu przez kilkanaście miesięcy. Uważa mimo to, że jej obowiązkiem jest danie świadectwa o tej zbrodni tak, by świat o niej nie zapomniał: „Jako świadek historii zapraszam cię więc czytelniku, abyś usiadł w pierwszym rzędzie rozprawy w Norymberdze, spojrzął prosto w oczy przestępcom w białych kitlach i zobaczył całe zło”.

ANETA WIŚNIEWSKA

Vivien Spitz, „Doktorzy z piekła rodem”,
Replika, 2016

POD NASZYM PATRONATEM

USA kontra Chiny

**Opracowanie
nowoczesnej technologii
energetycznej daje
początek kolejnej walce
mocarstw.**

Pierścień Ognia” to czwarty tom serii „Przymierze”, w którym ponownie mamy do czynienia z walką najmożliwszych tego świata. Po Rosji, Iranie i Kaukazie, akcja przenosi się na Daleki Wschód. O możliwość komercyjnego wykorzystania niedostępnej dotąd metody zimnej fuzji rywalizują USA i Chiny. Tajwan, który dysponuje technologią, wybiera Amerykanów, co skutkuje mocną reakcją państwa środka.

Wizja przedstawiona przez Jakubą Pawełka – Gruzja w NATO, powiększenie bazy sił powietrznych USA w Spangdahlem w Niemczech, ponowna militaryzacja Europy, nowe sojusze i układy sił – to oczywiście political fiction. Areną walk jest Tajwan i Morze Południowochińskie. Na miejscu ze swoją misją pojawia się także europejska jednostka specjalna, w której szeregach są także Polacy.

Pawełek od pierwszych stron serwuje czytelnikowi dynamiczną akcję i szczegółowe opisy batalistyczne. Nie unika mocnych słów, które obrazują emocje uczestników walk. To wszystko sprawia, że książkę po prostu dobrze się czyta. Miłośnicy tego typu literatury powinni być usatysfakcjonowani lekturą.

PIOTR ZARZYCKI



Jakub Pawełek,
„Pierścień Ognia”,
Warbook, 2016



POD NASZYM PATRONATEM

Życie jest cenne

Opowieść z najstraszniejszego obozu
w Niemczech.

Według brytyjskiego historyka Paula Johnsona, w latach 1933–1945 działało ponad 1600 obozów koncentracyjnych (wraz z filiami) oraz ponad 900 obozów pracy. Początkowo były przeznaczone dla przeciwników reżimu Adolfa Hitlera, w czasie II wojny światowej stały się miejscem zagłady milionów ludzi różnych narodowości. Powstały w 1937 roku na terenie Niemiec obóz w Buchenwaldzie był jednym z takich miejsc. Liczba zabitych w nim więźniów waha się od niespełna 60 tys. do ponad 70 tys. – w zależności od tego, kto liczy.

Louis Gros jest jednym z tych, którzy przeżyli i po wielu latach od tych dramatycznych wydarzeń postanawia o nich opowiedzieć Flintowi Whitlockowi. Do Buchenwaldu, „najstraszniejszego obozu w Niemczech”, trafia jako dziewiętnastolatek rok przed końcem wojny – w maju 1944 roku – po wcześniejszym pobycie we francuskich

więzieniach (za działalność w ruchu oporu). Towarzyszy mu ojciec, który został uwięziony wraz z nim, jako że w momencie zatrzymania Louis był niepełnoletni.

Opowieść Louisa Grosa to nie zapis suchych faktów z życia obozu, lecz zbiór przejmujących obrazów, które na zawsze wyryły się w pamięci autora. Co ciekawe, bardzo często są one dla niego pretekstem do rozważań na temat historii i geografii nie tylko swojego narodu, lecz także Żydów, a nawet okupanta. W ciąg dramatycznych zdarzeń zostały wplecione dygresje o filozoficzno-etycznym charakterze. Relacja Grosa ma też niewątpliwą wartość historyczną – życie w obozie przedstawia on z dużą szczegółowością i dokładnością, niejednokrotnie podając konkretne liczby, zaczerpnięte z wojennych raportów. Jest świadectwem, które daje być więźniem w myśl stwierdzenia, że „można być świadkiem tylko tego, co samemu się widzi”. Nie bez znaczenia jest także na-

rodowość autora – jako Francuz znajdował się on w znacznie lepszej sytuacji niż Polacy czy Rosjanie, o Żydach nie wspominając. Dlatego też jego sposób widzenia jest nieco inny niż ten, który znamy m.in. z rodzimej literatury obozowej.

Louisowi Grosowi udało się przeżyć, razem ze swoim ojcem opuścił Buchenwald. Poczucie wdzięczności za ten dar będzie mu towarzyszyć już zapewne do końca życia, dlatego swoją opowieść zamyka stwierdzeniem „życie jest cenne”. Jego historia nie kończy się jednak w momencie wyzwolenia obozu. Dowiadujemy się również, co działo się z bohaterem po wyzwoleniu obozu aż do czasów współczesnych. Jak można się domyślić, powojenna rzeczywistość nie zawsze miała słodki smak – rozliczenie zbrodniarzy wcale nie okazało się takie łatwe, a wyciążenie wniosków tak oczywiste.

„Ocalałem z Buchenwaldu” to drugi tom (po „Bestiach z Buchenwaldu”) „Trylogii Buchenwaldzkiej” Flinta Whitlocka. ■

MARTA SACHAJKO

Flint Whitlock, Louis Gros, „Ocalałem z Buchenwaldu. Moja droga przez piekło”, Replika, 2016

KSIĄŻKA

Co za duet

Udowodnili, że Rosjanie
niczym nie różnią się
od reszty świata.

Wszystko zaczęło się w barze hotelu Bedford na Czterdziestej Wschodniej ulicy w Nowym Jorku, gdzie spotkali się znany pisarz John Steinbeck z guru fotografii wojennej Robertem Capą. Szącąc drinki, narzekali na sposób przekazywania informacji przez media.

W gazetach ciągle pisano o tym, co pomyślał Stalin, gdzie rozmieszczono radzieckie wojska, kiedy rozpocznie się wojna nuklearna, najczęściej podając informacje z drugiej ręki. Oni natomiast chcieli się dowiedzieć, na przykład, jak Rosjanie się ubierają, co jedzą na kolację, czy lubią tańczyć. W końcu postanowili, że sami sprawdzą, jak żyją ludzie w kraju, o którym słyszeli niewiarygodne wręcz opowieści.

I tak ten reporterski duet wylądował w tajemniczym dla zachodniego

świata miejscu i w wyjątkowym czasie. W 1947 roku spędzili bowiem kilka tygodni w Związku Radzieckim. Jako reporterzy „New York Herald Tribune” zostali obwiezieni po kraju, co trochę przypomina mi współczesne relacje dziennikarskie z kontrolowanych przez reżim wizyt w Korei Północnej. Tyle że panowie od początku założyli sobie, że nie interesuje ich polityka, lecz zależy im na spotkaniach ze zwykłymi ludźmi. Postanowili, że postarają się pozbyć wszelkich uprzedzeń i powstrzymać od chwaleń czy kryty-

KSIĄŻKA

Okiem snajpera

Wojsko ma to do siebie, że często pojawiają się o nim mity i legendy”, zauważa Nicholas Irving, były komandos 3 Batalionu 75 Pułku Ranger, uczestnik walk w Afganistanie. I dobrze wie, o czym mówi, bo on sam bez wątpienia stał się jedną z takich legend. Jest uznawany za najskuteczniejszego snajpera sił specjalnych USA, stąd też jego ksywka „Kosiarz”. Niektórzy przypisują mu nawet ponad 700 trafień. On sam trochę się z tego śmieje. W rzeczywistości ma udokumentowane 33 celne strzały, chociaż możliwe, że było ich znacznie więcej.

Nicholas Irvin, Gary Brożek, „Kosiarz”, Buchmann, 2016



kowania, a skupią na rejestrowaniu wszystkiego, co zobaczą. Dzięki temu powstał cenny dokument, który czyta się jednym tchem, choć przedstawia on zaledwie wycinek sowieckich realiów, na dodatek trochę spreparowanych na potrzeby amerykańskich dziennikarzy. Reporterzy oczywiście zdawali sobie z tego sprawę, ale też nie mieli na celu przekazania jedynej prawdy o Rosji. Jak zauważył Steinbeck: „Ten dziennik zapewne nie usatysfakcjonuje ani ortodoksyjnej lewicy, ani lumpenprawicy. Jedni powiedzą, że jest

Irving nie służy już w wojsku. Zajął się szkoleniem żołnierzy, agentów służb specjalnych i sportowców. W „Kosiarzu”, napisanym wspólnie z dziennikarzem Garym Brożkiem, postanowił jednak wrócić do lat spędzonych w armii, przerobić na nowo swoje doświadczenia. I bardzo dobrze, bo w efekcie dostaliśmy do czytania bezpretensjonalną, szczerą i niezwykle wciągającą opowieść. Irving, jakiego poznajemy w książce, budzi sympatię. Bezpośredni, z dystansem do swoich przeżyć. Ma duże poczucie własnej wartości, ale też potrafi realnie ocenić popełnione błędy i wyciągnąć z nich wnioski. Jest człowiekiem, któremu

spełnił się sen. Został żołnierzem, o czym marzył od dziecka, nie

zważając na przeciwności losu. I kochał tę robotę.

O swojej służbie w Afganistanie pisze trochę tak, jakby opowiadał o sobie z innego czasu – młodszym, nieopierzonym jeszcze żołnierzem, wierzącym, że na wojnę jedzie się dla ideałów. Dopiero potem, gdy już był „w środku”, przysłała refleksja, że Afganistan to w sumie dziwne miejsce, a cała sytuacja nie do końca jest dla wszystkich zrozumiała: „Czasami miałem gorsze momenty i próbowałem poukładać sobie wszystko w głowie – chociaż było to prawie niemożliwe. W końcu zorientowałem się, że nie ja jeden zmagam się z takimi myślami”. Irvin wspomina, że czasem miał wrażenie, iż jest ich dwóch. Ten, który siedzi w domu, z żoną i przyjaciółmi, i drugi, który kocha swoją broń i czeka na kolejny zastrzyk adrenaliny, towarzyszący każdemu zadaniu. I był czas, że bardziej lubił tego drugiego. ■

JOANNA ROCHOWICZ

antysowiecki, drudzy – że prosowiecki”. Tyle że on nie powstał dla ich satysfakcji. Mamy natomiast niepowtarzalną możliwość przyjrzeć się, jak wracają do życia ludzie dotknięci przez traumę II wojny światowej. Obserwować, jak powstają traktory ze stali przetopionej z czołgów. Podejrzeć, w jakich warunkach żyją mieszkańcy zniszczonego doszczętnie Stalingradu. Zobaczyć, jak z rolniczymi pracami radzą sobie

kobiety i inwalidzi wojenni na ukraińskiej wsi czy podziwiać niezwykłą energię i radość życia Gruzynów. Niestety Capa nie wszystkie opowieści mógł zilustrować fotografiami ze względu na tajemnicę państwową, którą nieustannie zasłaniali się Rosjanie. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

John Steinbeck, „Dziennik z podróży do Rosji”, ze zdjęciami Roberta Capy, Prószyński i S-ka, 2016

ANDRZEJ
FĄFARA

Zowiesz się męstwo



Na portalu polska-zbrojna.pl przeczytałem informację o nowych wzorach tzw. nieśmiertelników. Te tabliczki tożsamości są stosowane w polskim wojsku od 22 grudnia 1920 roku. Ktoś mógłby pomyśleć, że gdyby wprowadzono je wcześniej, nie mielibyśmy dziś Grobu Nieznanego Żołnierza. Jest to skojarzenie całkowicie nietrafne, bo na placu Piłsudskiego w Warszawie leży najprawdopodobniej ochotnik, który, co oczywiste, nie mógł mieć nieśmiertelnika, nawet jeśli takowy byłby w tamtym czasie używany.

W trumnie, którą z wielkimi honorami (komendantem pociągu był generał!) na początku listopada 1925 roku przetransportowano do Warszawy, znajdowały się szczątki jednego z uczestników wojny polsko-bolszewickiej. A ściślej mówiąc, uczestnika starcia we wsi Zadwórze (33 km od Lwowa), uważanej za polskie Termopile. Batalion lwowskich ochotników stoczył tam w sierpniu 1920 roku wyjątkowo zacięty i krwawy bój z oddziałem armii Budionnego. Gdy lwowiakom zabrakło amunicji, poszli do walki na bagnety. Bolszewicy dobijali rannych Polaków kolbami, a poległym odcinali głowy i kończyny szablami. Zginęło w Zadwórzach 318 polskich bojowników. Nieprzypadkowo Budionny zrezygnował wtedy z marszu na Lwów i ruszył od razu w stronę Warszawy.

Podczas ekshumacji ważną rolę odegrała matka jednego z bohaterskich ochotników, pani Jadwiga Zarugiewiczowa. Spośród kilku wykopanych trumien wskazała tę, którą potem przewieziono do Warszawy i złożono w Grobie Nieznanego Żołnierza. Nie ma oczywiście pewności, że chodziło o zwłoki jej syna Konstantego. Nie było w tym czasie badań genetycznych. Wiadomo tylko, że poległy młody człowiek był ubrany w cywilną marynarkę, a na głowie miał maciejówkę z polskim orłem. I że zginął od strzału w głowę.

Uroczystości w Warszawie były bardzo podniosłe. Kondukt żałobny przeszedł ulicami miasta od Dworca Głównego do katedry św. Jana. Warto zacytować fragment homilii, której patos nikt nie raził, wygłoszonej przez księdza prałata Antoniego Szlagowskiego: „Kim ty jesteś? Nie wiem. Gdzie dom twój rodzinny? Nie wiem. Kto twoi rodzice? Nie wiem i wiedzieć nie chcę, i wiedzieć nie będę aż do dnia sądnego. Wielkość twoja w tem, żeś nieznanany. Czymże na Boga jesteś, szary żołnierzu, zapomniany, bezimienny? Ty jesteś odwieczny geniusz bojowy narodu, zowiesz się męstwo”.

Czytając te słowa, pomyślałem: a co z polityką? Nie byłoby jej w tak patriotycznych chwilach? Niestety, była. Marszałek Józef Piłsudski, skłócony z ówczesnymi władzami (prezydent Stanisław Wojciechowski, minister spraw wojskowych Władysław Sikorski), wziął udział w mszy, ale na uroczystości złożenia trumny w Grobie Nieznanego Żołnierza już się nie pojawił. Pół roku później doszło do przewrotu majowego. Władzę przejął Piłsudski, choć rządził, jakbyśmy dziś powiedzieli, z tylnego siedzenia. ■



POLSKA
ZBROJNA

PRENUMERATA
ROCZNA:
12 WYDAŃ
W CENIE
10

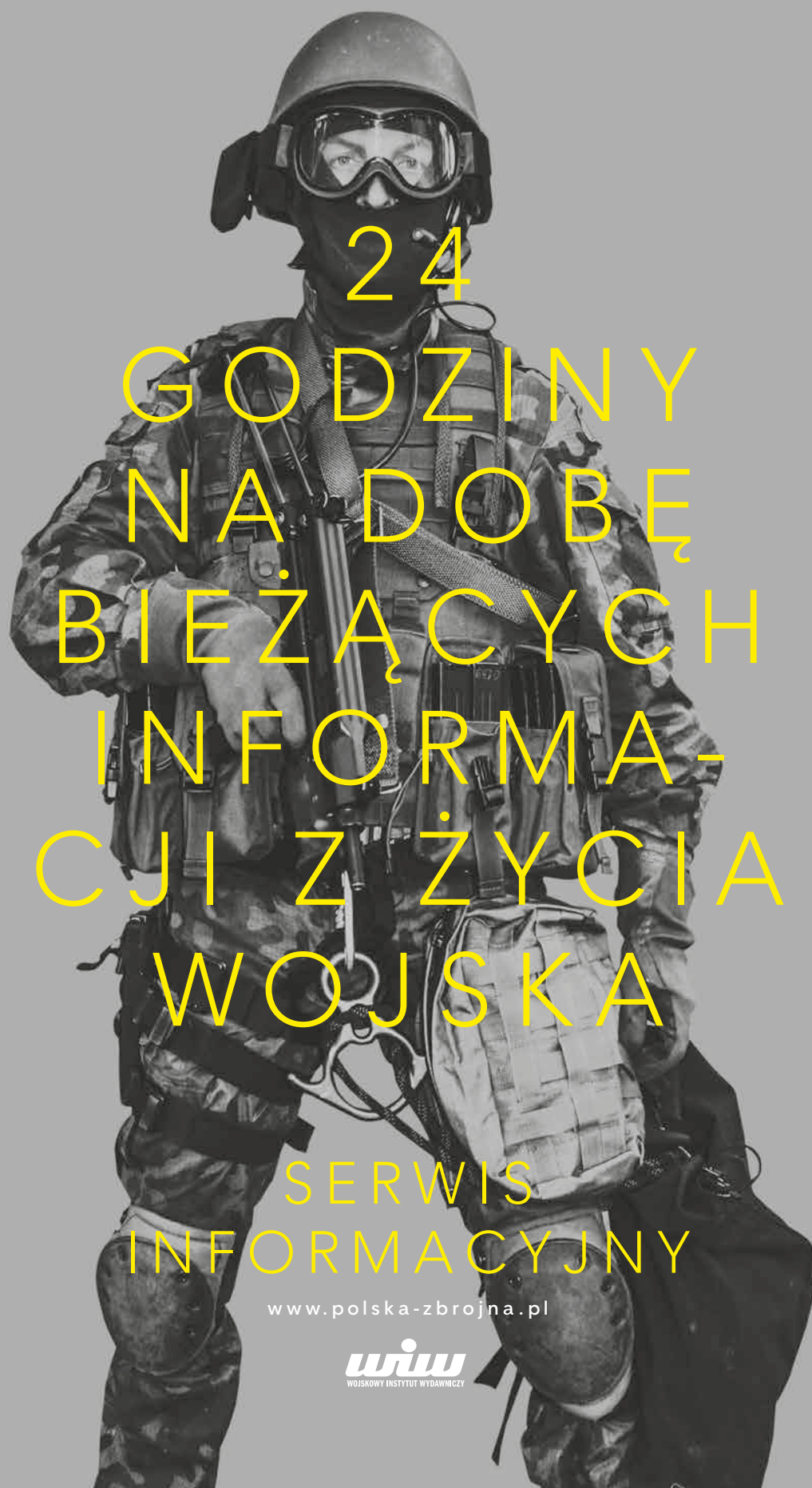
ZAMÓW PRENUMERATĘ
NA 2017 ROK

e-mailem: prenumerata@zbrojni.pl

listownie: Wojskowy Instytut Wydawniczy, 00-909 Warszawa, Aleje Jerozolimskie 97
telefonicznie: +48 261 840 400

Warunkiem rozpoczęcia wysyłki jest wpłata 65 zł do 20 stycznia 2017 roku
na konto: 23 1130 1017 0020 1217 3820 0002

POLSKA-ZBROJNA.PL



24
GODZINY
NA DOBĘ
BIEŻĄCYCH
INFORMA-
CJI Z ŻYCIA
WOJSKA

SERWIS
INFORMACYJNY

www.polska-zbrojna.pl

wiiw
WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY